

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/507 1989



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

St. NOWICKI: **NIEWYKONANE FOTOGRAFIE**

Zb. BRZEZIŃSKI: **POSTKOMUNIZM
I DĄŻENIA NARODOWOŚCIOWE**

K. GAWLIKOWSKI: **WYJŚCIE ZE ŚLEPEGO
ZAUŁKA HISTORII**

Wł. NEY: **ENERGIA ATOMOWA W KRAJU**

SPIS RZECZY

| | | |
|--|---|-----|
| Stanisław Nowicki: | <i>Niewykonane fotografie</i> | 3 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Dziennik pisany nocą</i> | 26 |
| Sławomir Mrożek: | <i>Krótkie słuchowisko</i> | 35 |
| Andrzej Dobosz: | <i>O słowach nowych i starych</i> | 37 |
| WIERSZE | | |
| Rainer Maria Rilke: | <i>Trzy wiersze</i> | 48 |
| Georg Trakl: | <i>Szczury. — Zmierzc zimowy. — Kruki. — Dusza jesieni.</i> | 50 |
| ARCHIWUM POLITYCZNE | | |
| Zbigniew Brzeziński: | <i>Postkomunizm i dążenia narodowościowe: próba sił</i> | 52 |
| Janusz Mondry: | <i>Otwarcie na Japonię</i> | 72 |
| KRAJ | | |
| Witold Charłamp: | <i>Dziennik zewnętrzny</i> | 74 |
| Krzysztof Gawlikowski: | <i>Wyjście ze ślepego zaułka historii</i> | 88 |
| Władysław Ney: | <i>Energia atomowa w Kraju</i> | 98 |
| Wanda Niepokorna: | <i>Los emeryta w Polsce</i> | 101 |
| SPRAWY I TROSKI | | |
| Tadeusz Folek: | <i>Sprawa odszkodowań</i> | 106 |
| Maria de Hernandez-Paluch: | <i>Pomoc</i> | 110 |
| SĄSIEDZI | | |
| Adam Kruczek: | <i>W sowieckiej prasie</i> | 115 |
| Bohdan Osadcuk: | <i>Rewolucja po niemiecku</i> | 121 |
| Grzegorz Ziętkiewicz: | <i>Kronika niemiecka</i> | 124 |
| KRONIKA KULTURALNA | | |
| Maria Danilewicz Zielińska: | <i>Książki słowiańskie w bibliotekach angielskich</i> | 127 |
| — | <i>Nagrody</i> | 132 |
| CI, CO ODESZLI | | |
| Tadeusz Zawadzki: | <i>Emanuel Mateusz Rostworowski (1923-1989)</i> | 134 |
| KSIĄŻKI | | |
| Bogdan Rogatko: | <i>Pusta noc</i> | 137 |
| — | <i>Nadstawane nowości wydawnicze</i> | 141 |
| POLEMIKI | | |
| Paweł Lida: | <i>O języku polskim w Kościele na Białorusi</i> | 142 |
| — | <i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki kanadyjska i szwedzka</i> | 146 |
| J. Kozak, S. Nowicki, J. Prus, P. Skrzynecki, Zarząd Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie: | <i>Listy do Redakcji</i> | 154 |
| — | <i>Indeks Autorów i tematów „Kultury” za rok 1989</i> | 159 |

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1989

INSTYTUT  LITERACKI

**REDAKCJA «KULTURY» SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

| | |
|---|-----------|
| Ignacy Fonberg, Jonesborough, MD (USA), po raz 9-ty, — \$22,00 | F. 135,75 |
| Halina Grodzicka, Buenos Aires, po raz 11-ty — \$53,00 | F. 327,00 |
| Karol Jabłoński, Toronto, ON (Kanada), po raz 21-szy — \$can. 97,00 | F. 514,00 |
| Tadeusz Jankowicz, Etobicoke, ON (Kanada) — pamięci Brata, Stasia Jankowicza — w drugą rocznicę Jego tragicznej śmierci — \$50,00 | F. 308,00 |
| Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 45-ty — \$100,00 | F. 620,00 |
| François Prause, Chiangmai (Thailande), po raz 32-gi | F. 200,00 |
| Teresa Romer, St. Eustache, PQ (Kanada), po raz 15-ty — \$can 27,00 | F. 143,00 |
| Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 15-ty — \$20,00 | F. 124,00 |
| B. Singler, Sunshine, VIC (Australia), po raz 6-ty — \$A. 30,00 | F. 143,00 |
| Jadwiga Stawny, Berlin — zamiast kwiatów na grób Andrzeja Chileckiego — DM 50,00 | F. 170,50 |
| A. A. Świdorski, Ottawa, ON (Kanada), po raz 7-my — \$can. 7,00 | F. 37,00 |
| Florian Szuszkowski, Montréal, PQ — \$can. 17,15 | F. 91,00 |
| Zofia i Marian Wajdowie, Wiedeń — zamiast kwiatów na grób drogiego przyjaciela, Fryderyka Topolskiego | F. 150,00 |
| Zamiast kwiatów na grób Fryderyka T. Topolskiego — przyjaciele ze Szwecji (nadesłał Jerzy Kowalewski) — Krs 400,00 | F. 380,00 |
| Anonimowo ze Szwecji — zamiast kwiatów na grób Norberta Marii Pietrzaka — Krs 100,00 | F. 95,00 |
| Bezimiennie z Paryża — w pierwszą rocznicę śmierci Idy Jury-siovej-Spira | F. 300,00 |

DZIĘKUJEMY!

| | |
|--|-----------|
| Lech Borawski, Glendale, NY (USA) — na walkę z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą — \$50,00 | F. 308,00 |
| Henryk Konopko, New York, NY — na pomoc dla walczących w Kraju „Żeby Polska była Polską” — \$50,00 | F. 308,00 |

Niewykonane fotografie

Irkowi

Od kilku miesięcy cały świat obiegają zdjęcia i sekwencje filmowe przedstawiające chińskiego studenta w białej koszuli, zatrzymującego własnym ciałem kolumnę czołgów w Pekinie. Przejmujące, dramatyczne zdjęcie o randze symbolu. Ilekroć widzę ten zatrzymany kadr, zawsze myślę o szczęściu, które miał ten chiński chłopak. Ostatecznie mogło nie być w okolicy amerykańskiej ekipy filmowej, klisze mogły zostać wyrwane i prześwietlone, dostęp do wizji odcięty. Oczywiście, on nic nie wiedział o kamerze, która śledzi każdy jego ruch; to, co postanowił zrobić, zrobiłby i tak. Nie wiemy, co się z nim stało, może już go nie ma wśród nas, ale ten moment odwagi został na szczęście ocalony dla świata. Przystudiowano każdy centymetr ruchów, wykadrowano dokładnie wszystkie gesty młodzieńca i kolejne fazy przemieszczeń czołgu prowadzącego kolumnę.

A gdyby nie było tam uważnego oka obiektywu? Indywidualny wyraz pozostałby tym, czym był, ale nikt z nas nie wiedziałby o chińskim chłopcu stojącym samotnie naprzeciwko pancерnej kolumny.

Fotografii, o których chcę opowiedzieć, nie ma. Nigdy nie było. Na ulicach, na których stanęli moi bohaterowie, nie było operatora z kamerą. Byli sami naprzeciwko nadjeżdżających czołgów, na wprost wycelowanych w nich luf. Szli ku nim. Na ich twarzach nie widziałem strachu. Drobiną ludzkiego ciała naprzeciw rozpędzonej masy żelastwa, śmierci, ukrytej w lufie wężącej za czaszką. Cztery niewykonane fotografie ze stanu wojennego. Nie mniej wyraziste niż te z pekińskiej ulicy, nie mniej dramatyczne i symboliczne. Ale zabrakło kamery, która mogła z nich uczynić grudniowy, polski symbol.

To było drugiego, może trzeciego dnia stanu wojennego. Wyszliśmy na miasto wraz z Irkiem. Ulice były puste, mroźne. Od czasu do czasu ktoś spiesznie przemykał od domu do domu. Pod stopami chrzęściły grudki lodu. Nie bardzo wiedzieliśmy, w którą ruszyć stronę. Wcześniej ustaliliśmy, że będziemy chodzić tam, gdzie się coś dzieje, by nie ominął nas obraz tego, co kiedyś stanie się historią. Lecz gdzie dopaść, gdzie znaleźć w siedemsettyśiącym mieście miejsce, w którym właśnie tętni puls dziejów?

W końcu zdecydowaliśmy się. Ruszyliśmy od placu PKWN ulicą Grabiszyńską w stronę wielkich zakładów pracy: Hutmenu, FUM-u, zajezdni tramwajowej i autobusowej, FAT-u i Fadromy. W razie potrzeby można było skręcić na prawo przy wiadukcie kolejowym i dojść wzdłuż torów do PaFaWagu. Co pewien czas mijaly nas duże budy policyjne i niebieskie, zakratowane „Nisy”, wypełnione zomowcami w bojowym rynsztunku, lecz z podniesionymi jeszcze plexiglasowymi przyłbicami, z papierosami w ustach. Nie było wątpliwości, że w głębi ulicy coś się dzieje. Zanim doszliśmy do wielkiego bunkra przy skrzyżowaniu z ulicą Stalową, ujrzelśmy niebieską tyralierę stojącą w poprzek ulicy. Z samochodów wysypywali się kolejni zomowcy i zgęszczali spiesznie tę żywą barykadę. Po bokach, wzdłuż sklepów po lewej stronie i długiego, niskiego budynku po prawej, gromadzili się ludzie. Zbijali się w rosnące grupki, dyskutowali, machali rękami, coraz częściej było słycać głośnie okrzyki: „Gestapo! Gestapo!”. Ośmieleni bezruchem policyjnego szeregu przesuwali się coraz bliżej. Przyłączyliśmy się do jednej z wyraźnie aktywniejszych grup młodzieży.

Wszyscy próbowali się spiesznie dozbroić, ale nie było czym. Skuta lodową pokrywą jezdni i okoliczne skwerki już dawno zostały ogołoczone z resztek kamieni. Rozedrgane ręce przeczesywały gorączkowo śnieg, lecz nie znajdowały niczego, co nadawałoby się do rzucania. Ludzka ławica powoli podpyływała do policyjnej zapory.

Na efekty nie trzeba było długo czekać, gdyż za chwilę wyrzucano pierwsze petardy. Spadały w ruchliwą, rozbieganą ciżbę ludzką, sycząc ostro i ciągnąc za sobą ogon gryzącego w oczy dymu. Komuś spadła na kurtkę, przepalając ją natychmiast na brzuchu. Pechowiec podskakuje nie wiedząc czemu na jednej nodze, przyklepuje uszkodzone miejsce, rękawem wyciera lejące się strumieniami łzy. Ktoś obok chwyta gołą ręką petardę i z przekleństwem upuszcza na ziemię. Ktoś inny, w roboczych rękawicach, chwyta ją jeszcze raz i odrzuca w kierunku policjantów. Wkrótce inni, zachęceni przykładem, chwytają kręcące się po oblodzonej jezdni tekturowe laski i z rozbiegu ciskają przed siebie, wprost w nieruchomy szereg. Zomowcy stoją na szeroko

rozstawionych nogach, z opuszczonymi przyłbicami, dobrze chronieni przez plastikowe tarcze. Niektórzy trzymają w rękach broń wycelowaną wprost w nasze grupki. Te karabiny wyraźnie wszystkich niepokoją. Nabite, czy nie nabite? „Oni mają tylko ślepaki” — krzyczy ktoś spod ściany sklepu. Nie mamy jednak pewności. Nikt nie decyduje się zbliżyć więcej niż na 50 metrów. Większość rzucanych przez nas petard nie dolatuje do przeciwników, ale jednak robią swoje, bo od czasu do czasu któryś z zomowców wybiega z szeregu i potężnym kopnięciem odrzuca dymiący kartusz.

Napięcie rośnie. Wzrasta krzyk. Mimo obaw co odważniejsi podbiegają bliżej i krzyczą, przeklinają, wygrażają rękami, plują przed siebie w stronę wciąż nieporuszonego szeregu. Nagle z boku wyjeżdżają rozpędzone jeepy z wyrzutniami granatów łzawiących, kropiąc szczerze w co gęstsze gromady ludzkie. Równocześnie spomiędzy domów i z nieruchomego dotąd szeregu wypadają grupkami po dwóch–czterech zomowcy z długimi, białymi pałami, grzmocąc kogo popadnie po głowach, ramionach, plecach, nogach. Przewróconych kopią podkutymi butami. Na osłaniające głowy ręce spadają ciężkie, jęczące uderzenia. Zabitych i zalanych krwią ciągną jak sflaczałe, skamlące worki do samochodów. Tam ci, którzy wypychają lub wrzucają do środka, dokładają swoje. Nie ma taryfy ulgowej dla nikogo. Tak samo dostają młodzi chłopcy jak i przypadkowe staruszki, które próbują coś tłumaczyć, wyjednać. Wszystko na nic. Krótki świst i krzyk, twarz zapada się pod wygiętą zamachem gumą; na policzki, brodę i czoło wytryskują stróżki krwi. Złamane nosy, kości policzkowe, wgniecione gałki oczne, twarze o czerwonych pęknięciach przypominające stłuczone lustra.

Od strony ulicy Żelaznej wyjeżdża ogromna, opancerzona polewaczka, sikająca na wszystkie strony strugami niebieskiej wody. Wszyscy w lot rozumieją, że plami trwale ubrania, z daleka wskazując uczestnika rozruchów. Zaczyna się pełne chaosu, wrzasków i niespodziewanych upadków polowanie i gonitwa. Fale ludzkie wpadają pomiędzy budynki, grzmocone przez rozjuszonych funkcjonariuszy, by wypłynąć przez bramy i podwórka z zupełnie innej strony. Kto się potknie, wywróci, na ogół dostaje się w łapy policjantów, ale i w tym nie ma reguły, bo ci, sami rozpędzeni i rozwścieczeni, zachowują się irracjonalnie, niejednokrotnie sami upadają. O wszystkim decyduje szybka orientacja i ślepy traf.

Irek jest krótkowidzem, nosi okulary na gumce, lecz te, zaparowane od mrozu, zalane łzami wyciskanyymi z oczu przez gryzący dym, muszą powędrować do kieszeni. Chwilami zachowuje się jak niewidomy: biegnie wprost na nadbiegających zomowców, wpada na krzaki i klomby, wywraca się. Muszę go

ciągnąć za rękaw we właściwym kierunku. Wiem, że to dla niego szczególnie niebezpieczne, lecz widzę, że jakiegokolwiek przekonywanie nie odniesie skutku. On chce tu być. Chce widzieć, choćby przez szarą mgłę, za którą ukrywa się wszystko, co znajduje się dalej niż 15 metrów. Obu nam się podoba ta niebezpieczna gra, nagle starty do sprintu po śliskich chodnikach, wymykanie się, nagle powroty i ponowne ucieczki. Tygryś zabawa, ruletka przemykania się pod spadającymi pałkami, pomiędzy kłębami dymu, w ciągłym napięciu, by nie dostać się pod strumień wody, nie przewrócić się na kamieniu, krzaku, jęczącej ofierze. „Na lewo! Na prawo! — wykrzykują, wskazując swemu towarzyszowi drogę ucieczki lub powrotu.

Po jakimś czasie gonitwa uspokaja się. Policyjne samochody znikają. Zomowcy wracają do szeregu na Grabiszyńskiej. Naprzeciw nich znów wzbiera tłum. Wylewa się nie wiadomo skąd. Pojedynczo i grupkami wciąż przybywają nowi. Coraz głośniejsze skandowanie, lecz nikt już nie podchodzi bliżej. Ostra młócka i przejmujący obraz brutalności zrobiły swoje. Większość spośród otaczających nas ludzi jest zszokowana, przestraszona. Rozmawiamy z Irkiem krótkimi, rozgorączkowanymi równoważnikami zdań. Obaj jesteśmy pod wrażeniem dokładnie tego samego: absolutnej plastyczności i bezbronności zgromadzonej tu masy ludzkiej. Oni i my. Jest nas o wiele więcej, lecz wystarczy wypad choćby trzech zomowców, by cały tłum gwałtownie podał się w tył, rozbiegł się w panice na boki. Poza rzucaniem kamieniami nie zaobserwowaliśmy najmniejszej próby oporu. Jeden rozpędzony zomowiec goni kilkunastu młodych, zdrowych, silnych mężczyzn. Próbowaliśmy namówić w trakcie tej chaotycznej gonitwy kolejnych ludzi do zorganizowania się, do stawienia czynnego oporu. Na nic. Nikt nie słucha. Każdy ruch policyjnego szeregu odpycha ludzką falę między budynki, rozsiewa po okolicznych placach i podwórzach. Każdy ucieka na własną rękę, nie myśląc nawet, że wystarczyłoby zatrzymać się w kilku, by rozpędzony zomowiec został nieruchomy na ziemi.

Powoli dociera do nas ponura prawda: oni, choć znacznie mniej liczni, rozbijają w puch, rozniosą na pałkach każde zbiorowisko ludzkie. Tak jak gonią tu nas bez wysiłku, tak samo gonią innych po ulicach wszystkich polskich miast. Zaczynamy rozumieć, że kilkanaście tysięcy takich samych zomowców, przrzucanych z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, jest w stanie chwycić za gardło, zastraszyć cały naród. I nie obronią się żadne zakłady pracy, największe fabryki i huty zostaną rozgonione na cztery wiatry przez wcale nie tak potężne siły najwierniejszych janczarów partii. Może nawet bez użycia broni, bez pocisków, armat, czołgów. Zmierzch dziecinnych złudzeń,

gorycz poczucia bezsilności, cierpki przedsmak klęski.

Ludzi zbiera się jednak coraz więcej. Trudno ich policzyć, bo wszyscy wciąż w ruchu, przesiewają się od narożnika do narożnika. Kilkaset osób, nie więcej. Spadają kolejne petardy. Znów krzyki, łzy, obłoki białego dymu, siarczyste przekleństwa. Na balkonach i w oknach coraz więcej widzów, wkrótce więc kolejne petardy szybują w stronę budynków, rozbijają szyby, wpadają do mieszkań, palą firanki i podłogi, oślepiają i duszą mieszkańców. Okna więc zamykają się, ludzie znikają z balkonów, zaciągają zasłony. Zapewne patrzą teraz przez szpary w kotarach.

Nagle od strony zomowskiej tyraliery rozlega się ostry, świetnie niesiony przez mroźne powietrze poranka głos z megafonu na jednym z samochodów: „Proszę się rozejść, gdyż w przeciwnym wypadku użyjemy broni palnej! Proszę natychmiast się rozejść!” Przez chwilę konsternacja, podniesione głosy, krzyżujące się okrzyki. Po chwili zapada cisza. Nie wiadomo, wierzyć, czy nie wierzyć. Ktoś z tyłu woła: „Nie picuj, ty stary chuju!” Ale widać, że ostrzeżenie zrobiło wrażenie. Przebiegam wzrokiem policyjne szeregi, taksuję odległość pomiędzy nami a nimi. Nie ulega wątpliwości, że jeśli zaczną strzelać, będzie wśród nas sieczka i fruwające flaki. Najchętniej schroniłbym się w jakimś wylomie, za drzewem, lecz ulica jest dość goła. Jesteśmy tu jak na widelcu. Irek jakby nie słyszał, przeciera okulary, poprawia w butach skarpety, wyciera pot z czoła. Wszyscy są wyraźnie skonsternowani, nie wiedzą co robić. Wśród zomowców ktoś dostrzegł chwilę dezorientacji i niepewności, więc postanowił kuć żelazo póki gorące. Nadleciały następne petardy. Dymią się, gryzą w oczy, ale już nikt ich nie odrzuca. Chcąc widzieć efekty, należy odbić się kilkanaście metrów od tłumy, znaleźć się samemu na pustej przestrzeni. Stąd rzut nie ma jakiegokolwiek sensu — zbyt daleko. Przedtem ten i ów ryzykował wybieg, robiąc nagły w tył zwrot na widok wybiegających z szeregu zomowców. Teraz wszyscy stoją niepewnie. Nawet nie krzyczą.

I w tym właśnie momencie z grupy po przeciwnej stronie wybiegł chwiejnym krokiem jakiś monter w granatowym kombinezonie i z dużą, kanciastą torbą na długim pasku. „Elektryk” — pomyślałem mechanicznie. Najwyraźniej mocno podpity, chwiejąc się na boki jak kaczka, szukał w kłębie dymu petardy. Ten moment przeciągnął się w nieskończoność, jak na zwolnionym filmie. Nieśkładność ruchów ryzykanta i podrygi wstrząsanych pijacką czkawką pleców stały w tak jaskrawej sprzeczności z grozą chwili, że wśród tłumy rozległy się śmiechy. „Wujek, nie tam, bardziej na prawo!” — pomagał w poszukiwaniach ktoś z kibiców.

Uparty człowiek wreszcie namacał. Trudno powiedzieć, jakim

cudem utrzymywał parzącą tuleję petardy w gołej dłoni. Biegł z nią wprost na nas. Znow ktoś krzyknął: — „Nie tam, na lewo”! Zakręcił niczym bohaterowie rysunkowych filmów Disneya: wykonał zwrot tułowiem, a dopiero w dobrą chwilę potem do ciała dołączyły płaczące nogi. Wywrócił się, po chwili powstał i znow puścił się tym przekomicznym, pijackim biegiem wprost na policyjny szereg. Nad nami stała ogromna cisza. Przestrzeń kurczyła się, zaciskałem spocone dłonie, ludzie obok wyciągali szyje jak gęsi. Widzieliśmy tylko płaczące się nogi granatowego montera i przezroczyście szereg tarcz, spomiędzy których wystawały lufy kałasznikowów. Chyba wszyscy, jednakowo zmartwiali, czekaliśmy na to samo: na suchy terkot serii, urwany nagle krzyk i osuwające się na oblodzony bruk ciało. Tymczasem słychać było tylko nierównomierny stukot butów i torby, odbijającej się od kolan. Dobięgl na jakieś 10, może 15 metrów. Rzucił tak samo jak biegł, ale odbita od ziemi petarda zrykoszetowała i wylądowała w środku szeregu. Pijak potrzebował dokładnie tyle samo czasu na odwrót, ile dwaj zomowcy na odrzucenie tarcz i wyrwanie się spomiędzy kolegów.

Na rozpaczliwy bieg pijaka patrzyliśmy z otwartymi oczami, gdyż torba zaplątała mu się między nogi i widać było, że upadek jest kwestią najbliższych kilku metrów. Odległość pomiędzy nim a goniącymi malała w ułamkach sekundy. W otaczającym nas tłumie ktoś ciężko jęknął: — „No, to ma przejebane”! Nad głową montera wznosiły się już wygięte od rozmachu pałki. I znow scena ta jakby rozciągnęła się w czasie tak, że widać było każdy detal ruchów: rozpędzone, mocarne ciała zomowców, wychylone do uderzenia, opadające w dzikim rozmachu pałki oraz tracące równowagę nogi elektryka, zaplątane w taśmę od torby.

Rozjuszony pęd, gwałtowny wymach rąk, oblodzona jezdnia i nieszczęsna torba zrobiły swoje: pijak padł jak ścięty w półobrocie na ziemię, opadające pałki chybiły celu, a okute buty prześladowców zahaczyły o zwalone niespodziewanie ciało. Rozległ się głuchy łoskot hełmów i metalowego rynsztunku, trzask pękającej osłony z plexi i dzikie przekleństwa. Pijak zaś, niczym sprinter zrywający się do biegu, wytrysnął spomiędzy kłębiących się ciał tym swoim charakterystycznym biegiem, wpadł na żywopłot, runął raz jeszcze... po czym rozplątał się w mlecznej zawieszynie z nieskładnym machaniem szukających równowagi rąk.

Wszyscy odnieśliśmy wrażenie, że w ogóle nie dostrzegli goniących go zomowców ani całej grozy swego położenia. Po prostu nie widział na oczy, ledwo trzymał się na nogach, działał wpół instynktownie, a groźby użycia broni zapewne w ogóle nie słyszał. Tymczasem z ziemi podnosili się porozbijani bandyci w mundurach. Przeklinali, zbierali pogubione i potrzaskane części

bojowego rynsztunku, ocierali krew z twarzy. Jeden z nich utykał, drugi trzymał się obiema rękami za twarz. Cała ulica i budynki brzmiały oklaskami. Jak na meczu lub na igrzyskach. Krzyki entuzjazmu krzyżowały się ze spazmatycznymi, gwałtownymi wybuchami śmiechu. To była owacja za indywidualną, przebojową akcją. Groza i stojący w mroźnym powietrzu strach zniknął jak kamfora. Wszystko utonęło w ogólnym tumulcie i aplauzie zachwytu.

Niemal równocześnie cały policyjny szereg rzucił się do ataku, posypały się znow petardy, ostrym pędem wjechały samochody i pancerny wóz z sikawką. Na nowo zaczęły się łowy na podwórkach i klatkach schodowych. Ale już jakby niepoważne, groteskowe, wyśmiane, zlekceważone przez jeden pijany, rozpaczliwie nieskładny bieg małego montera o oczach zaćmionych dymem i wódką; przez potężny wybuch oswabdzającego śmiechu, rzuconego w ścianę umięśnionych ciał, plastikowych tarcz, metalowych hełmów i wyszczerbionych luf.

Po południu wróciliśmy w to samo miejsce. Teraz wszystko było dokładnie odwrotnie. Tam, gdzie rano bezładnie przelęwał się tłum, obecnie stoją niebieskie ciężarówki z plandekami. Na ławkach, upchani w równych szeregach, siedzą młodzi zomowcy o zamyślonych obliczach neandertalczyków. Część wozów już opustoszała. Oprócz znanych nam oddziałów z długimi pałkami i tarczami pojawiły się jakieś nowe formacje w ciemniejszych o ton mundurach i zwyczajnych furazerkach. Nie noszą pancerzy z plexi, lecz u boków pałki wcale nie mniejsze niż u tamtych. Zapewne uznano, że siły uderzeniowe ZOMO są zbyt małe, a większej ilości nie udało się ściągnąć, bo zajęte są w innych częściach miasta. Zgromadzenie tych odwołów wydało się widocznie dowódcom operacji w tej części miasta konieczne, gdy w miejscu, gdzie jeszcze rano stał policyjny kordon, teraz zebrał się dość spory tłum ludzi.

Znamy już dobrze okoliczne podwórka, więc łatwo prze-mykamy się na drugą stronę skrzyżowania, do „naszych”. Już po kilku chwilach dowiedzieliśmy się, że jakiś czas temu spory oddział policji próbował przedostać się w stronę Fadromy, lecz został odparty przez zgromadzonych tu ludzi. Odnosimy wrażenie, że to poprawiło nastroje, lecz widać już, że za chwilę dojdzie do kolejnych starć.

Doświadczenie w ulicznych walkach zdobywa się niemalże z godziny na godzinę, więc wiemy już, że ataku na okoliczne zakłady pracy zgromadzonymi tu siłami przeprowadzić się nie da. Do tego potrzebne są, jako obstawa, czołgi lub transportery

opancerzone. Dopóki nie nadciągną, wszystko musi ograniczyć się wyłącznie do strzelania petardami z gazem łzawiącym. Ludzie zaś odpowiedzą, czym mogą: krzykiem, skandowaniem, kamieniami i wszystkim, co w pobliżu nadaje się do rzucenia. Podchodzimy więc kilkaset metrów do Fadromy, gdzie kręci się sporo ludzi, rozmawiając z robotnikami przez metalowe pręty. Pod bramę podstawiono ogromne, jaskrawo żółte maszyny, produkowane w tym zakładzie. Przyglądamy się, zastanawiając się głośno, czy będą w stanie oprzeć się czołgom, próbującym staranować bramę. Co jakiś czas ktoś podbiega, informując w paru zdaniach o poczynaniach policji. Robotnicy udają spokój i ospałość, trochę nawet żartują, lecz widać wyraźnie, że daleko im do śmiechu.

Przyplątuje się do nas znajomy dziennikarz z *Wieczoru Wrocławia*. I on udaje, ale inaczej. Ożywiony, opowiada co widział w innych częściach miasta, chodzi pomiędzy ludźmi, nawiązuje rozmowy, chce koniecznie uchodzić za jednego z nas, demonstracyjnie okazuje swoje oburzenie ogłoszeniem stanu wojennego i poczynaniami policji. Irek nawet nie udaje uprzejmego. „Co ty rozmawiasz z tym kutasem” — napomina mnie donośnie, dbając, by jego głos dotarł do uszu młodego dziennikarza. — „Nie przesadzaj — odpowiadam — przecież nic nie wiesz o człowieku”. — „To świnia!” — kwituje moje wątpliwości przyjaciel. Przyszłe miesiące miały pokazać, że nie mylił się nawet na jotę. Niejeden raz w czasie stanu wojennego mieliśmy okazję czytać jego peany na temat dobrodziejstw „historycznej, dalekowzroczonej decyzji” generała.

Po jakimś czasie od strony placu Pereca słyszymy znajomy łoskot. Idą czołgi. Dziennikarz znika, jakby się zapadł pod ziemię. Za płotem Fadromy podniecone krzyki i bieganie. Ludzie spod bramy ruszają w stronę bunkra, gdzie niechybnie nastąpi gwałtowny atak na tłum blokujący ulicę. Czoło pancernego korpusu zatrzymuje się jednak na wysokości handlowego pasażu, gdzie przed południem miały miejsce najbardziej gwałtowne bijaćki. Chodzimy wzdłuż stalowego szeregu, zajmującego cały odcinek Grabiszynskiej aż do wiaduktu. Dwadzieścia kilka maszyn stoi w miejscu z wyłączonymi silnikami na jałowym biegu, co i tak daje wrażenie nieprawdopodobnego hałasu. Ten i ów próbuje wdrapać się na korpus czołgu, lecz nagłe podrygi koleszów, dziki ryk pobudzanych akceleratorów motorów oraz uderzające w twarz kłęby spalin zniechęcają do dalszych prób kontaktu ze żołnierzami. Zresztą nie otwiera się ani jedna kłapa. Wszyscy czujemy się wyraźnie zdetonowani martwością stalowego szeregu. Nieśmiało okrzyki „wojsko z nami” gasną niczym zdmuchnięta świeca. Ci w środku nie chcą o tym słyszeć. Jest w tym jakaś logika. Jaki sens może mieć rozmowa z tymi, na których za chwilę trzeba będzie skierować rozpedzone kilkadziesiąt

ton żelaza? Mimo to od czasu do czasu ktoś podejmuje bezradne próby przekrzywienia hałasu. Równie dobrze można próbować porozumieć się ze ścianą górskiego masywu.

W okolicy bunkra znów podnoszą się krzyki. To ludzie reagują na formowanie się policyjnego szyku. Zaczyna zmierzchać, więc czołgi włączają reflektory. Za chwilę to samo czynią kierowcy pojazdów policji. Oświetlają zbiorowisko, które narasta wokół tramwaju, ustawionego na wprost szykujących się do szturmów oddziałów. Za chwilę ludzie nabierają jeszcze większej pewności siebie, gdyż tramwaj, który nadjechał z przeciwnej strony, od PKWN, ustawił się obok pierwszego na środkowym torowisku, tworząc już wcale okazałą zaporę. Za parę minut w lukę pomiędzy tramwajami a krawężnikiem od strony Stalowej wjechał przegubowy autobus. Kierowca wyłącza silnik, tak samo jak poprzednio tramwajarz blokuje pojazd i wychodząc zamyka drzwi. Niemal równocześnie spod wiaduktu nadjeżdża w wielkim pędzie spora kolumna samochodów wypełnionych świeżymi oddziałami ZOMO.

Wszystko nagle zaczęło toczyć się w przyspieszonym tempie. Policja wyładowuje się wraz ze swoim sprzętem, zapina pasy oporządzenia, dociąga zapinki hełmów, spuszcza przezroczyste przyłbice, poprawia tarcze. Za chwilę bez wątpienia nastąpi gwałtowny atak. Pośrodku zomowskich szeregów uwijają się dowódcy, wydając podniesionym głosem rozkazy. Pancerny korpus z rykiem rusza naprzód, sytuując się za grupami policji. Nie mamy wątpiwości, że uderzenie pójdzie prawą stroną, gdzie pozostało jeszcze sporo miejsca, by mogły przejść czołgi. Na samochodach włączone zostają dodatkowe, bardzo silne reflektory, które rozświetlają ulicę ostrymi klinami oślepiającego światła.

Ruszamy biegiem z powrotem, podwórkami, by przedostać się na drugą stronę formującej się z pojazdów i ludzi barykady. Nie rzucono jeszcze gazów, więc widzimy, jak w lukę z prawej strony wciska się nieopatrznie przepuszczony przez ZOMO autobus, tarasując całkowicie przejazd policyjno-wojskowej kolumnie. Ludzie wiwatują, krzyczą, skandują. Za chwilę jednak wszystko ginie w ogłuszającym ryku maszyn, detonacjach wybuchających petard i gazowych granatów, wwiercającym się w uszy krzyku tłumu i atakujących policjantów. Nie widając już nic, gdyż wszystko powleka gęstą, wgrzyżającą się w oczy mgłą. Przeskakujemy krzaki, widząc biegnących wprost na nas zomowców z podniesionymi pałkami. Z lewej wybiega im niemal pod ręce grupka chłopców w wieku licealnym. Wszystko miesza się, kłębi, krzyki wzbijają się pod niebiosa. Momentami kłęby dymu zasnuwają dosłownie wszystko, nie widać najbliższego budynku. W tym zamęciu może się zdarzyć dosłownie wszystko. Słychać

głośny, głuchy łoskot. Czy to czołg próbuje sforsować zaporę z tramwajów i autobusów? Nie widać nic. Nagle wypada na nas i niemal wywraca grupa uciekających w panice ludzi. Zanim zdążyliśmy zmienić kierunek biegu, znajdujemy się w samym środku pędzącej młócki. Gwałtownie poruszają się ręce, mundury, tarcze i nieprzytomne, jakby w amoku, za osłonami twarzy. Przelewają się obok nas, potrącają i znikają w dymie. Nawet nie mieliśmy czasu wykrzyknąć do siebie ostrzeżenia, zaskoczenia, przestrochu.

Bardziej instynktem niż wyczuciem kierunku wiedziony, przebiegam pomiędzy policyjnymi jeepami kropiącymi kossem między budynki na Oporowskiej. Odbijamy się od ludzi przebiegających w najbardziej niespodziewanych kierunkach, gubimy się i odnajdujemy. Nie wiem jakim cudem Irek wypatruje w tej kotłownianinie moją sylwetkę, ale zawsze, gdy odwracam się przed następnym przeskokiem, odnajduję wzrokiem zarys jego wielkiego ciała. „Gdzie teraz?” — pyta zdyszczanym głosem. Wypatruję w kłębach dymu następną lukę i pędzimy dalej. Wreszcie docieramy od drugiej strony do tarasujących jezdnię tramwajów i autobusów. Przybył jeszcze jeden. „Więc jednak nie sforsowali” — ucieszyłem się w duchu. Kątem oka widzę rozgorączkowaną, zalaną łzami twarz przyjaciela. Jego okulary znów gdzieś zniknęły. „Co tam widzisz?” — pyta. Trudno powiedzieć. Chaos, tumult, ruchliwe sylwetki zomowców i ludzi rzucających czym popadnie. Rzucamy i my.

Rzecz dziwna jednak. W miejscu, gdzie powinno być największe zamieszanie i najgorętsza walka jest jakoś luźniej. Dochodzimy ostrożnie do tramwaju z prawej strony. Pomiedzy nim a autobusem otwiera się wąski przesmyk, przez który widzę wyraźnie, co się dzieje w głębi. Zomowcy stoją w grupkach niezdecydowani, inni wracają z łowów pomiędzy budynkami, ciągnąc ze sobą poturbowanych i pokrwawionych ludzi. Wpychając ich do samochodów, grzmocą jak oszalali po plecach, głowach i nogach. W środku odbywa się dalszy ciąg egzekucji. Krzyki i wrzaski nie milkną. W to jazgotliwe tło wrąbuje się równym rytmem donośne skandowanie: „Ge-sta-po! Ge-sta-po!”

Czołgi podjechały tuż pod zaporę z pojazdów MPK. Dowódca kolumny krzyczy coś do dwóch wyższych stopniem zomowców, którzy zdają się kierować całą akcją. Machają rękami, gestykują. Światła reflektorów przebiegają po policyjnych szeregach, kładą się efektownymi refleksami na tarczach i osłonach twarzy. Zomowcy wyglądają jak wielkie, drapieżne pająki. Gdyby nie to, że na moich oczach rozgrywają się rzeczy budzące strach, mógłbym powiedzieć, że oglądam jakieś niezwykle piękne, efektowne widowisko plenerowe, pełne niezwykłych kolorów i dynamicznych scen zbiorowych. Szczególne wrażenie

robią wykonturowane silnym światłem kształty rzeźbione w grudniowym powietrzu przez kłęby dymu, podświetlane dodatkowo niebieskimi, rytmicznymi błyskami policyjnych „kogutów”. Dodatkowo urozmaicają to czerwone poblaski światła „stopu” i żółta poświata ulicznych lamp. Zupełnie niewiarygodna konfiguracja zmieniających się barw, oświetlająca najbardziej prawdziwą z walk. Pełna krzyków bólu, strachu, oburzenia, dzikiej pasji. Odbywa się we mnie jakieś przedziwne rozdzielenie na chłonnego kolorystyczno-ruchowe efekty obserwatora i normalnego, ogarniętego pasją walki i gonitwy manifestanta, odczuwającego jakąś pierwotną przyjemność w ryzyku i grozie.

W pewnym momencie dowódca pancernego korpusu odrywa się od zomowców, z którymi tak gorączkowo dyskutował przez dłuższą chwilę. Idzie zdecydowanym krokiem w stronę autobusu stojącego od strony bunkra. Osłania go dwóch, może trzech zomowców z bronią w ręku wymierzoną na boki. Domyślam się, że próbuje zbadać możliwość rozepchnięcia tarasujących drogę pojazdów. Dochodzi do drzwiczek kierowcy i zagłada przez szybę w ciemne wnętrze. W tym samym momencie jakiś rykoszet światła rozjaśnia kabinę kierowcy i widzę go wyraźnie, siedzącego — o dziwo — na swoim miejscu. Z tyłu rozległ się przeciągły, zdumiony jęk. To podobni nam kibicie zdarzeń, którzy nadciągnęli z okolicznych podwórek, dali wyraz swojemu zawodowi, zdumieniu i przestraszowi. Dlaczego nie uciekł? Po co tam siedzi?

Przed naszymi oczami rozgrywała się jedna z najbardziej przejmujących scen tych dni. Stałem bardzo blisko, osłonięty częściowo tyłem tramwaju. Może 10, najdalej 15 metrów. Każdy ruch było widać jak na dłoni. Mały, pękaty major w zielonym, połowym mundurze ostrym, podniesionym głosem wydawał rozkaz kierowcy autobusu. Nie słyszałem słów, tylko szczekanie równoważników zdań zagłuszane dokładnie zalewającym nas ze wszystkich stron tumultem. Kierowca w ciemnym mundurze MPK odpowiadał coś wojskowemu, wskazując ręką raz przed siebie, w stronę Fadromy, to znów w stronę wyłączzonego silnika. Odpowiedzią był histeryczny, przenikliwy wrzask majora, który gwałtownie sięgnął do kabury i wyjął pistolet. Machał nim przed uchylonym okienkiem autobusu, wskazując kierunek odjazdu. Kierowca rozkładał ręce i coś tłumaczył. Furia dowódcy pancernego korpusu sięgała zenitu. Uzbrojona w pistolet ręka wsunęła się w okienko, lufa niemalże dotykała krótko ostrzyżonej głowy. Za mną rozległy się przenikliwe piski kobiece i głośne krzyki: „Uciekaj, zastrzeli cię! Uciekaj!” Brzegiem świadomości zarejestrowałem wśród głosów charakterystyczny krzyk Irka, opartego na moich plecach i wczepionego palcami w moje lewe ramię.

Młody kierowca zachowywał się zupełnie irracjonalnie. Przynajmniej tak wydawało się w tamtym momencie. Odwrócił się od rozwścieczonego majora i wymierzonego weń pistoletu, zacisnął obie dłonie na kierownicy i patrzył w mrok ulicy Grabiszyńskiej, w stronę zajezdni i Fadromy. Wątpię, aby cokolwiek widział w tym momencie. Na słabo oświetlonej twarzy malowało się nieprzejednanie, głucha zaciętość, skurcz ostatecznej decyzji. Ta chwila zdawała się trwać wiecznie. Dziś wiemy, że strzał był raczej nieprawdopodobny, ale wtedy chyba nikt spośród świadków tej sceny nie miał najmniejszej wątpliwości, że za ułamek sekundy ręka majora zostanie poderwana wystrzałem, głowa kierowcy opadnie bezwładnie na kierownicę, a cząstki mózgu i wyrwanej kości bryzną na szyby autobusu. Rozjuszenie wojskowego było tak wyraźne, że z samego tylko napięcia ścięgien i mięśni palec winien był docisnąć język spustu do rękojeści pistoletu. Tylko jedno drgnięcie palca dzieliło kierowcę autobusu tarasującego przejazd czołgom od śmierci. Ale on patrzył przed siebie, jakby nie widział nic, ani tej spoconej, zmiętej w zwierzęcym skurczu twarzy majora, ani wyciągniętej ku niemu broni, ani lufy opierającej się niemal o jego ucho.

Nie wiem, co myślał w tym momencie. Ten obraz, wyraźny i ostry, wraca mi przed oczy przez wszystkie lata, które minęły od tego czasu. Wmyślam się w tę głowę pochyloną lekko do przodu, jakby czyniła miejsce lufie, w napiętą twarz patrzącą bez słowa w ciemną przestrzeń przed sobą, w ręce zamknięte na kierownicy. Pewnie nie myślał nic. Może się modlił. Ale raczej na pewno w tej czaszce otworzyła się czarna dziura, otchłań ciszy i myślowej anestezji. Pustka, która jest przeczcuciem, pewnością niemal tej pustki, którą otworzy pocisk przelatujący przez kości i zwoje mózgowie. Pustka wyboru i odejścia. Ostateczna. Nieodwołalna.

Do dziś zdumiewa mnie dysproporcja czasowa tej zdawałoby się nieskończenie wydłużonej sceny i wszystkiego, co nastąpiło potem. Z ust majora chlusnął potok dzikich przekleństw, ręka gwałtownym ruchem wepchnęła pistolet do kabury, krępe ciało wykonało nagły zwrot w prawo i zniknęło pomiędzy burtą samochodu i tramwaju. Za mną rozległ się gromki i wysoki ryk tryumfu, rozsypany po chwili w głośne kontrapunkty wykrzykników, pisków i okłasków.

Nie było nam dane zbyt długo świętować tryumfu, nie zdążyliśmy nawet podbiec do autobusu, by uścisnąć rękę wciąż patrzącego wprost przed siebie kierowcy lub rzucić parę rozemocjonowanych słów, gdyż niemal natychmiast zomowcy rzucili się z krzykiem w naszym kierunku. Znowu rozpoczęło się bieganie, gwałtowne zwroty i zatrzymania, poszukiwanie kamieni, zgarnianie śniegu, przecieranie oczu, gubienie i odnajdywanie

kierunku. Kiedy znowu wróciliśmy do tramwajowo-autobusowej barykady, ujrzeliśmy, lecz przede wszystkim usłyszeliśmy wzmożony ryk czołgowych motorów i głuchy łoskot. Pierwsza maszyna robiła pełny zwrot do tyłu przez torowiska, za nią szły następne. Gasy oślepiające strugi reflektorów, w migających niebiesko fleszach gramolili się do samochodów zomowcy, podrywając się jeszcze do ostatnich biegów za zbyt zuchwałymi demonstrantami, którzy pragnęli zaliczyć ostatni celny rzut. Po burtach, blaszanych dachach, metalowych siatkach na oknach i plandekach grzmociły ostatnie kamienie i kawałki gałęzi. Odjeżdżały kolejno, wszystkie, co do jednego. Umykające pojazdy goniły chóralne okrzyki, gwizdy, piski i śmiechy. Ulica pustoszała, tylko wokół autobusów i tramwajów stojących pośrodku Grabiszyńskiej gromadziły się przewalające się rozradowane, rozkrzyczane tłumy. W powietrzu stał ostry, gryzący śwąd. Fale dymu przepływały nad ulicą mętными falami.

Wracaliśmy z Irkiem do domu, rozgadani i rozradowani jak dzieci. Machaliśmy rękami, opowiadaliśmy sobie bezładnie wszystko, co obaj widzieliśmy, jak chłopcy wracający w niedzielny poranek z kina. Po obu stronach ulicy szli inni. Tak samo ożywieni, ucieszeni, rozradowani, gestykulujący. Nad nami stała druga, może trzecia mroźna noc stanu wojennego.

Nad ranem znowu poszliśmy w stronę Fadromy. Dostęp był zamknięty. Przed otwartą bramą stały policyjne wozy i rozkraczeni zomowcy z białymi pałkami w rękach. W nocy lub o świcie zgnieciono Fadromę. A po niej kolejno inne strajkujące zakłady i fabryki naszego miasta.

Następnego dnia pobiegłem do pracy, by zorientować się, czy zaczyna się jakiś strajk lub zbiorowa akcja. Niestety stare, poklasztorne mury odbzmiewały tylko echem biegnących po pustych korytarzach kroków. W sekretariacie parę przypadkowych, spłoszonych osób, nikt nie wie, co robić. Większość w ogóle nie opuściła domów.

Wychodzę więc i ruszam w kierunku ZNTK przy moście Trzebnickim. Jest jeszcze rano, pod kurtkę wślizguje się dojmujące zimno. Wczoraj widzieliśmy tam z Irkiem nieprzyjemną akcję zomowców, którzy przeszli spokojnie przez ulicę do gapiów, stojących na chodniku po drugiej stronie i bez uprzedzenia zmasakrowali tych, którzy nie wykazali refleksu lub dobrej orientacji w przestrzeni. Na lewo ode mnie stała dziewczyna w wyszywanych półkożuszkach, na którym kładły się jasne, rozpuszczone włosy. Widziałem ją kątem oka, zajęty głównie właściwym usytuowaniem się na wypadek ataku. Co do tego, że

nastąpi, po doświadczeniach poprzedniego dnia, nie miałem wątpliwości. Staralem się ustawić dokładnie pośrodku tych, którzy nadchodzili z przeciwnika. Wszystkie mięśnie sprężone, uwaga napięta, by nurknąć tam, gdzie otworzy się luka w policyjnym szeregu. Byli coraz bliżej. Brzęcząca blacha. Przepocone sukno. Paski i rzemienie. Profilowany plastik. Wydrążona guma wypełniona rtęcią lub ołowiem. Nieruchome oczy owadów powleczone plexiglasem. Chrząst lodu pod protektorem. Brak słów. I jeszcze zaskoczona twarz dziewczyny w kożuszk. Twarz, która ustąpiła gumie ze zgrzytem łamanej kości.

Dzisiaj na Trzebnickiej jest pusto. Gdy dochodzę do Odry, widzę policyjne wozy w gardle wąskiej uliczki prowadzącej do ZNTK. Obok nich kręcą się niebieskie mundury. Nie przemknę się. Być może nie ma już po co. Może w nocy rozbili zakłady? Ta pustka i martwa cisza nie wróżyły nic dobrego. Wróciłem w stronę centrum.

Nie jestem dziś w stanie dokładnie odtworzyć, gdzie to było. Na pewno gdzieś pomiędzy dworcem Nadodrze a placem Engelsa. Zwałił mnie w to miejsce głośny, oddzwaniający na okolicznych szybach łoskot nadjeżdżających czołgów. Słzy gdzieś od strony Karłowic. „Może to rosyjskie?” — przeleciało po głowie. Domniemanie niebezpieczne, bo tam na północny miastą znajduje się gigantyczna jednostka sowiecka, całe miasteczko. Powoli zbliżałem się do jądra dźwięku. W pewnym momencie zatrzymałem się. Nie było potrzeby iść dalej. Słyszałem wyraźnie, że idą po łuku ulicy wprost w moją stronę. Potężniejszy łoskot i huk nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości.

Mało było wokoło ludzi. Gdzieniedzie ktoś w oknie. Pojedynczy przechodnie. Pospiesznie nurkowali w okoliczne bramy. Trudno opisać potworny ryk, który wylał się wprost pod moje nogi. Odnosiło się wrażenie, że okoliczne domy zaczęły się osypać od wstrząsających fundamentami wibracji. Szło kilka, może pięć lub sześć, potężnych, zielonych kolosów. „A więc muszą być w mieście jakieś poważniejsze walki, skoro wprowadzili czołgi do centrum” — próbuję wyciągnąć jakieś logiczne wnioski z tego, co widzę. Kłapy bojowych maszyn zatrzaśnięte. Ich obecność tutaj robi piorunujące wrażenie. Coś takiego jakby przed naszymi domami pojawił się gigantyczny, pokryty stalową łuską jaszczur. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że żadna ściana nie może być dla tej masy żelastwa zaporą. I wiem już od dawna, że współczesna maszyna bojowa nie boi się butelki z benzyną bardziej niż my natrętej osy.

Zanim pancerny korpus dojechał do mnie, ujrzałem jak z przeczniczy po drugiej stronie wynurzyła się starsza kobieta z wypchanymi siatkami w obu rękach. Szła skosem przez jezdnię, dokładnie pod gąsienice nadjeżdżających czołgów. Nie trzeba

było mieć specjalnych zdolności kreślarskich, by w myśli oznaczyć punkt przecięcia idących równym tempem kolosów i tej samotnej, zgiętej pod ciężarem kobieciny. Jej wzrok wbity pod własne nogi dobitnie świadczył, że wysiłek całkowicie pochłonął jakiejkolwiek zdolności percepcji. Zresztą może była głucha jak pień? Tylko ktoś kompletnie pozbawiony słuchu mógł nie słyszeć tego potwornego łoskotu. Z okna ktoś krzychał: „Gdzie Pani lezie, przejadaj Panią!” Głos zniknął w huku jak brzęczenie muchy. Nie słyszała nic, szła dalej, wprost na pierwszą maszynę.

Kiedy ujrzała ją wreszcie, dwa, może trzy metry od siebie, drgnęła nagle jak rażona uderzeniem prądu... i zatrzymała się. Wbrew logice, rozsądkowi, elementarnym odruchom instynktu. „Chyba jakaś nienormalna” — pomyślałem. Ale nie. Teraz ze skosu widziałem ją lepiej. Była ode mnie nie więcej niż 10 metrów. Na twarzy jej malowało się tak bezgraniczne zdumienie, jakby ujrzała przed sobą rogatego diabła, bijącego ogonem po ziemi lub swego proboszcza, przelatującego przed jej oknami nago na miotle. Nie, nie było w tej twarzy przestachu! Pierwszą mimiczną falą zdumienia zastąpił wyraźny grymas zacieńczenia i nieobliczalnej pasji. Taką twarz ma stara przekupka, której wywrócono stragan; dewotka, na której oczach plugawia święty sakrament.

Wszystko rozegrało się w paru chwilach. Prowadzący czołg był już metr od starej niewiasty, gdy ta, zamiast uskoczyć, odbiec na bok, postawiła wystudiowanym ruchem wypełnione siatki na ziemi. Wzięła się pod boki i czekała. Maszyna ryknęła, nabierając pędu przed rozjechaniem nieobliczalnej staruchy, jakby siódmym zmysłem odebrałem ostry krzyk przygodnych świadków, sam poczułem, jak coś mi się boleśnie zapada w środku... I czołg zatrzymał się, a za nim pozostałe. Znacząc głębokie rysy w bruku, wyrывая kamienie i przekręcając się nieco wokół własnej osi. Metalowa kryza zatrzymała się o kilkanaście, może kilka centymetrów od brzucha kobiety.

W tym momencie rozpoczął się jeden z najdziwniejszych spektakli pantomimicznych w moim życiu. Teraz już nie miałem wątpliwości, że obserwowana przez nas kobieta jest stuprocentowym typem wrocławskiej przekupy. Jej nalana, czerwona twarz nosiła na sobie ponadczasowe, nieścieralne znamię handlu, targowania się o cenę, sprytu i woli. Nad pancerzem bojowej maszyny wznosiły się w wymownym tańcu jej sine ręce, wygrażające stojącym przed nią stalowym smokom, najwyraźniej wysłannikom antychrysta. Z jej ust wylewał się soczysty strumień przekleństw i złorzeczeń. Widziałem tylko zaćmione bezgranicznym oburzeniem oczy kobiety, czerwoną z furii i mrozu twarz, zaciśnięte w górze pięści oraz rozwarte szeroko usta, w których z szybkością skrzydeł kolibra trzepotał język. Ale jednak nie

dobiegał do mnie ani jeden dźwięk. Aria najwymyślniejszych kłąt nie przedostawała się przez dziki ryk maszyny, jakim kierowca usiłował przestraszyć kłopotliwego intruza. Czołg szarpał się w nagłych podrygach, zdawał się uderzać w pierś kobiety, która stała między nim a swoimi siatkami, ale jednak nie posuwał się dalej. Dysproporcja tej góry stali i pękatej, kobiecej sylwetki była taka sama, jak ryku silnika i otwartego gardła.

Dziś to wszystko wydaje się groteskowe i zabawne. Wtedy było groźne, budziło strach. Nie było żadnej pewności, że żołnierza trzymającego w dłoniach przekładnie kolosa nie poniosą nerwy lub biała gorączka, że wykaże należyta precyzję w tej cienkiej grze podrygów ciężkiej maszyny przed człowieczym brzuchem, że nie padnie w słuchawkach kierowcy suchy głos dowódcy: „Sierzancie, dość kurwa tej zabawy! Naprzód! Wykonać rozkaz!” A wtedy przed moimi nogami zostanie skrwawiona szmata ludzkiego ciała, zmieszana z mąką, serem i zgniecionymi jajami.

Patrząc z kolei na rozjuszenie kobiety nie miało się wątpliwości, że i jej artyzm wznosi się na absolutne wyżyny. Z rozwartych szeroko ust biła czysta furia, najświętsze oburzenie. Nie było wątpliwości, że rzuca najstraszniejsze kłątwy, jakie zna ziemia; że gdyby słowa mogły obracać się w ciało, wówczas cały pancerny korpus zapadłby się pod ziemię, wessany przez piekielne czeluści. Już wówczas wydawało mi się, że pojmuję przyczynę tej zdumiewającej mnie do dziś odwagi i determinacji. W tej kobiecej głowie nie mogłaby się zagnieździć jakakolwiek bardziej skomplikowana myśl. Każdym gestem i zagłuszonym krzykiem rządził najstarszy instynkt płci — strażniczki domu i potomstwa. Nie wiem, w jakiej odległości znajdowało się jej mieszkanie, dzieci, garnki i susząca się pościel. Nie wiem, czy sens słowa „stan wojenny” właściwie docierał do jej świadomości. Jednego jestem pewien: stanęła przed czołgami jak ucieleśnienie samiczej furii, która każe rzucić się przeciw stokroć silniejszemu drapieżnikowi, jak pierwotny zew kobiecości, który nakazuje z taką samą determinacją stać przed progiem domu, by odgonić wściekłego psa, podejrzanego Cygana, złodzieja z nożem w ręku lub żołnierza w cudzoziemskim mundurze. W tej chwili nie było dla niej różnicy pomiędzy psem z białą pianą na pysku a pięćdziesięcotonową wieżą stali potrząsającą z rykiem solidnymi, ponemieckimi kamienicami. Uznała, że czołgi wjeżdżające w jej dzielnicę godzą w nią osobiście: w spokojny sen jej dzieci, w całość glinianych garnków, w czystość bielizny, w pewność, że jutro będzie miała co dać do jedzenia rodzinie. W jej głowie wszystko było zapewne elementarnie proste. W stronę jej domu szły pancerne potwory. Nie było więc dla niej innego miejsca jak to przed progiem, z ostatnią bronią kobiety — straszną kłątwą na ustach i wzniesionymi do góry rękami.

Później, przypominając sobie tę scenę, zawsze łączyłem ją w myślach ze słynnym wystąpieniem Borgesa na kongresie, podczas którego niewidomy pisarz źle ustawił się przed mikrofonami na mównicy, więc jego usta, z których płynęła, trudno w to wątpić, sama mądrość, pozostały nieme. Nikt nie miał odwagi podejść do wielkiego artysty i przesunąć go w stronę mikrofonów. Jego długie, bezgłośnie wystąpienie nagrodziły rześiste oklaski. Symboliczna sytuacja. Niewiele mniej symboliczna, choć okraszona alfabetem gestów czytelnych w każdym zakątku Europy, zegrała się przede mną. Nikt nie mógłby mieć wątpliwości, że z ust tej prostej handlary z jakiegoś wrocławskiego placu wypływa Niagara przekleństw i wyzwisk, na jakie złożyły się dziesiątki lat spędzone za straganem i desperacka wściekłość. Koncert kłąt, na które procentowały wieki polskich bazarów, targów i jarmarków. Zagłuszony, zmiażdżony przez pancerny ryk. Ale nic nie mogło zagłuszyć niepowtarzalnej pantomimy rąk i tułowia, najwyrazistszej z wyrazistych gier oczu, warg i twarzy. Najczystsze instynktowne znaczenia wpisane były w każdy najdrobniejszy nawet ruch. Niema emanacja instynktu kobiety. Rodzicielki. Żywicielki. Ostatniego ciała, jakie staje pomiędzy niszczącą siłą a domem i dziećmi.

Nie ustąpiła do końca. Odciągnęliśmy tę nieobliczalną kobietę. Walczyła z nami. Rzuciła kilkoma silnymi mężczyznami jak mokrymi powrośtami prześcieradeł. Krzyczała. Ona uznała, że jej miejsce jest tam — naprzeciw stalowych gąsienic. W końcu osłabła, sflaczała w rękach, dała się posadzić na ławce. Znow ujęła w dłonie ciężkie jak młyńskie kamienie siatki. Czołgi z dziarskim rykiem ruszyły dalej. Być może było to złudzenie, ale jechały już jakby wolniej, niepewnie, bez poprzedniego przekonania.

Minął niemalże rok. Wiele przez ten czas przewaliło się przez miasto rozruchów, manifestacji, „zadym”. Jedna niepodobna do drugiej: od polowań pomiędzy operą a arkadami, kończonych wyławianiem pechowców z klatek schodowych i przypadkowych mieszkań po gwałtowne, wieczorne ataki młodzieży uzbromionej w butelki z benzyną na policyjne samochody przed Dworcem Świebodzkim; od niebezpiecznych igraszek w przechodnich bramach pomiędzy Rynkiem a trasą WZ po dramatyczne, okupione ofiarami, wielogodzinne bitwy nocne na placu Pereca, oświetlane wysokimi płomieniami płonącego samochodu i pojemników na śmiecie.

Ten dzień miał również mocno wryć się w pamięć. 11 listopada 1982 roku. Ostatnia, rzeczywiście masowa manifestacja

we Wrocławiu z okazji Święta Niepodległości. Potem wszystko się już rozmywało i kurczyło.

Kiedy szedłem w kierunku placu Dzierżyńskiego, przyglądałem się wzmocnionym patrolom policji na ulicach. Już dawno nie widziałem tylu zomowców na raz. Dawniej było ich jakby mniej, ale obchodziło się ich półkolem jak dzikie zwierzęta. Grzali dłonie przy koksownikach, lustrowali każdego przechodnia, w każdej chwili można się było spodziewać ataku. Teraz chodzą szóstkami. Często przysiadają na ławkach. Pałą papierosa, spluwają, wyciskają pryszcze. Oglądają się za dziewczynami. Na ich twarzach nie widać pięt na Kaina. Tarcze oparte o drzewa. Spoczone kaski zawieszono na pobliskim parkanie. Senny wzrok. Ale nie ma wątpliwości. To oni łamią szczęki, kopią w genitalia, wybijają oczy. Nie robią tego wrażenia, co dawniej, a to oni rzucili na kolana miliony.

Od strony Rynku ciągną całe pochody. Patrole zatrzymują, legitymują, lecz nie są w stanie zawrócić tej ludzkiej rzeki. Z różnych stron słychać już wysokie piski syren. To policyjne kolumny zdążają ku naszej dzielnicy. Nie ma wątpliwości, że szykuje się coś naprawdę wielkiego. Z głębi Wita Stwosza nadjeżdża wielka, znana mi już znakomicie polewaczka z pancerną wieżyczką na wierzchu. Leje niebieską cieczą jak popadnie, w prawo i w lewo, wszędzie, gdzie widać nieco więcej ludzi. Nikt się nią specjalnie nie przejmuje, bo wszyscy już z grubsza wiedzą, jak się przed nią chronić. Tylko Bogu ducha winni, przypadkowi przechodnie krzyczą, przemoczeni od stóp do głów wodą zmieszaną z barwnikiem.

Na placu Dzierżyńskiego kłębi się już ogromna masa. Ludzie rozmawiają, od czasu do czasu skandują. Robi to wrażenie gigantycznego pikniku. Co chwilę spostrzegam znajome twarze, nawet takie, których nigdy nie spodziewałbym się w tym miejscu. Tłum nieustannie rośnie, gdyż ze wszystkich okolicznych ulic wlewają się nieprzerwane strumienie mężczyzn, młodzieży i kobiet. Otaczający rzadkim pasem plac zomowcy nie próbują już nawet atakować zbiegowiska. Proporcja ilościowa jest tak miażdżąca, że przestali już nawet żywiej reagować. Po prostu stoją w grupkach na skrzyżowaniach i tylko od czasu do czasu legitymują tego, czy owego, jakby chcieli zaakcentować swoje znaczenie.

Czas mija, skandowanie jest coraz głośniejsze, wręcz ogłuszające. Odbija się od ścian kościoła, hotelu, budynku PZU i długiego bloku, odchodzącego od pałacu Hatzfeldów, wzbija się w górę, przewala po sąsiednich ulicach, ściągając coraz większe tłumy. Z każdą minutą rośnie poczucie siły i patriotycznego uniesienia. „Polska nasza! Polska nasza!” — niesie się przez miasto jak grzmot. Dookoła wzruszone, przejęte, nawet załawione

twarze. Wystarczy wspiąć się na palce, by widzieć, że tak daleko jak sięga oko ciągnie masa ludzka, głowa obok głowy. I wszystko to krzyczy, śpiewa, skanduje. Tak wielki tłum widziałem na wrocławskich ulicach tylko dwa razy w życiu: w 1956 roku, gdy domagano się wyjazdu z Polski Rokossowskiego, oraz w dniu przyjazdu papieża.

Wreszcie gigantyczna masa drgnęła, ruszyła w wąskie gardło między hotelem „Panorama” a Muzeum Architektury. Rytmicznie krzycząc płyniemy pod wielką, czerwoną ścianą Poczty Głównej, chwila wzruszenia, gdyż z okien sypią się na nas wiązanki kwiatów. Tłum skanduje coraz głośniej. Nigdy wcześniej nie czułem się tak pewnie w ludzkiej masie. Dotąd na ogół policja bez specjalnego trudu rozpraszała nawet spore zbiegowiska i zorganizowane pochody. Takiego jeszcze tu nie widzieli. W stronę województwa wali jakieś 20 tysięcy ludzi. Policja zniknęła z pola widzenia.

Przepycham się do przodu, lecz idzie to opornie, bo tłok coraz większy. Od czołowego szeregu dzieli mnie już tylko kilkanaście metrów. W końcu grzęznę na dobre. Na szczęście wzrost pozwala mi wstępnie rozeznac sytuację. Dochodzimy do skrzyżowania alei Słowackiego, gdzie nieliczne grupy ZOMO szykują się do ataku gazowego. Nie ma wątpliwości, że jest ich zbyt mało, by zatrzymać tę rzekę. Za chwilę rzeczywiście w środek tłumu wpadają syczące petardy, kopcą i gryzą w oczy, ograniczając widoczność. Nikt ich jednak nie odrzuca, bo nawet nie ma jak, jest zbyt ciasno. Tylko idący z brzegu uciekają przed dymem pomiędzy drzewa do parku przez muzeum.

Ci, którzy wystrzelili petardy, umykają przed czołem pochodu. Powoli orientuję się, na co się zanosi. Na wprost przed nami, gdzie tylko sięgnąć wzrokiem, widać zasnuty jeszcze fałdami dymu, długi pas policji. Są tam chyba wszystkie formacje ZOMO, poprzez ROMO, na ORMowcach kończąc. I oni zgromadzili poważne siły. Stoją jeden obok drugiego od mostu Pokoju, wzdłuż wielkiego budynku województwa, tarasują dostęp do mostu Grunwaldzkiego i ciągną się gęstym szpalerem dalej, w głąb Mazowieckiej. Końca szeregu nie widać, bo niknie w okolicach Traugutta. Za nimi stoją wszystkie znane pojazdy policyjne. Z przodu tylko jeepy z wyrzutniami granatów.

Im bliżej podchodzimy, tym bardziej zwalnia się krok tłumu. Widok zwartych szeregów policji robi swoje. Wyraźnie czuję, jak rośnie strach i emocja. Nie przed bijatyką, bo to wszyscy dobrze znają. Zachowanie mundurowych sprawia wrażenie, jakby przygotowywali się nie do rutynowego ataku gazowego, lecz do prawdziwego strzelania. „Udają, czy naprawdę?” — słyszę obok pytanie. Dokładnie o tym samym myślę. Czoło pochodu zbliża się coraz bardziej. Policja trzyma w rękę broń,

nie tylko pałki. Na dachach pojazdów dostrzegam karabiny maszynowe i przyklepione do nich twarze. Wygląda to naprawdę groźnie. Roczne doświadczenie stanu wojennego robi swoje. Wiemy już, co jest typowe, a co nie. Wszyscy wyczuwają, że tym razem jest inaczej. Zarówno liczebność jak i uzbrojenie stojących naprzeciwko nas oddziałów wskazują na jakąś nową taktykę.

Nietrudno domyśleć się, że jeśli dziś dojdzie do strzelaniny, będzie istna masakra. Ciało koło ciała, głowa koło głowy. Potworna ilość ludzi. Kul niecelnych po prostu być nie może. Po raz pierwszy od pierwszych dni tej wojny czuję się nieswojo, coś podchodzi do gardła. „Dobrze, że stoję bardziej z tyłu” — przelatuje mi wstydliwa myśl po głowie. Przesuwam się nieco w lewo. Tam jest trochę luźniej. Stąd łatwiej w razie potrzeby nurknąć pomiędzy drzewa, a z kolei ze skosu lepiej widać czoło pochodu. Powoli zatrzymuje się, martwieje. Słychać okrzyki, lecz jakby słabsze. Tylko z głębi, w tyle, przetacza się z niezmienną siłą i wigorem grzmot skandowania. To ci, którzy dochodzą do poczty. My natomiast stoimy na wprost długiego i gęstego szeregu, z którego jeżą się ku nam zupełnie niedwuznacznie lufy. Niektórzy z brzegu zupełnie jawnie już uciekają. Z obu stron napięte milczenie. Pełną perspektywę zasłaniają mi ludzkie głowy, znajdujące się przede mną. Widzę jednak, że nasz pierwszy szereg stoi.

W tym momencie chwytam okiem charakterystyczną postać, która już wcześniej, jeszcze na placu, zwróciła moją uwagę. To potężny mężczyzna w średnim wieku, który pojawił się w tłumie z rowerem, na którym wiózł napakowany czymś worek od ziemniaków. Masywna, spocona postać bez koszuli, wyraźnie kontrastująca z otoczeniem. Rozgrzany marszem, krzykami i otaczającą go masą zrzucił kraciastą, flanelową koszulę. Trzyma ją teraz w ręku. Zimno się go widać nie ima. Jego potężne ramiona, wielki, wypukły brzuch i zwały mięśni na piersiach pokryte są potem, lśnią jakby nasmarowane olejem, podobnie zresztą jak pełna, zaczerwieniona twarz i łysina nad czołem. Roweru nie widzę, pewnie zostawił go wraz z bagażem pod jakimś drzewem. Teraz zachowuje się tak, jakby chciał ruszyć do przodu, poderwać do dalszego marszu zastygły własnie tłum.

Czas znowu się zatrzymał. Policja i stojący na czele pochodu demonstranci patrzą na siebie z odległości nie większej niż 30-40 metrów. Przez ręczne megafony dowódców padają jakieś ostrzegawcze zdania. Wszyscy czują, że struna napięta jest do ostatecznych granic. Za chwilę coś pęknie i rozlegnie się wrzask. Tylko czy przecięty ostrym gdakaniem broni i skowyttem pocisków na bruku, wrąbujących się w ludzkie ciała? Pocą

się ręce, czoła, oddechy zatrzymują się w piersiach. Na wąskim odcinku jezdni, pomiędzy ludzkimi masami, tężeje strach.

W tym momencie usłyszałem zdumiewające pytanie, rzuczone krzykiem wprost ku policyjnym szeregom, z potężnych piersi stojącego na czele mężczyzny: „I gdzie są, kurwa, te mocarze, króle i jenerały?” Po czym, nie oglądając się do tyłu, zdecydowanie ruszył do przodu. Minęły dwie, trzy sekundy, zanim ruszyli następni, przed dobry moment spoglądający na oddalające się, spocone plecy mężczyzny, który sam jeden szedł na policyjne szeregi. Ta krótka chwila wiele mówiła o strachu nas wszystkich za jego plecami. Gdyby rozległa się seria, a jego potężne ciało padło na jezdnię, wszyscy w panice runęlibyśmy w tył i na boki, trając się i krzycząc z przerażenia. Nie stało się jednak nic takiego. Usłyszeliśmy znajome pukania wystrzeliwanych petard, w powietrzu rozszedł się równie znajomy, ostry, piekący śwąd. Pierwsze szeregi ruszyły naprzód, za nimi postąpiły tysiące. Szły coraz szybciej przed siebie, ku wąskiej taśmie zwisającego na dwóch stalowych półkulach mostu Grunwaldzkiego.

Potem niewiele już było widać. Kilkanaście metrów przede mną przewalały się i przepychały w gęstwie dymu całe masy ludzkie. Utworzył się jeden ogromny wir, przesuwany nieustępliwie do przodu przez nacisk setek i tysięcy idących z tyłu. Wessało i mnie. Nie miałem już najmniejszego wpływu na to, gdzie rzuci mnie ludzka fala. Pomiędzy nami, jak pływacy, pracowali rękami policjanci i zomowcy, próbując wyrwać się z ludzkiego oddechu.

Wdzieramy się na most Grunwaldzki. Policyjny wóz, który próbował przepchnąć się na drugą stronę, z łoskotem łąduje na boku. Zanim minąłem go, już płonął. Czarny, śmierdzący dym zasłonił wszystko dookoła. Wydostajemy się na plac Grunwaldzki i walimy do przodu, w stronę akademików „Dwudziestolatek”, „Parawanowiec” i „Stodoły”. Spomiędzy budynków Politechniki dołączają się spore grupy studentów. Krzykom i skandowaniem nie ma końca.

Walki i bijatyka trwały do późnych godzin nocnych. Godzina policyjna była czystą fikcją. Być może zresztą już wtedy jej nie było? A może wprowadzono ją znowu tej samej nocy? Nie pamiętam. Wszystko utonęło w zalewie ruchliwych obrazów, przewalaniu się tłumów z jednego końca miasta na drugi. Nie potrafię nawet odtworzyć momentu, w którym zostałem uderzony, choć potem jeszcze długo bolało mnie ramię. Wszystkie wydarzenia jakoś dziwnie ponakładały się na siebie lub wytarły się z czarnej tablicy pamięci. Jednak obraz masywnego, spoconego mężczyzny, ruszającego na policyjne szeregi z tym dziwnym zdaniem na ustach pozostał ostry i wyraźny.

Anachroniczna literackość tego zdania jakoś zdumiewająco nie przystawała zarówno do plebejskiej twarzy i całej, pełnej napięcia sytuacji. Jakby wydarł je ktoś z innej epoki i wcisnął przez pomyłkę w proletariackie usta. A zarazem zastanawiała ich wewnętrzna moc, pewność tego, że nie ma siły, która może się oprzeć spoconym potężnym ramionom. A przecież to wielkie, nabite mocą ciała mogła porwać na krwawe strzepy jedna jedyna seria. Więc czym było absurdalnie brzmiące zdanie, rzucone przed siebie z taką pewnością bezkarności? Wyzwaniem losu czy zagłuszającą strach magiczną formułą, przyniesioną z przedmiejskich podwórek lub obejść kresowych, pamiętających powroty z wojen kolejnych pokoleń żołnierzy-tułaczy? A może po prostu pijackim bełkotem, mieszającym konwencje, sytuacje i języki?

Wywołując te kolejne obrazy z przeszłości czuję ich niedostateczność. Brałem udział we wszystkich bodaj wrocławskich „zadymach” stanu wojennego. Wracając z nich leżałem długo w nocy, a na ekranie powiek przesuwały się niesamowite sceny. Ich pierwotna, zwierzęca brutalność, oprawiona niepowtarzalną grą światła, rzucona na tło znajomych od dzieciństwa ulic i podwórek, stwarzała wrażenie czegoś tak nienaturalnego i absurdalnego, że odczuwało się jakby metafizyczny dreszcz. Wzajemny spłot, a zarazem kontrast tego, co oswojone, z tym, co groźne, wrogie i nieznane, rodził przecucie innego wymiaru rzeczywistości.

Niejednokrotnie namawiano mnie, bym notował przebieg tych dramatycznych wydarzeń. „Dlaczego, stary, nie zapisujesz” — słyszałem raz za razem. Nie chciałem. Zbyt wiele było tych obrazów, zbyt silne rodziły emocje. Może podświadomie czułem, że zawiedzie mnie instynkt selekcji. Później obserwowałem to zjawisko w bogatej dokumentalistyce stanu wojennego. Równocześnie spostrzegałem, że wszystko powoli zaczyna blaknąć na ścianie pamięci, że zacierają się postacie i twarze, wyłamują się coraz większymi kawałami przejmujące sceny zbiorowe, nakładają się na siebie miejsca, ulice i wydarzenia, wyparowuje jedna w swoim rodzaju sceneria ruchomych światła, budzących dreszcz dźwięków, piekącej woni łzawiącego gazu i spalin, płynących po ulicach ławic dymu, przez które przebiegali z krzykiem ludzie.

To wszystko odchodzi już, znika, rozplywa się gdzieś w beczasie. Ale te cztery obrazy tkwią nieporuszenie w pamięci jak szklana drzazga wbita pomiędzy zwoje mózgu. Ostrugane z bezliku towarzyszących im zdarzeń, powiększone i wyostrome przez świadomość swojej wyjątkowości, towarzyszą mi już prawie dziesięć lat. Mocne, nieusuwalne, wciąż jeszcze budzące

dreszcz niesamowitości, zdziwienia i zamysłonego rozbawienia, nie dają się wyprzeć przez inwazję obrazów i wrażeń, które w sposób naturalny nanosi każde życie. Cztery fotografie stanu wojennego. Niewykonane, zagubione w kartotece człowieczej pamięci, ale wyrysowane ostrym konturem emocji i gry światła. Czwórka przypadkowych ludzi naprzeciwko wymierzonych w piersi łuf. Bezimienni bohaterowie, których nie zarejestrował żaden obiektyw, odbici tylko w soczewce ludzkich oczu. Nie ma w tych niewykonanych fotografiach żadnego patosu, pomnikowości; wręcz przeciwnie, jak to w życiu bywa, otacza je aura zwyczajności, niepowagi. Bohaterstwo zarejestrowanych okiem gestów rozplywa się w niej, jakby maleje. Ale nie przestaje być sobą, choć nie ujrzemy ich w żadnym albumie, na żadnym ekranie telewizora. Bohaterstwo anonimowe, nie upozowane, lekko skarykaturowane przez samo życie, utrwalone tylko na ścianie pamięci. Kim jesteście, ludzie z czterech niewykonanych fotografii ostatniej polskiej wojny?

Stanisław NOWICKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 10 października 1989

Niezależnie od meritum takich czy innych różnic i sporów politycznych, warto zwracać baczną uwagę na ich styl (i częściowo słownictwo). W procesie przeobrażania się w rząd polska opozycja cierpi na okresowe zakłócenia zmysłu równowagi. Niekiedy nawet rzeczy posuwają się tak daleko, że wolno mówić o wędrownym wirusie obłędu, przywołując z „epoki minionej” ostrzegawcze hasło „nie dajmy się zwariować”.

Ze swego obserwatorium „spod stołu (okrągłego)” Krzysztof Wyszkowski odkrył istnienie „jaczeyki bolszewickiej” w składzie: Geremek, Kuroń, Michnik. Blisko owej „jaczeyki” uplasował Mazowieckiego i Halla. Blisko nie znaczy, rzecz jasna, wewnątrz. Wewnątrz bowiem dała o sobie wyraźnie znać „dominacja dysydentów, byłych komunistów, ludzi którzy zmienili poglądy, nie zmieniając metod uprawiania polityki, metod bolszewickich”. Lekko powiedziane. Jak gdyby można było jedną insynuacją czy po prostu zniewagą przekreślić zasługi i dokonania trzech wybitnych działaczy Solidarności, i rzucić przy okazji cień na przyszłego premiera i jednego z jego przyszłych ministrów.

W kolejnych wędrowkach wirusa Wałęsie nie przypadł do gustu komitet redakcyjny *Tygodnika Solidarność*, pisma założonego i po ośmioletniej przerwie wznowionego przez Mazowieckiego. Co więc zrobił? Z zastosowaniem metody, o której z większą ścisłością da się powiedzieć, że jest „bolszewicka”, wysłał w teczkę kilku zaufanych z nowym redaktorem na czele. Wśród zaufanych wyskoczył naraz z teczki Krzysztof Wyszkowski, odkrywca „jaczeyki bolszewickiej”. Trudno w tej operacji nie widzieć afrontu wobec Mazowieckiego. Nie koniec

na tym. Z wyżyn swego gdańskiego Belwederu Wałęsa wskazał (wyznaczył?) Mazowieckiego na stanowisko premiera, aby wkrótce potem nazwać ni stąd ni zowąd jego rząd „niekompetentnym”. Tu wirus przybiera postać świadectwa, wystawionego mimowoli na użytek skąpawego w ofertach i obietnicach pomocy gospodarczej Zachodu.

„Wałęsa was prowadzi, Wałęsa was doprowadzi”. Takie zapewnienie (w trzeciej osobie) usłyszałem z ust Wałęsy podczas jego spotkania z tłumem Polaków w Paryżu, w grudniu zeszłego roku. W kwietniu bieżącego roku, w rozmowie z Geremkiem w Rzymie, nie ukrywałem przed nim, co o tej wodzowskiej manierze myślę. Geremek spojrzał na mnie z wyrzutem, uznał moją reakcję za dowód „małostkowości”.

13 października

Zmarł w Rzymie stary jezuita niemiecki G.W., z którym zetknąłem się parokrotnie w Neapolu u naszego wspólnego przyjaciela, profesora L., i raz — ostatni, jak się okazuje — w Rzymie przed trzema laty.

Przebywał w Rzymie od wczesnej młodości, kariery eklezjastycznej nie zrobił, używany był do skromnych posług (zdaje się, że jako tłumacz i kopista), chociaż uderzała jego wszechstronna inteligencja. Już w czasie zetknięć neapolitańskich zauważyłem, że w sposób niemal obsesyjny krążył wokół pytania: czy Kościół zrobił wszystko co w jego mocy, by ocalić Żydów przed eksterminacją z rąk hitlerowców lub zmniejszyć bodaj rozmiary zagłady? Spotkanie w Rzymie przyniosło jakby podsumowanie jego wieloletnich rozmyślań i dociekań.

Umówiliśmy się na Awentynie w dzień czwarty, niedawno od klasztoru, w którym mieszkał. Niskiego wzrostu, przygarbiony, zaniedbany w wyglądzie, w wyswiechtanej, połyskliwej aż sutannie, nerwowo zmieniający wciąż ławki na skwerze, mówił cały czas sam tonem prelegenta, który przygotował się dobrze do swego odczytu. Przed wieczorem widać było z awentyńskiego wzgórza, gdy pozwalała na to pozycja ławki, Wieczne Miasto, z majestatyczną naroślą Świętego Piotra.

Nie wiem, dlaczego nie zapisałem zaraz w dzienniku treści tego odczytu dla jednego słuchacza. Być może, powstrzymało mnie od zapisu niejasne uczucie, że nie życzyłby go sobie prelegent. A zawrzeć po trzech latach wyłącznie pamięci, to tyle co wylawiać z niepamięci główne, suche punkty bez dyskursywnej i emocjonalnej otoczki.

Punktem wyjścia było stwierdzenie, że w latach 1940-1941 niemieccy chrześcijanie — zarówno katolicy jak protestanci —

zmusili gwałtownymi protestami Hitlera do wycofania się z programu eutanazji, czyli „medycznego” uśmiercania upośledzonych fizycznie bądź umysłowo „aryjczyków”. Zgrzytał zębami, wolał jednak nie antagonizować obu Kościołów. Bał się kościelnych wpływów na ludność Trzeciej Rzeszy, starał się ten potencjalny opozycyjny „front wewnętrzny” pozyskać dla siebie, lub co najmniej zneutralizować. Protestantów pozyskał „ideologicznie” nacjonalizmem niemieckim, katolików zneutralizował konkordatem. Katolicy byli naturalnie twardszą kością do zgryzienia: na przeszkodzie stał katolicki uniwersalizm, duchowo poświadczony wiarą, instytucjonalnie ucieleśniony w Stolicy Apostolskiej. Czy stanowczy opór chrześcijan niemieckich w stosunku do projektów eutanazji, wnieciony decyzją Hitlera ich zaniechania albo odroczenia, mógłby odegrać podobną rolę wobec planowanego Holocaustu? Co by było... Faktem jest, że List Pasterski Piusa XI *Mit brennender Sorge*, otwarte potępienie „kultu i idolatrii Narodu i Rasy”, był w roku 1937 odczytywany z ambon wszystkich kościołów katolickich w Trzeciej Rzeszy. Hitlerowcy szaleli, z pianą na ustach atakowali Piusa XI, lecz po jakimś czasie wyciszili kampanię przeciw papieżowi. A zatem „gdybanie” nabiera pewnych, anemicznych co prawda, rumieńców. Do następnego nacisku nie doszło, jakkolwiek go przygotowywano, co w wywodach G.W. było dla mnie największą rewelacją; a dla samego G.W., wyczułem to z drżącego głosu i pobladłej twarzy, jądrem i punktem kulminacyjnym jego wielkiego, dręczącego go od lat pytania.

Na początku roku 1938 Pius XI powziął myśl ogłoszenia encykliki *Humani Generis Unitas*, skierowanej przeciw rasizmowi, antysemityzmowi i prześladowaniom Żydów w Niemczech, powierzając jej opracowanie — według własnych, bardzo dokładnych instrukcji — dwu jezuitom, austriackiemu i amerykańskiemu. W lipcu brulion encykliki został przedłożony generałowi zakonu jezuitów Włodzimierzowi Ledóchowskiemu, który w przekonaniu autorów miał go wręczyć papieżowi do ewentualnych poprawek i ostatecznej aprobaty. Ledóchowski zwlekał, nie był widocznie zachwycony dziełem swych dwóch podwładnych. Pius XI umarł w roku 1939, prawdopodobnie nie przeczytawszy w ogóle brulionu encykliki. Jego następca Pius XII podzielał zapewne krytyczną opinię generała jezuitów, gdyż sprawa utknęła na martwym punkcie. *Humani Generis Unitas* nie ujrzała nigdy światła dziennego.

Udało się może przeczytać ten brulion staremu jezuitcie niemieckiemu? Nie, znał tylko kogoś, kto go z podziwem przeczytał. Później tekst podobno zaginął.

15 października

W ciągu półwiecza wydano przeszło dwa tysiące książek na temat Holocaustu, zdawałoby się więc, że został drobiazgowo opisany, zanalizowany i wyjaśniony. A przecież amerykański historyk Istvan Deak, omawiając ostatnio piętnaście nowych książek na ten sam temat, nadał swemu ogromnemu artykułowi tytuł *The Incomprehensible Holocaust*. Niepojęty? Tak, niepojęty w tym sensie, w jakim niepojęte są ludzkie zachowania w nieludzkich warunkach; w jakim zgrozą przejmuje, zdolności pomowienia paraliżuje, wysiłek spojrzenia w otchłań natury człowieka wystawionej na najwyższą próbę na świecie, z którego siła wyparła człowieczeństwo. Będę zawsze powtarzał straszłą refleksję ateisty Szałamowa: na Kołymie dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi tej próby nie wytrzymało, a większość w pozostałym jednym procencie stanowili ludzie religijni.

Niepojęty zatem, a raczej „niepojęty”. Cudzysłów ma tutaj służyć do wskazania świadomej czy podświadomej odmowy pożegnania się na wieki z zakłamanym okrzykiem „człowiek to brzmi dumnie” i do zastąpienia go prawdziwą formułą „ludzie ludziom zgotowali ten los.”. Ale w obrębie słowa „niepojęty” istnieje od lat cała szeroka gama pomówień, oskarżeń, licytacji cierpień i strat, tabeli win, gradacji odpowiedzialności. Oraz bicia się w piersi, najczęściej cudze i przeważnie (poza niemieckimi) w polskie. Deak przywraca nareszcie temu wyścigowi obłudy właściwe proporcje. Podkreśla, na przykład, że „rażąco niesprawiedliwe” jest zestawienie sytuacji wojennej powiedzmy w Danii i w Polsce, jak w ogóle podciąganie pod jeden strychulec Holocaustu w zachodniej i wschodniej Europie. Wytyka Lanzmannowi, za Korbońskim, „manipulacyjny dobór świadków polskich” w filmie *Shoah*. Przypomina, że co prawda szlachetni Holendrzy ukrywali Annę Frank i jej rodzinę, lecz równocześnie nikczemni Holendrzy zadenuncjowali ukrywających się i oddali ich w ręce holenderskich policjantów na usługach Gestapo. Francuzi, szczególnie rozsmakowani w biciu się w piersi polskie, mogliby jednak pamiętać, co Yehuda Bauer pisze w *A History of the Holocaust*: „Francuska policja, zwłaszcza *Garde Mobile*, bardzo gorliwa w poszukiwaniu Żydów przeznaczonych do deportacji, nie miała prawa działać w zonie włoskiej, gdyż Włosi nie dopuszczali u siebie jakichkolwiek aktów antyżydowskich”.

Bicie się w cudze piersi, przeważnie polskie, jest ulubionym procederem Żydów amerykańskich, którzy podczas wojny nie kiwnęli prawie palcem, by przyjść z pomocą ofiarom Holocaustu. Deak pomija niestety milczeniem ten aspekt historii, nie

odwołuje się do świadectwa Karskiego, nie wymienia książki Waltera Laqueura *The Terrible Secret*, nie zajmuje się choćby *en passant* wstrząsającą książką Davida Wysmana, potomka pastarów protestanckich i profesora historii na uniwersytecie Massachusetts, książką zignorowaną — o ile wiem — przez recenzentów amerykańskich, *The Abandonment of the Jews — America and the Holocaust 1941-1945* (pisałem o niej w roku 1985 w moim dzienniku).

18 października

W *Personal Impressions* Isaiaha Berlina obszerny rozdział poświęcony jest jego spotkaniom z Pasternakiem i Achmatową. Berlin zauważa słusznie, że całe życie Achmatowej było nieprzerwanym aktem oskarżenia pod adresem rzeczywistości rosyjskiej (w ten sposób Herzen określił kiedyś literaturę rosyjską). Mówiąc o legendzie Achmatowej, o legendzie jej życia i nieustraszonego biernego oporu przeciw niegodziwościom w jej własnej ojczyźnie, Berlin dodaje, że stała się postacią nie tylko literatury rosyjskiej, lecz historii Rosji w naszym stuleciu, jak w zeszłym stuleciu stał się nią Herzen według słynnej definicji Bielińskiego.

Postać tę Josif Brodski nazwał Muzą Żaloby w pięknym tomie esejów *Śpiew wabadła* (wydanym przez *Zeszyty Literackie*). Nazwa znakomita, przylegająca z absolutną dokładnością do autorki *Requiem*. Nikt dotąd nie napisał tak wnikliwego i mądrego szkicu o Achmatowej, a przecież pisało o niej wielu. Brodski ma dar trafiania w sedno rzeczy, niczym łucznik wyborowy, jedną strzałą. Stara Nadzieжда Mandelsztam „wyglądała jak resztką ogromnego pożaru — jak węgielek, który parzy, kiedy go dotknąć”. O *Requiem* Achmatowej: „Siłą *Requiem* jest fakt, że biografia Achmatowej była aż nazbyt powszechna. To requiem oplakuje oplakujących: matki tracące synów, żony tracące mężów, a niekiedy, jak w przypadku autorki, matkę i wdowę jednocześnie. Jest to tragedia, w której chór ginie przed bohaterem”.

Muza Żaloby zastyga w swoim *Stabat Mater*, zamienia się w żywy pomnik rewolucyjnych i porewolucyjnych dziejów Rosji. Z biegiem czasu do tego stopnia owłada nią świadomość tej pomnikowości, tej wyjątkowości „tragedii”, w której „chór ginie przed bohaterem”, że represje i szkany jakie spadły na nią po spotkaniu z Berlinem w roku 1945 w Leningradzie (drugim, od pierwszej wojny światowej, spotkaniu z „kimś stamtąd”; pierwszym było spotkanie z Czapskim w Taszkencie, podczas drugiej wojny światowej) uznała, w rozmowie z Berlinem w Oxfordzie

w roku 1965, za inaugurację zimnej wojny i punkt zwrotny w historii ludzkości. „Dosłownie tak (powiada Berlin), Achmatowa była o tym święcie przekonana, widziała w sobie i we mnie dwie figury historii światowej, wybrane przez los dla zapoczątkowania konfliktu kosmicznego. Nie mogłem zaoponować, że przeceniała może wpływ naszego spotkania na losy świata: moja obiekcja wydałaby się jej obrazą wyobrażenia jakie miała o sobie, tragicznego wyobrażenia nowej Kasandry, i historyczno-metafizycznej wizji, która przenikała znaczną część jej poezji. Nie wykrztusiłem ani słowa”.

Muza Żaloby i nowa Kasandra w jednej osobie. Brodski i Berlin dają razem najwierniejszy chyba wizerunek Anny Achmatowej.

19 października

Depesza agencyjna z Long Beach zaczyna się tak: „Widziałem jak zabrali do rozstrzelania mojego męża i moich trzech synów w roku 1975. Oplakiwałam ich codziennie przez cztery lata, potem przestałam płakać i przestałam widzieć”. Mówi kobieta w kalifornijskim obozie dla uciekinierów z Kambodży. Sto pięćdziesiąt matek i żon w wieku od czterdziestu do siedemdziesięciu lat, ofiar Czerwonych Kmerów, zapadło na ślepotę. Według okulistów mają oczy całkowicie zdrowe, a jednak nie widzą. Cierpią na ślepotę lub halucynacje wzrokowe.

Według psychologów ich ślepotą jest wynikiem procesu historycznego i psychosomatycznego. W ciągu czterech lat oglądały dzień w dzień, noc w noc, nieszczycielską orgię żołnierzy Pol Pota — mordy, gwałty, pożogę. Ich wzrok gasł stopniowo i w końcu zgasł zupełnie, jakby odmówił patrzenia na świat. Jedną z diagnoz psychologów wezwanych do badań posługuje się poetyckim zwrotem „zaciemnienie okna duszy”, o tyle może stosownym, że ślepotę ostateczną poprzedziły objawy zaćmienia i zmatowienia obrazu otoczenia.

Wśród psychologów rzadko występuje pełna zgodność poglądów, toteż szkoła konkurencyjna wysunęła odmienną hipotezę: ośleple kobiety kambodżańskie rozmyślnie zasłoniły „okna swych dusz”, aby wciąż widzieć wyłącznie to, co oglądały w okresie ludobójstwa dokonywanego przez Czerwonych Kmerów. Aby, innymi słowy, nie uronić niczego, nie dopuścić do zatarcia niczego w ciężko zranionej pamięci, narażonej na obmycie i zagojenie w strumieniu obrazów z rzeczywistości normalnej. Adeptci tej szkoły, porzucając również rygory słownictwa naukowego na rzecz poezji, uciekają się do wyrażenia w rodzaju „ślepe wieszczki i kapłanki świętego ognia bólu i nienawiści”.

Rzym, 21 października

Mieszkam we Włoszech trzydzieści pięć lat, widziałem tu rozmaite karkołomne zdawałoby się sztuczki z zakresu ekwilibrytyki politycznej, śledziłem różne zagadkowe „figury polityczno-geometryczne” (celował w nich Moro, autor formuły „zbieżności równoległe”), wiedziałem zawsze, że ideałem polityki włoskiej jest angażować się i zarazem nie angażować, mogę więc z czystym sumieniem mówić o udanej wizycie premiera Mazowieckiego w Rzymie. Sceptyczne i ostrożne z natury Włochy zaangażowały się bez żadnych „ale”, z nieoczekiwanym dla mnie, zaskakującym nawet przekonaniem o ważności polskiego przedsięwzięcia, któremu należy szybko i efektywnie pomóc. Wyprzedziły pod tym względem inne państwa zachodnie, zachęcając je do wyjścia ze stanu „uczuć mieszanych”. Zaangażowały się i politycznie i (w stopniu, jak na swoje możliwości, dość wysokim) gospodarczo. Zdaniem wielu, odegrała tu rolę obecność polskiego papieża w Rzymie, co jest na pewno w jakiejś mierze prawdą. Myślę jednak, że nie wolno pomniejszać osobistego sukcesu Mazowieckiego. Zrobił dobre wrażenie, rozwiął niebezpieczne wątpliwości odnośnie swojej „kompetencji”.

Wczoraj na konferencji prasowej odpowiadał na pytania dziennikarzy jasno i rzeczowo. Ucieszyła mnie szczególnie jedna jego odpowiedź: „Pyta pan o moje stosunki z Wałęsą. Sądzę, że polskie życie polityczne staje się bardziej europejskie, że normalne staje się teraz u nas to, co jest normalne na Zachodzie. Ja jestem premierem, Wałęsa jest przywódcą związkowym. Jest rzeczą normalną i zdrową w życiu demokratycznym, że istnieją i dochodzą do głosu różnice między rządem, partiami, związkami zawodowymi. Potem każda strona pilnuje swoich uprawnień: ja jestem szefem rządu, nie zamierzam być premierem marionetkowym”. Komentarze dziennikarza włoskiego: „Nigdy dotąd Mazowiecki nie podkreślił tak zdecydowanie, jako szef rządu, swego prymatu politycznego i instytucjonalnego w stosunku do przywódcy historycznego Solidarności”.

Dziś przed południem w trakcie spotkania Mazowieckiego z Polakami zamieszkałymi we Włoszech, miałem okazję porozmawiać z nim krótko na osobności. Uderzyła mnie jego spokojna trzeźwość, świadomość jak trudne i ryzykowne jest zadanie którego się podjął, jak bardzo wymaga wystrzegania się nadmiernych nadziei, złudzeń, euforii. Zwłaszcza euforii, częstszej u niektórych odwiedzających kraj rodzinny polskich działaczy poli-

tycznych z Zachodu, niż u premiera rządu nazywanego „rządem przełomu demokratycznego”.

Neapol, 25 października

W roku 1963 napisałem szkic o książce Hanny Arendt *Eichmann in Jerusalem* i zatytułowałem go *Demon Naszych Czasów*, aby jedna z głównych tez autorki, uwydatniona w podtytule jej książki *A Report on the Banality of Evil*, nabrała jeszcze pełniejszego wyrazu. Banalność Zła? Demon Naszych Czasów, sumienny i skrupulatny wykonawca „ostatecznego rozwiązania”, wzorcowy biurokrata zaplanowanej dokładnie zbrodni, oddemonizowany? Nie wiedziałem wtedy, że niepoczytalna kampania przeciw Hannie Arendt w Ameryce i w Izraelu, posuwana do granic pomawiania jej o „antysemityzm”, główny nacisk kładła właśnie na ową „skandaliczną” jakoby „banalność Zła”. Dowiaduję się o tym teraz z tomu korespondencji Hanny Arendt z Karlem Jaspersem. Gideon Hausner, prokurator w procesie jerozolimskim, oskarżył wręcz autorkę *Eichmanna w Jerozolimie*, że „wzięła w obronę zbrodniarza wojennego”. Bo czyż nie jest obroną tak monstrualnej zbrodni spychanie jej w rejony „banalności Zła”, zamiast wzniesienia w rejony „demoniczności Zła”? Oburzeni krytycy Hanny Arendt, słabi widać znawcy inteligencji i pomysłowości Złego, nie zdawali sobie sprawy, o ile groźniejsza i podstępniejsza jest banalizacja Zła od jego demonizacji. Demon Naszych Czasów starał się przekonać sędziów jerozolimskich i cały świat, że był jedynie przykładowym Urzędnikiem (z dużej litery), któremu powierzono operację masowej zagłady milionów ludzi „zbędnych” w dziele budowy „nowego porządku”. Dlatego kluczowe zdanie w *Raporcie o banalności Zła* brzmi: „Przyczyny, które przemawiają za możliwością powtórzenia zbrodni hitlerowskich, są realne”. Straszniejsze to chyba od schwytności, osądzenia i powieszenia prawdziwego Diabła w przebraniu niemieckiego oficera.

Podobne refleksje można by snuć na temat pokus demonizacji Stalina i stalinizmu, z ukrytą czy jawną potrzebą zatrzasknięcia i zaryglowania bram Piekła po pokonaniu Diabła sowieckiego i zastępu jego diabelskich pomocników, chociaż bez satysfakcji ujrzenia ich na szubienicach. Tendencja ta, dosyć zresztą słaba (chwilowo?) w ojczyźnie *Biesów*, ma pewien precedens w naszej literaturze. Demonizacyjne skłonności wyczuwa się u Aleksandra Wata. Raz nawet, o ile pamiętam, zbudził go w celi stukot „kopytek” na dachu więzienia. Kiedy indziej znowu usiłował wytłumaczyć Miłoszowi w *Moim Wieku*, że Stalin zawiadomił Hitlera o swoich zamiarach pokojowych, rozstrzeli-

wując Tuchaczewskiego i innych generałów sowieckich. Co, jak wiadomo z demonologii, bywa czasem, w kwestiach wyjątkowej wagi, stosowanym chętnie sposobem porozumiewania się Demonów najwyższego rzędu.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Krajowe wydanie «Kultury»

Od lipca 1987 r. niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje się z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Krajowe wydanie «Zeszytów Historycznych»

Niezależne wydawnictwo PoMost w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazały się już roczniki 1985, 1986, 1987, 1988. W roku 1989 poszczególne numery *ZESZYTÓW* wydawane są w miarę ukazywania się edycji oryginalnej. Cena nr 88 — 2.150 zł; nr 89 — 3.000 zł + ewentualne koszty przesyłki — 250 zł.

KULTURA i *ZESZYTY HISTORYCZNE* są do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych. Ponadto zamówienia można składać w wydawnictwie TEST: 20-147 Lublin, Aleja Spółdz. Pracy 13.

Konto: II Oddz. PKO Lublin, Rachunek Nr 43-528-96902-136.

Krótkie słuchowisko

GŁOS LUDU: Precz! Won! Po oczach go! W jaja! Skończył ze Zbrodniarzem!

KOMUNIZM: Proszę mnie nie ruszać, bo ja się rozlatuję.

KAPITALIZM: A, to przepraszamy.

GŁOS LUDU: Słyszeliście ludzie? Dobić skurwysyna!

KAPITALIZM: Halt! Stop!

GŁOSU LUDU: Co? Do nas gada?

KAPITALIZM: Zurück! En arrière! Don't dare to touch him!

KOMUNIZM: No właśnie!

GŁOS LUDU: Cosik jakoś dziwnie.

DORADCY LUDU: Panowie mają rację, choć po cudzoziemsku. Nie widzisz, ludzie, że on się rozlatuje? Sam mówi.

GŁOS LUDU: No to mu dopomóż.

DORADCY LUDU: (na stronie) A cóż za prostactwo. (głośno) To nie jest takie proste, mój dobry ludzie.

KOMUNIZM: No właśnie.

KAPITALIZM: Richtig und jawohl. (do Komunizmu) Czym mogę służyć?

KOMUNIZM: Jakby jaką pożyczkę, to się lepiej rozleć.

KAPITALIZM: Oj, to to! Słucham, ile trzeba?

KOMUNIZM: Dużo.

GŁOS LUDU: O! O! Dolary! I jakie zielone! (śpiewa) Zielony dolarek wypłaca się — Zielony dolarek wypłaca się — Rośnie nam handelek — Rozwija się...

DORADCY LUDU: Widzisz, ludzie, jak się robi politykę? Patrz i ucz się. A ty byś chciał od razu po oczach i po tych... tego... Prymitywizm.

GŁOS LUDU: To może i nam coś kapnie?

KOMUNIZM: Glup.

WSZYSCY: Połknął!

KOMUNIZM: Poproszę o jeszcze.
 KAPITALIZM: Może za chwilę?
 KOMUNIZM: Nie, zaraz.
 KAPITALIZM: Może jednak stopniowo?
 KOMUNIZM: (grożąc) Bo się nie rozlecę!
 GŁOS LUDU: Zżarł, nic nie kapło.
 DORADCY LUDU: Wziąwszy pod uwagę tę szczególną wagę jaką ma waga żeby miał odwagę gdy ma niepowęgę bo to przeciwwaga gdy on nie domaga, która nam pomaga — doradzamy: dać mu.

Jeszcze nie koniec

Sławomir MROŻEK

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
 London 3W5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madam C. Piquard-Zabłocki,

12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

O słowach nowych i starych

Współcześni Polacy na ogół sądzą, że ich język bywa źle używany. Gdy jednak od opinii ogólnej przejść do przykładów, natychmiast zaczynają się różnice zdań. Pośród autorów usiłujących pisać po polsku szczególnie niezyczliwe reakcje wzbudza Władysław Machejka. Latem 1966 autor ten, będący zarazem naczelnym redaktorem krakowskiego *Życia Literackiego*, zaprosił mnie do współpracy. Miałem nadsyłać co tydzień krótkie opisy spacerów po Warszawie. W pierwszej rozmowie redaktor udzielił mi rady, która wydała się niekonwencjonalna: — Niech pan stara się pisać te felietony możliwie nudno i bezbarwnie, żeby nie zwrócono na nie uwagi. Jak się wszyscy przyzwyczajają, za jakieś pół roku pozwolimy sobie na coś więcej.

W drugim wydrukowanym w *Życiu* tekście z moim podpisem ze zgrozą przeczytałem słowa: „Warszawa latem” poprawione na: „Warszawa latem zdeglomerowana urlopami”. List do redaktora sprawił jednak, że trzeci, czwarty i piąty felieton nie różniły się w druku niczym od tego, co napisałem. Ostatni z nich zawierał pochwałę działalności Artura Sandauera, posuniętą jednak tak daleko, że dostrzeżono w niej szyderstwo. Zostałem zganiony w telewizji i nie ukazały się kolejne korespondencje wysłane do Krakowa.

Po paru tygodniach dostałem list Machejka. „Szanowny Panie — pisał — urwała się nasza współpraca, ale winę trzeba rozłożyć, aby Pan niósł okazalszy ciężar. Ja już mam dość uczestnictwa w polsko-artystycznym cyrku. I tak wciąż jestem bity. Raz reakcyjnym kropidłem, drugi raz czerwonym sztandarem. Po dupie. Bo po sumieniu trudniej...” Od tamtego czasu uważam Władysława Machejka — może wbrew sądom czytającego ogółu — za pisarza zdolnego wyrazić rzeczy warte zapamiętania.

Dawniej kończąc lekturę prasy krajowej sięgałem po *Tygodnik Powszechny* dla zacerpnięcia świeżego powietrza. *Tygodnik* wyróżniał się składną polszczyzną, niekiedy żartobliwą, jak u Kisiela, dyskretnej u Jacka Woźniakowskiego. Używano tu pojęć gdzie indziej niespotykanych: godność osoby ludzkiej, lud Boży, ethos, wspólnota, ale także: wina. Teraz w *Tygodniku Powszechnym* (nr 29 z 16 lipca 1989) czytam o tym jak „...na mównicy staje Andrzej Wielowieyski, rekomendując na marszałka prof. Stelmachowskiego...” Wielowieyski, który jest młodszy, mógł być tylko wysunąć, zaproponować lub przedstawić kandydaturę profesora. Trudno się dziwić, że wkrótce *Polityka* wspomni o „kandydatach zarekomendowanych przez Lecha Wałęsę”, w tekście humorystki przedstawiającej OKP jako okopy Świętej Trójcy („Senat, któremu ton nadaje wszak 'stara' inteligencja, byli ziemianie i rodowa arystokracja”).

W teże *Polityce* poseł z PZPR Krzysztof Komornicki opowiada (nr 24 — 17.VI.89) o swoich doświadczeniach nauczyciela propedeutyki nauki o społeczeństwie w Liceum Ekonomicznym: „27 panienek... na studia ekonomiczne i pedagogiczne wybiera się 8 sztuk”. Jeśli przyjmuje się, że nie mamy duszy nieśmiertelnej, to oczywiście osoby ludzkie można liczyć zupełnie tak samo jak worki czy telewizory. Moje przypuszczenie jest w pełni prawomocne, ale czy jest rzeczywiście słuszne? W opowiadaniu Marka Hłaski „Pijany o dwunastej w południe” jest zdanie: „Pełno tu ludzkich wraków — jak się wyraża młody krytyk, któremu się zdaje, że człowieka może spotkać koniec podobny do końca maszyny”. Wierzyłem głęboko w istnienie duszy nieśmiertelnej i doprawdy nie wiem, czemu napisałem to nieszczęsne zdanie. Może określenie „ludzkie wraki” wydało mi się wyraziste? Nawet nie wiem, czy sam je wymyśliłem. W każdym razie bardzo się przejąłem admonicją przyjaciela.

Po lekturze *Tygodnika Powszechnego*, przejęty myślą, że my sami uczestniczymy w psuciu polszczyzny, sięgnąłem po zbiorowe dzieło językoznawców. WSPÓŁCZESNA POLSZCZYŻNA pod redakcją Haliny Kurkowskiej zawiera prace 16 autorów; ukazała się w PWN w r. 1981, w r. 86 wyszło drugie wydanie w 10 tys. egz. „Celem jej jest przekazanie studentom filologii polskiej, nauczycielom polonistom i osobom interesującym się językoznawstwem wiedzy o głównych zmianach, które zaszły w języku polskim po 1944 r.” W pierwszej rozprawie pióra redaktorki można znaleźć sporo trafnych spostrzeżeń z zakresu socjologii i przenikliwie wybrane przykłady współczesnego stylu ambitnego: „co pani projektuje na obiad?”, „oferujemy nowości ciastkarskie o najwyższym standardzie jakościowym i smakowym”, „płaszczyna robocza z płaszczyną na narzędzia” (to określenie stołu kuchennego z szufladą, zacerpnięte

z książki kucharskiej). „A o 'zabezpieczeniu kontaktów z wierzącymi' i o 'konieczności wykonywania planów Bożych' można usłyszeć z kazalnicy”. To ostatnie zdanie sygnalizuje najpoważniejsze zagrożenia języka. Niedawno *Tygodnik Powszechny* (nr 36 z 3 września 1989) w przeglądzie prasy omówił artykuł ks. Marka Starowieyskiego w ATENEUM KAPŁAŃSKIM, zwracając uwagę, że klerycy „nie dość dobrze umięją się postugiwać ojczystym językiem”. Zawsze zdumiewały mnie wygłaszane przez p. A. Micewskiego pochwały ważnej postaci w Kościele polskim, nieodmiennie zawierające argument, że każdy może się niezręcznie wyrazić. Przecież kapłan jest urzędnikiem Słowa. Muszę jednak dodać, że słuchając kardynała Macharskiego czy kardynała Gulbinowicza myślałem także o tym, jak bardzo chciałabym tak kiedyś umieć mówić po polsku.

Profesor Kurkowska, o rozprawie której nie skończyłem jeszcze opowiadać, mówi o *humanistycznych intelektualistach*. Hm... Jak określić matematyka Hugo Steinhausa, bezwzględnie przestrzegającego reguł dobrej polszczyzny? „Listy adresowane 'Steinhaus Hugo' odsyłał nieotworzone i tak ten chwast wokół pielili, że Uniwersytet Wrocławski ze strachu wydał alfabetyczny spis personelu z imionami na pierwszym miejscu”. I wydaje go co roku do dziś, siedemnaście lat po śmierci profesora. Pani Kurkowska wypowiada żale pod adresem „elity umysłowej, która najczęściej zwraca się do społeczeństwa... w audycjach radiowych i programach telewizyjnych...”, jakby nie dostrzegała całkowitego rozdziału i przepaści między elitą umysłową i telewizyjną. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Rzeczywiste elity, dla przykładu uczeni z Instytutu Badań Literackich, istotnie odznaczali się upodobaniem do nadmiernych komplikacji językowych. I oto od kilku dni czytam pierwszy tom przewodnika encyklopedycznego *Literatura polska po 1939 roku*, Wydawnictwo PEN, W-wa 1989. Książka była przygotowana w podziemiu, „hasła podpisane są zazwyczaj kryptonimami, które — jeśli czasy będą temu sprzyjały — zostaną rozszyfrowane w ostatnim tomie dzieła; wszelkie ich podobieństwo do inicjałów znanych czytelnikom krytyki i badaczy polskiej literatury współczesnej jest niezamierzone, choć być może nieprzypadkowe”. W tym stadium lektury wstrzymuję się jeszcze od wszelkich sądów, jednego jestem pewien: przewodnik jest pisany przezroczystą polszczyzną, bez cienia zawiloci i uczonych terminów. Z oczywistością rozszyfrowałem też kilku autorów; wszyscy są krytykami z IBL-u. Dlaczego latami mówili tak zawile, skoro potrafili pisać tak przejrzysto? Może między sobą rozmawiając

raczej o Gombrowiczu niż o literaturze sowieckiej polskiego obszaru językowego, mówili tak specjalnie, by utrudnić działalność donosicielom? Spostrzeżenie, że rozmowa o pewnym stopniu komplikacji czyni donos mało skutecznym było jednym z moich najwcześniejszych doświadczeń w PRL. Jesienią roku 1950 po lekcjach w szkole Batorego zostałem wezwany na nieprzyjemną rozmowę. Przesłuchujący mnie kierownik personalny Zarządu Szkolnego ZMP, Andrzej Szymański, później co najmniej major LWP, docent mianowany w marcu 1968 na wydziale chemii UW, dziś już profesor, autor pracy WLIJANIE NIEKOTORYCH PARAMIETROW NA PROCESS PŁAZMIENNOGO PIROLIZA UGLEJ w piśmie CHIMIA TWOROGO TOPLIWA, współautor książki SYSTEMY SZKOLNE i PROGRAMY NAUCZANIA KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH i WYBRANYCH KRAJÓW KAPITALISTYCZNYCH (studia komparatystyczne), konsultant naukowy INSTYTUTU PROGRAMÓW SZKOLNYCH po paru wstępnych zdaniach — „wezvano mnie nie bez powodu” — spytał surowo, dlaczego na dużej pauzie rozmawiałem o niczym? Natychmiast zdałem sobie sprawę, że jest to nieporównanie mniej ważne niż rozmowa na temat artykułu Józefa Mariana Świącickiego z *Tygodnika Powszechnego* o Fryderyku Nietzschem, przyznając głośno, że było nierozumne z mojej strony tak właśnie spędzać przerwę między lekcjami.

„Stopień szablonizacji językowej publikatorów — pisze pani Kurkowska — zależy więc w dużej mierze od warunków sprzyjających postawom asekurackim”, a ja nie jestem już pewien, czy językoznawcy stanowią właściwe towarzystwo do rozmów o pięknie języka.

Danuta Buttler z entuzjazmem opisuje „Tendencje rozwojowe w zasobie słownym powojennej polszczyzny”: „Nastąpiło nie tylko znaczne wzbogacenie zasobu wyrazów, ale i przeobrażenie jego struktury wewnętrznej... szczegółowszy niż dawniej podział kompetencji znajduje odbicie w strukturze słotwórczej nowych nazw zawodów. Charakteryzują one bardzo precyzyjnie rodzaj działalności danego pracownika, różne cechy wykonywanych przez niego czynności: informują np. o produkowanych przedmiotach (*zapalczarz*), materiale użytym... (*cemenciarz*), rodzaju obsługiwanej maszyny (*mieszarkowy*, *gilotyniarz*), a nawet konkretnym stanowisku pracy (*woreczkowy* — robotnik zatrudniony przy nakładaniu woreczków)”. Inna autorka informuje, że pojawił się także: „*aparadowy*” — obsługujący aparat, „*kortowy*” — dozorca kortu, „*ciastowy*” — pracownik piekarni przygotowujący ciasto. Nie wymienię oczywiście 1.740 nowych nazw osobowych. P. Buttler dodaje jeszcze, że „często jednemu ogólnemu określeniu specjalności, używanemu przed wojną, odpo-

wiada dziś cała seria nazw szczegółowych, dzielących między siebie jego zakres, np. ekonomista — *kosztowiec*, *rozliczeniowiec*, *budżetowiec*, *kontowiec*, *bilansowiec*, *kosztorysowiec*”. Ekonomista to był Edward Lipiński albo Adam Heydel, który w *Przeglądzie Współczesnym* w roku 1922 opisał cechy gospodarki sowieckiej tak precyzyjnie, że warto by to studium przedrukowywać jeszcze dzisiaj bez żadnych uzupełnień. *Rozliczeniowiec* to nie żaden ekonomista, tylko urzędnik księgowości. Zapewne osoby z maturą Liceum Ekonomicznego skłonne są przedstawiać się jako ekonomiści, ale ktoś musi powiedzieć, że jest to nieporozumienie. Wewnątrz wielkiej piekarni może być wygodne i pożyteczne dzielić piekarzy na *woreczkowych* i *ciastkowych*. Poza murami piekarni słowa te nie mają żadnego znaczenia i nie wzbogacają powszechnej polszczyzny, bo do niej po prostu nie należą. Dwa lub trzy z nich mogą się znaleźć w jakiejś prozie; będzie to jednak rezultatem swobodnej decyzji pisarza, a nie urzędników i powolnych im językoznawców.

P. Buttler starannie przestrzega reguły, by w każdym akapicie znalazło się słowo „struktura”: „Złożoność współczesnych procesów produkcyjnych znajduje jeszcze inne odbicie w budowie nowych nazw wytworów, wyraża się mianowicie w powstawaniu struktur, samym swym kształtem morfologicznym, składem morfemowym sygnalizujących złożoność desygnatów. Określają one zazwyczaj surowce stanowiące połączenie dwóch a nawet trzech substancji (*trocinobeton*) lub przedmioty o dwojakim zastosowaniu (*szafkoregal*).

Nowe struktury słowne uwzględniają takie cechy jak materiał, z którego wzniesiono dany obiekt (*trocinowiec*, *betoniak*), osobliwości konstrukcyjne (*klatkowiec*, *korytarzowiec*), rozmiar (*parterak*), funkcje (*mieszkańowiec*) a nawet przeznaczenie dla konkretnego użytkowania (*lekarzówka*).

Zaczyna się w polszczyźnie tendencja... do analitycznego ukształtowania nazw, do pewnego rodzaju 'rozłożenia' starych struktur (np. żniwa — akcja żniwna).

Struktury powstałe w wyniku kondensacji należą do mówionego typu języka, właściwe są np. warstwie słownictwa bytowo-kolokwialnego...”

Wszystkie te słowa, które przytoczyłem za p. Buttler, a powinienem jeszcze wspomnieć o *gitariadzie* i *perkusjadzie*, są rezultatem słotwórczej aktywności administracji. Artykuł Czesława Pankowskiego „Powojenne słowniki a współczesna polszczyzna” rejestruje twórczość innych sił społecznych w tej dziedzinie. Już trzecie zdanie tego tekstu świadczy zresztą o lekkomyślności autora: „Každy słownik jako zbiór syntetycznie ujętych, bardzo różnorodnych wiadomości stanowi praktyczne narzędzie popularyzacji zdobyczy nauki wśród najszerzych krę-

gów społeczeństwa". Pominę tu KRÓTKI SŁOWNIK FILOZOFICZNY pod redakcją Judina i Rozentala, Książka i Wiedza, Warszawa 1954. Warto jednak przepisać hasło „demokracja parlamentarna” z MAŁEGO SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO PWN pod redakcją Stanisława Skorupki, Haliny Auderskiej, Zofii Lempickiej (korzystam z wyd. 4, W-wa 1974). Demokracja parlamentarna: „ustrój polityczny, w którym klasą rządzącą jest burżuazja wykorzystująca parlamentaryzm dla swego panowania nad masami pracującymi”.

Wróćmy jednak do słowotwórstwa. Tworzenie wyrazów polskich w miejsce cudzoziemskich uprawiano chyba zawsze. Ambroży Grabowski opowiada we *Wspomnieniach*, że to Jacek Przybylski (1757-1818), bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego, pierwszy zamienił monument na pomnik i łacińskie bustum na popiersie. Ale Przybylski projektował także, by zamiast natura pisanu *rodoć* lub *rodota*. Bronisław Trentowski miał wiele pomysłów w tej dziedzinie. Proponował nawet zamieniać istniejące polskie wyrazy na inne: biegun na *dażek*, gdyż należy raczej dążyć do prawdy niż biec ku niej. To on jednak wymyślił nam słowo pracownia. „Jeszcze przed wojną zaczęto upowszechniać wśród rzemieślników takie nazwy jak strug zamiast hebel; proces asymilacji tych nowych terminów przerwała jednak wojna. Teraz należało je wprowadzać na nowo”. Gdy nie ma już stolarzy — zastąpili ich pracownicy przemysłu meblarskiego, gdy już się nie robi mebli, a co najwyżej je produkuje, zwyciężył *strug*. Tyle, że mój dziadek robił stoły nie ze struganego, lecz z heblowanego drzewa. Latem natomiast przy pomocy kozika strugał dzieciom fajarki z gałązek wierzby.

Czasem pośpiesznie znalezione słowo następcza następnie niespodziewanych kłopotów. Tak więc na określenie czegoś nie dość pożywnego, niezbyt smacznego, przeznaczonego na niejasne sytuacje towarzyskie, pochopnie użyto słowa herbatnik. Skoro herbatnik jest czymś tak lichym, nie ośmielamy się używać słowa herbatniczka (francuskie *théière*) dla nazwania sprzętu najbardziej użytecznego. W naszej rodzinie nie tolerujemy herbatników, stąd między sobą, na domowy użytek, mówimy o herbatniczce.

„W okresie powojennym bardzo się nasiliło polszczenie terminologii medycznej”. Zaczyna się od tego, że nie ma już słowa pacjent. Jest tylko chory i wszystko ma chorego upokorzyć. Zamiast prostaty — *gruczoł krokowy*, szkorbut to *gnilec*, uremia — *mocznica*, astma — *dychawica*, że już nie wspomnę, czym mają być hemoroidy. Mając lat pięć przestałem chcieć żyć, odzywać się, jeść ponieważ usłyszałem wyrok lekarza, że mam wieczną ospę. Dopiero gdy moja mama domyśliła się przyczyny mego stanu i zdołała mi wyjaśnić różnicę między wieczną ospą i

wietrzną ospą, wyraziłem w słowach gotowość przyjęcia konia na bieżunach, zjadłem rosół i wypłem lekarstwo. Tak więc pierwszą konsekwencją rodzimej terminologii medycznej jest szkoderanie pacjentom. Najbrzydszą polską książką od chwili wynalazku druku jest zapewne *Słownik terminologii stomatologicznej* pod redakcją J. Krzywickiego, W-wa 1975. *Gruczołakomieszak* niech będzie pierwszym i ostatnim przykładem uzasadniającym tę opinię.

Językoznawcy wyobrażają sobie, że ich zadanie polega jedynie na neutralnym opisie zjawisk. Skoro jednak każde rzadsze słowo uważają za archaizm i w słownikach opatrują określeniem „przestarzałe” — co już przed kilku laty zauważył Andrzej Biernacki w *Twórczości* — trudno nie powątpiewać w ową neutralność. Słowo hucpa, używane przed wojną w Warszawie przez wszystkich z wyjątkiem wyższego duchowieństwa, zostało odesłane do Słownika Wyrazów Obcych. Ktoś, kto zechce skomentować oświadczenie felietonisty warszawskiej *Kultury*, a od stanu wojennego *Polityki*, KTT: „Dotychczas bowiem wystarczających powodów do zmartwień następcza rząd i władza, popełniająca kolejne błędy i niedorzeczności, czego cierpliwemu spisywaniu poświęciłem wiele lat życia i kilka tomów moich felietonów” (*Polityka* z 30 września 1989) będzie musiał użyć obcego słowa.

Wspomniany już Hugo Steinhaus „na liberalną doktrynę językoznawców, że język jest zjawiskiem przyrodniczym, więc podlega tylko obserwacji, ale nie ocenie, odpowiadał, że studiowanie obyczajów mieszkańców Wysp Salomona nie zastąpi dziecięciorga przykazań”.² Obserwacje miewają różną wartość. Od kilku lat ukazuje się firmowane przez Polską Akademię Nauk pismo *SOCJOLINGWISTYKA* pod redakcją profesora doktora Władysława Lubasia (500 egz.). Edward Breza przedstawił w nim wyniki badań nad „motywami wyboru imion dla dzieci urodzonych w Bydgoszczy w roku 1966 i 1976”. Ankieta objęto 2.200 rodzin, z których 1.521 odpowiedziało na pytania. Porównując badania z Bydgoszczy z badaniami prowadzonymi w innych miastach, uczony dochodzi do konkluzji: „większą rolę przywiązują rodzice do imienia dziewczynki... Kryteria estetyczne: piękne brzmienie, zgodność z noszonym nazwiskiem, wpływ publikatorów... odgrywają większą rolę w większych miastach, zaledwie dostrzegane są w małych miasteczkach i po wsiach”. Profesor doktor Janina Węgier zbadała „Neologizmy semantyczne w języku mówionym różnych grup społecznych w Szczecinie”, które „można będzie dokładniej opisać i sklasyfikować przy szczegółowym opracowaniu i przyjęciu ujednoczonej terminologii i metodologii, które... rodzą się bardzo wolno. Zbyt wolno, jeśli

chodzi o potrzeby i rozwój socjolingwistyki". Na razie wiadomo już, że uczniowie któreś ze szkół w Sz. nazywają nauczyciela wychowania plastycznego — Matejko. Czyli dokładnie tak samo, jak nazywaliśmy pana od rysunków w gimnazjum Ojców Marianów na Bielanach w Warszawie w roku szkolnym 1948/49, ostatnim roku istnienia szkoły. Uczniowie szkół szczecińskich mówią też o języku rosyjskim — ruski. Ileż jeszcze badań musi przeprowadzić profesor doktor, by dowiedzieć się, że mówią tak i w innych miastach polskich?

Artykuły o regionalnych odmianach polszczyzny w tomie pani Kurkowskiej są znacznie ciekawsze. Jednak w studium „Regionalizmy w języku inteligencji białostockiej” znajduję opisową definicję słowa „kruczek” albo „haczyk”: „zgięty na końcu pręt metalowy służący do przegarniania popiołu i węgla”. Autor nie zna słowa „pogrzebacz”. Zapewne bardzo wielu żyjących dziś Polaków nie widziało na oczy pogrzebacza. Czy jednak bez znajomości pospolitych słów można zajmować się historią słownictwa i oceniać, co jest regionalizmem? Młody badacz nie zna słowa. A redaktorka książki? Jeśli słowo „redagować” mamy pojąć w sensie czysto pickwickowskim, to otwiera to zupełnie nową perspektywę w rozumieniu i używaniu języka.

Akademiccy językoznawcy mają swój udział w psuciu języka. Odmienny bywa wpływ pisarzy nieuczonych, czyli tzw. twórców. Szczególną rolę gotów jestem przypisać Wiechowi. Po pierwszej wojnie w salach kinowych zaczęli się spotykać ludzie ze wszystkich warstw społecznych. W produkowanych samochodach usunięto szybę oddzielającą kierowcę od pasażerów. Ta likwidacja przegrody była rezultatem przemian zachodzących już wcześniej. Opowiada Mniszkówna: „Przed gankiem stanął pasowy automobil ordynata. Ordynat wyskoczył zeń, rzucając kolbę palaczowi”. Tenże Waldemar nigdy by się nie pchał stangretowi na kozioł. Mieszaniu się publiczności towarzyszyło wtargnięcie języka przedmieścia. Na dodatek w okolicach Warszawy, a tu przedmieścia były najrozleglejsze, język ten czerpał z pewnej zatartej tradycji. Od lat 80-tych przestępcy kryminalni z Cesarstwa po odbyciu kary nie mieli prawa zamieszkania w Petersburgu i Moskwie. Kierowano ich na osiedlenie w okolicy prawobrzeżnej Warszawy, wzdłuż linii kolejowej Dworzec Wileński-Thuszcz. Tu na ogół polonizowali się, zachowując jednak ślady dawnych zwyczajów i słownictwa. Nie było to słownictwo Antoniego Czechowa. Stąd, gdy ktoś biegł lub żywo podążał, ktoś inny *zaiwaniał*. Wiech działając z pełną świadomością — „Wieczory artystyczne na zakładach pracy to bardzo przyjemna i pożyteczna akcja. Przy czym trzeba wyjaśnić, że nie odbywają się one na dachach tych zakładów, tylko w środku...” — w nastroju rozbawienia, nie urażając nikogo uczynił coś, co

by można porównać do wyciągnięcia z gruntu pleniących się chwastów i umieszczenia ich w wazonach. Przez dobre czterdzieści lat stanowiły ozdobę gazet. Zarzucano Wiechowi, że popularyzuje ten język. To prawda. Będąc uczniem szkół posługiwałem się nim swobodnie, znając go jedynie z lektury. Czasem przychodziło mi do głowy zabawić otoczenie opowiadając wiechem o wydarzeniach dnia. W domu tolerowano te brewerie w nadziei, że rozpoznam chwilę, w której wypadnie zacząć mówić serio. Gdy Wiech odszedł, polszczyzna okazała się cudownie oczyszczona ze wszystkich słów, których używał. A jeśli nawet usłyszymy, że ktoś to lub owo uskutecznił, brzmi to jak zabawny archaizm, cytat z Klonowica.

W latach 70-tych można było sądzić, że co najmniej podobną rolę odegra Janusz Głowacki, obdarzony absolutnym słuchem na postępy języka partyjnego w sferze prywatności, życia uczuciowego i kultury. Cykl felietonów na temat Szekspira — „Poloniusz nie sprawdził się u towarzyszy” — przewyższał wiele utworów późniejszego drugiego obiegu. Najbardziej cenię u tego autora zarówno to, że dostrzegł rozmiary zjawiska jak i to, że w porę przestał się nim zajmować. Warto dziś wznowić te felietony i sprzedawać je pod opaską: *Kompletny zbiór zwrotów, których nie należy używać*. Dobrze też byłoby sporządzić reprint książki Mieczysława F. Rakowskiego „Ludzie piszą listy do wicepremiera Rakowskiego”, nazbyt rozwlekłej, by mogła wytrzymać zestawienie z Głowackim czy „Słownikiem komunalów” Flauberta, nieocenionej jako źródło do historii stereotypów.

Myślę, że tylko dwie grupy, duchowni i nauczyciele, powinny przestrzegać ścisłego kanonu polszczyzny. Kanon taki zaczyna się od Mickiewicza i nie kończy na Miłoszu. Będzie wzrastać znaczenie Jerzego Stempowskiego, wciąż jeszcze znanego tylko w wyborze i wydawanego w prohibicyjnych nakładach. Kanon współtworzony jest dzisiaj. Jerzy Turowicz, ks. Adam Boniecki, o. Jacek Salij potrafią tak klarownie pisać o wierze, Kościele i wspólnocie, i to we wszystkich rejestrach, od dziennikarskiej informacji do rozważań teologicznych. Zbigniew Raszewski nie tylko stworzył naukową historię polskiego teatru, ale i uczynił ją swoim wielkim tematem literackim. Jan Błoński, Ludwik Flaszen i Andrzej Kijowski w zachwycający sposób opowiadali o literaturze istniejącej i tej, którą sobie wyobrażali, przyjaciel Konstanty Puzyna dorównywał im pisząc o teatrze. W następnej generacji dołączył do nich Tomasz Burek. Jakub Karpiński precyzyjnie relacjonuje zdarzenia i procesy społeczne w PRL-u, chłodno analizuje instytucje. Andrzej Biernacki, dla którego związyły sprawozdań z niezwykłych lektur wciąż sięgam po zmarniałą *Twórczość*. A wydarzenia dnia codziennego?

Tu wzorem pisarza współczesnego jest Czechow w przekładach Marii Dąbrowskiej. Czytam z przyjemnością wiele z tego, co pisze Konwicki, ale trudno sobie wyobrazić, by ktoś inny mógł bezkarnie tym językiem opowiedzieć o przeżyciach z zeszłego tygodnia. Albo o minionych wakacjach, wzorując się na Jarosławie Marku Rymkiewiczzu.

Nie będąc duchownym ani nauczycielem, jestem zwolennikiem najbardziej swobodnej konkurencji w tej dziedzinie. Niech każdy pisze i opowiada, jak mu się podoba. Reguły odradzają używania zdrobnień. Tak więc teoria nakazywałaby niezbyt wysoko ocenić tekst: „...zauważyłem oczkiem wprawionym z lat okupacji...”. Każdy, kto jednak mimo woli widział z bliska autora tego zdania, zdaje sobie sprawę, że gdyby Roman Bratny pisząc o sobie, napisał o swoim oku, musiałby zaraz dodać: „Rozrzewniłem się, rozgadałem, 'spatosiałem'...”. A tak uczyni dopiero 73 strony dalej.

Pochwałę wolnej konkurencji w dziedzinie słowa chciałbym oprzeć na omówieniu pewnego krótkiego tekstu, który w moim najgłębszym przekonaniu przeważał na szali tysiące ton zadrukowanego papieru, miliony egzemplarzy pism, miliardy powtarzanych słów. Ukazał się w piśmie o sztucznie obniżonym nakładzie, tyle że cieszącym się całkowitym zaufaniem przeważającej części duchowieństwa, piśmie, którego liczba czytelników wielokrotnie przewyższa nakład. Jest też nie bez znaczenia, że autor istotną część tego artykułu opowiedział w telefonicznej rozmowie z Maciejem Morawskim, powtórzonej przez radio parokrotnie, przede wszystkim, ale nie tylko, w najważniejszej audycji dnia: Fakty, wydarzenia, opinie. Rzecz była utrzymana w staroświeckiej poetyce obrazka obyczajowego. Przed dziesięć laty ukazała się w Wydawnictwie Literackim antologia takich obrazków, zwanych w ubiegłym stuleciu szkicami fizjologicznymi, nosząca tytuł „Polacy przez siebie samych odmalowani”. Józef Ignacy Kraszewski, Kazimierz Władysław Wóycicki, August Wilkoński, Seweryn Goszczyński i ich mniej znani koledzy opisywali ekonomę, palestranta, dzierzawcę, wieśniaka, faktora, birbanta, górala tatrzańskiego, druciarza oraz sytuację: próbę zaciągnięcia pożyczki, konkury, najazd gości, projekt założenia pisma, a nawet próbę pozbycia się akcji na gorące kąpiele w Monako i na przekop Suez (w roku 1859). Autor tekstu, o którym mowa, ogłoszonego 14 maja 1989, opowiada o swoim zakłopotaniu wobec zawilości procedury wyborczej. Przedstawia wszystkie komplikacje, próbuje je w myśli uporządkować. Zapisuje sobie, na własny użytek, dokładny scenariusz swego postępowania. „... przed wyjściem z domu zaopatrzę się w przyzwoitej grubości długopis względnie flamaster, a także w notatkę, na której wypiszę sobie czytelnie nazwiska kandydatów

'Solidarności'... Tę notatkę wydobędę z portfela w kabinie i zacząć szukać nazwisk, jakie na niej zapisałem, na owych licznych kartkach, które dostanę w obwodzie wyborczym. Na wszystkich kartkach skreślę starannie wszystkie nazwiska, z wyjątkiem trzech”. Autora ogarniają teraz wątpliwości, czy należy postępować aż tak radykalnie? Rozważa wszystko raz jeszcze. Nie mówi złego słowa o konkurentach, nie sztydzi. Wyraża nawet zaciekawienie „tajemniczą listą krajową”. Przeraża go jednak procedura. „Wszystko to zbyt skomplikowane. Na zawilość jest tylko jedna odpowiedź: prostota. Więc z dziecięcą prostotą skreśliam wszystkich, z wyjątkiem owych trzech kandydatów „Solidarności”, których sobie uprzednio wypisałem ku pamięci. Strzeżonego Pan Bóg strzeże”. Artykuł Jacka Woźniakowskiego w *Tygodniku Powszechnym*, zatytułowany PO KO-LEI, liczył 1.648 słów, z czego wstęp 1.030 słów, część zasadnicza 618. W roku 1888 londyński *The Times* poświęcił ówczesnej inscenizacji *Macbetha* ponad 7.000 słów. Jacek Woźniakowski użył dwu wyrazów spośród kilkunastu tysięcy, jakie powstały po 1945 r.: długopis i flamaster. Jeden dobrze napisany artykuł okazał się ważniejszy od nieco odmiennej sugestii przywódcy.

Andrzej DOBOSZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wiersze

Rainer Maria RILKE

TRZY WIERSZE

*
*
*

Co zrobisz, Boże, kiedy mnie nie stanie?
 Jestem twym dzbanem (kiedy się rozbiję?),
 jestem pokarmem twoim (kiedy zgniję?),
 jestem twą szatą i twoim zadaniem,
 gdy mnie zabraknie, stracisz wszelki sens.

Zniknie domostwo, które cię witało
 serdecznym słowem i przyjaznym gestem,
 z nóg twych zmęczonych zsuną się sandały,
 którymi jestem.

Płaszcz przeogromny z ramion twoich spadnie.
 Twój wzrok, co ciepłem muskał moje skronie,
 w przestrzeni błędząc, będzie szukał mnie
 długo, a kiedy wreszcie zmrok zapadnie,
 spocznie na obcym, kamienistym łonie.

Co wtedy zrobisz, Boże? Boję się.

Wielka jest śmierć.
 A nasze życie
 to roześmiana jej tylko twarz.
 Kiedy czujemy się w sił rozkwicie,
 ona w nas skrycie
 waży się lkać.

Z „SONETÓW DO ORFEUSZA”

I

Wznosi się drzewo. Cóż za podniesienie!
 Orfeusz śpiewa. Wzniosłe drzewo w uchu!
 I wszystko milczy. Ale to milczenie
 staje się znakiem i początkiem ruchu.

Zwierzęta, w ciszy, z mrocznego ostępu
 prą w jasną stronę, gdzie się las rozrzedza
 i są tak ciche wcale nie z podstępu,
 ni z lęku, jaki często je nawiedza,

lecz z zasłuchania. Wycie, ryk, szczenie
 milkną w ich sercach. Bo gdzie był jedynie
 szalas, by przyjąć to, co nadchodzące,

nora kryjąca najciemniejszą żądzę,
 co z drzeniem czeka na tęskne wezwanie —
 tam właśnie w słuchu wznosisz im świątynię.

Rainer Maria RILKE
 przełożył Janusz Szpotański

Georg TRAKL

SZCZURY

Białawym światłem księżyc mży,
cień fantastyczny pełźnie z murów,
milczenie w pustych oknach drży —
wtedy to z nor wylażą szczury

i piszcząc tak, jak piszczy głód,
rozbiega się upiorna zgraja,
ciągnąc za sobą szczurzy smród.
który księżycu blask przepaja.

O każdy kęs gotowe gryźć się,
już wypełniają dom i spichrze,
gdzie ziarna w bród, owoców kiście.
W ciemnościach wiatr szyderczo świszcze.

ZMIERZCH ZIMOWY

W górze czarna nieba stal.
Oszalałe z głodu wrony
leczą w tunie burz czerwonej
wykrakując gniewny żal.

Lód obłoków promień skuł;
i przekłeta przez szatana
krąży zgraja obłąkana
i siedmiokroć spada w dół.

W słodkim ścierwie raz po raz
dziób zanurza się bezgłośnie,
nieme domy patrzą groźnie,
z sal teatru bije blask.

Most, kościoły i szpitale
jak upiory stoją w mgle.
Pokrwawione wzdyma się
płótno żagla na kanale.

KRUKI

Z łopotem skrzydeł i z krakaniem
zza węgla krucza czerni wypadła,
rzuciwszy mroczny cień na lanie,
gderliwie na murawie siadła.

O, jak ohydnie mącą ciszę
brunatną pól ich ostre dzioby!
Zda się, że wiejskie baby słyszysz,
kiedy wykrakać chcą żałobę.

Nagle powiało skądś padliną,
więc chmarą się w powietrze wznoszą
i jak pogrzebny kondukt giną
na niebie, które drży rozkoszą.

DUSZA JESIENI

Rogu zew, szczekanie krwawe,
w dali krzyż, brunatne wzgórze,
ślepnie zwolna lustro stawu,
ostry krzyk jastrzębia w górze.

Nad ścieżyną i nad rżyskiem
czarne trwoży się milczenie,
przez gałęzie niebo błyska,
cichy tylko szum strumienia.

wnet się wymknie zwierz i ryba,
dusza wchodzi w strefę cienia,
więź ze światem się urywa,
wieczór sens i obraz zmienia.

Chleb i wino ludziom prawym,
w twoje dobre dłonie, Boże,
człowiek kres swój mroczny złożył,
wszystek grzech i mękę krwawą.

Georg TRAKL
przełożył Janusz Szpotański

Archiwum polityczne

Postkomunizm i dążenia narodowościowe: próba sił

Nadszedł czas, by Zachód zdał sobie sprawę z problemu zapomnianego przez większość zachodnich naukowców, a przez wszystkich polityków uważanego za tabu: narastającej fali dążeń narodowościowych w Europie Wschodniej, a szczególnie w Związku Sowieckim. Te uśpione od lat dążenia stają się teraz, w sposób intensywny i konfliktowy, rzeczywistością sowieckiego świata, uznawanego niegdyś za monolit. Marks nazwał kiedyś carskie imperium „więzieniem narodów”, Stalin zamienił je w „cmentarz narodów”, za Gorbaczowa staje się ono „wulkanem narodów”.

Do niedawna Zachód wolał minimalizować nie tylko wschodnioeuropejskie dążenia narodowościowe, lecz także skutki ożywającej świadomości narodowej nie-rosyjskich narodów ZSSR. Ponadto większość zachodnich społeczeństw utożsamiała Związek Sowiecki z Rosją, zakładając prawie automatycznie, że każdy mieszkaniec Związku Sowieckiego to Rosjanin. Obecnie sytuacja się zmieniła. Konflikty narodowościowe rozwiąły złudzenia co do komunistycznego braterstwa ludów oraz istnienia jakiegoś ponadetnicznego narodu sowieckiego. Kryzys komunizmu wyraża się między innymi właśnie rosnącą falą dążeń narodowych oraz ujawnianiem się rzeczywistej mozaiki narodowościowej. Jest bardzo prawdopodobne, że rozwój ruchów narodowościowych w Europie Wschodniej oraz wzrastające poczucie odrębności narodów ZSSR przekształcą niebawem ten obszar w arenę najostrejszych na świecie konfliktów narodowościowych.

Nie należy rozpaczać nad komunizmem. Jego zanik oznacza wyzwolenie dla tych, którzy dotąd musieli żyć w odczłowieczającym reżymie. Ponadto, chociaż komunizm głosił hasło internacjonalizmu, w rzeczywistości pobudził rozmaite nacjonalizmy. Kulturę polityczną zastąpił nietolerancją, sobiepaństwem, odrzucil

jakiegokolwiek społeczne kompromisy, hołdując prostackiemu samouwielbieniu. Dogmatyczny komunizm łączył się, a nawet czerpał korzyści z najbardziej nietolerancyjnych popędów nacjonalistycznych. Wyniszczenie arystokracji i elit handlowo-przemysłowych, grup względnie „internacjonalistycznych”, dodatkowo wzmocniło szowinizm. W gruncie rzeczy komunizm manipulował poczuciem odrębności narodowej, podsycił nacjonalizm.

Nadszedł czas, by Zachód sprecyzował swe stanowisko wobec rozpadu komunizmu i coraz wyraźniejszych przejawów poczucia odrębności narodowej w Związku Sowieckim. Jak ma wyglądać Europa Wschodnia po odrzuceniu sowieckiej dominacji? Czy Zachód winien popierać dążenia separatystyczne niektórych, czy też wszystkich nierosyjskich narodów Związku Sowieckiego? Czy powinien rozpatrywać odrębnie sytuację poszczególnych narodów? Jak winniśmy zareagować, jeśli Kreml zastosuje represje wobec nie-Rosjan? Jaki powinien być nasz stosunek do nacjonalizmu wielkoruskiego? Jakie są międzynarodowe strategiczne i ekonomiczne skutki tych procesów? Jak mają się one do praw człowieka?

II

Cały ten splot problemów należy rozważyć w historycznym kontekście dążeń narodowościowych w świecie sowieckim. Choć zjawiska te przejawiają się nieco inaczej w krajach wschodnioeuropejskich, są ściśle ze sobą powiązane, więc nie mogą być traktowane jako kwestie całkowicie różne. To, co może nastąpić w Europie Wschodniej — a właściwie już się dzieje — z pewnością wpłynie na sytuację w Związku Sowieckim. Wiele jest dowodów na to, że wydarzenia w Polsce oddziaływały bezpośrednio na republiki bałtyckie. Sytuacja na Ukrainie i Białorusi również kształtuje się pod wpływem zachodnich sąsiadów. Bez wielkiej przesady można stwierdzić, że potencjalna „bałkanizacja” Europy Wschodniej wiąże się z ewentualną „libanizacją” Związku Sowieckiego.

W Europie Wschodniej tylko dwa państwa jednolite narodowościowo nie mają żadnych konfliktów z najbliższymi sąsiadami: Polska i Węgry. Polska jest pod względem narodowościowym i religijnym państwem najbardziej spójnym. 95% blisko 40-milionowej ludności stanowią etniczni Polacy i katolicy. 11-milionowe Węgry zamieszkuje 90% Madziarów, chociaż sytuacja wyznaniowa jest nieco bardziej skomplikowana niż w Polsce. Pozostałe państwa Europy Wschodniej mają wiele mniejszości narodowych lub są po prostu wielonarodowościowe.

Najbardziej zróżnicowane są społeczeństwa Jugosławii i Czechosłowacji. Jugosławia jest amalgamatem sześciu odrębnych narodów różnych wyznań. Pod względem politycznym dominuje 9-milionowa ludność serbska (Jugosławia liczy 24 miliony mieszkańców), której przewaga wywołuje nieustanne animozje ze strony bardziej zaawansowanych kulturowo, ale mniej licznych Chorwatów i Słowenów oraz ze strony nacjonalistycznie nastawionych Albańczyków. Czechosłowacja, licząca 16 milionów mieszkańców, jest federacją 10-milionowej ludności czeskiej i słowackiej. Również Bułgaria i Rumunia mają znaczną ilość mniejszości narodowych.

Ponadto wspomniane kraje wykazują skłonności do rozszczeń terytorialnych wobec sąsiadów. Oto lista potencjalnych konfliktów. Polska żywi zadawnione, choć w tej chwili mało groźne żale do Czechosłowacji, sama zaś może stać się przedmiotem rozszczeń terytorialnych Niemców. Już w latach 80-tych powstał ostry spór między komunistycznymi rządami Polski i NRD o granice wód terytorialnych i dostęp do portu w Szczecinie. Spory graniczne między Polską a Litwą, Białorusią i Ukrainą również nie są całkowicie uregulowane. Czechosłowacja i Węgry żywią do siebie wzajemne pretensje o sposób traktowania mniejszości narodowych w tych krajach. Poważniejszy i groźący wybuchem jest spór węgiersko-rumuński o Transylwanię, należąca obecnie do Rumunii, kiedyś jednak będąca częścią cesarstwa austro-węgierskiego, zamieszkałą przez 7 milionów Węgrów uciśnianych przez Rumunów. Rumunia ze swej strony ma historycznie uzasadnione pretensje do Ukrainy Sowieckiej o Besarabię i Sowiecką Mołdawię oraz do Bułgarii o czarnomorski region Dobrudży. Z kolei Bułgaria żąda Macedonii jugosłowiańskiej. W Jugosławii region Kosowa, zamieszkały w większości przez coraz liczniejszą ludność albańską, może również stać się punktem zapalnym.

Mozaikę rozszczeń terytorialnych i antagonizmów narodowościowych — podobne spory ujawniają się zresztą na całym świecie, nie wyłączając Europy Zachodniej — dodatkowo komplikuje historyczna niedojrzałość ambicji narodowościowych w Europie Wschodniej, chociaż większość krajów w tym regionie może poszczycić się historią nie gorszą niż dzieje jakiegokolwiek państwa zachodniego. Nie ulega jednak wątpliwości, że ambicje narodowościowe w Europie Wschodniej są silniejsze, bardziej emocjonalne i bardziej intensywne niż na Zachodzie. Europie Wschodniej brak doświadczeń w dziedzinie rzeczywistej współpracy o charakterze ponadpaństwowym, która w ciągu ostatnich dziesięcioleci spoiła Europę Zachodnią, od planu Marshalla, poprzez Europejską Wspólnotę Węgla i Stali do Wspólnego Rynku.

Państwa bloku wschodniego, wbrew oficjalnie głoszonej ideologii internacjonalistycznej, gospodarowały w obrębie poszczególnych, hermetycznie zamkniętych organizmów państwowych. Moskwa nie pozwalała na prawdziwą „wzajemną pomoc gospodarczą”. Kreml zniweczył plany ścisłej współpracy między Polską i Czechosłowacją, które powstały w latach II wojny światowej, podobnie jak powojenne projekty związku między Jugosławią Tity i Bułgarią Dymitrowa. Państwa bloku wschodniego były „pionowo” uzależnione od Moskwy, współpraca „pozioma” pomiędzy nimi praktycznie nie istniała. Układ Warszawski i Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej służyły przede wszystkim jako narzędzia kontroli sowieckiej.

Ponadto każde państwo bloku było ściśle odizolowane od sąsiadów, żelazna kurtyna oddzielała obóz komunistyczny nie tylko od Zachodu. Biegła również wzdłuż granic poszczególnych państw bloku. Podróże, prasa i wymiana naukowa podlegały ścisłej kontroli. Zniechęcano również do dwustronnej współpracy gospodarczej, ustanawiając państwowe samowładztwo ekonomiczne, ograniczane z kolei polityką zależności ekonomicznej od Związku Sowieckiego. Moskwa zachęcała do kultywowania w oficjalnej ideologii swego rodzaju nacjonalizmu państwowego. Z tej przyczyny pod sowieckim panowaniem dążenia narodowościowe w krajach Europy Wschodniej przekształciły się w szowinizm. Groźba „balkanizacji” tego regionu wyzwalającego się spod kontroli sowieckiej jest realna. Zacořana gospodarczo Europa Wschodnia dąży — mimo najrozmaitszych wewnętrznych i zewnętrznych przeszkód — do nawiązania ściślejszych stosunków z od dawna podziwianą Europą Zachodnią. Proces ten niekonicznie musi się wyrażać powtórzeniem dawnych wojen bałkańskich, lecz silnymi napięciami etnicznymi, lokalnymi starciami narodowościowymi lub nawet konfliktami terytorialnymi. Albańsko-serbskie starcia w Kosowie oraz węgiersko-rumuńskie spory o Transylwanię są zapowiedzią szerszych konfliktów tego typu. Krótko mówiąc, desowietyzacja Europy Wschodniej najprawdopodobniej nie będzie równoznaczna ze spokojnym rozwojem ogólnoeuropejskiej współpracy gospodarczej na wzór EWG.

III

Niebezpieczeństwo to blednie wobec groźby poważnych i potencjalnie krwawych konfliktów narodowościowych w Związku Sowieckim. Niektóre narody nie-rosyjskie są bardziej wojowniczo nastawione niż grupy narodowościowe w Europie Wschodniej,

ponieważ ich ambicje narodowe zostały bardziej sponiewierane. Niekiedy na jednym obszarze administracyjnym, w sztucznie ustalonych, a nie historycznych granicach, zgromadzono wrogie sobie narody. Jakkolwiek próba zaspokojenia przez Moskwę ambicji narodowych republik o wyraźnych tradycjach historycznych, na przykład krajów bałtyckich, na które znacznie oddziaływały polskie wzory, przyspieszy rewindykację innych narodów.

Problem narodowościowy w Związku Sowieckim jest uderzająco zawily. Pośród 290-milionowej ludności Związku Sowieckiego, mniej więcej 145 milionów ludności — o przyroście naturalnym większym niż u Rosjan — składa się z 14 głównych narodów nie-rosyjskich skupionych w republikach związkowych oraz około setki mniejszych grup narodowościowych w okręgach autonomicznych. Owych 14 narodów liczy 120 milionów ludności. Aby ten obraz skomplikować jeszcze bardziej i zdać sobie sprawę z wybuchowej sytuacji, należy przypomnieć, że około 25 milionów Rosjan żyje rozsianych pomiędzy ludnością nie-rosyjską, a 40 milionów nie-Rosjan mieszka poza terytoriami etnicznymi. Tych 65 milionów „obcych” może stać się zarzewiem potencjalnych konfliktów narodowościowych na dużą skalę i paść ofiarą tych konfliktów.

SKŁAD NARODOWY REPUBLIK ZWIĄZKU SOWIECKIEGO (dane z 1979 roku)

| REPUBLIKI | LUDNOŚĆ | | LUDNOŚĆ ROSJANIE | INNE |
|----------------|-------------|----------|------------------|------|
| | w milionach | rodowita | | |
| Rosyjska | 137,6 | 82,8 | 82,8 | 17,2 |
| Ukraińska | 49,8 | 74,9 | 19,4 | 5,7 |
| Białoruska | 9,6 | 81,0 | 10,4 | 8,6 |
| Moldawska | 3,9 | 64,6 | 11,6 | 23,8 |
| Uzbecka | 15,4 | 65,5 | 12,5 | 22,0 |
| Kazachska | 14,7 | 32,6 | 42,4 | 25,0 |
| Tadżycka | 3,8 | 56,2 | 11,9 | 31,9 |
| Kirgiska | 3,5 | 43,8 | 29,2 | 27,0 |
| Turkmeńska | 2,8 | 56,6 | 14,5 | 28,9 |
| Gruzińska | 5,0 | 66,8 | 8,5 | 24,7 |
| Azerbejdżańska | 6,0 | 73,8 | 10,0 | 16,2 |
| Armeńska | 3,0 | 88,6 | 2,7 | 8,7 |
| Litewska | 3,4 | 80,1 | 8,6 | 11,3 |
| Łotewska | 2,5 | 56,8 | 29,8 | 13,4 |
| Estońska | 1,5 | 68,2 | 24,7 | 7,1 |

Pośród każdego niemal narodu nie-rosyjskiego żyje i pracuje mniejszość rosyjska lub inna mniejszość etniczna (zob. tabela). W niektórych przypadkach potencjalna linia konfliktu przebiega „pionowo”, między ludnością miejscową i osadnikami rosyjskimi, wysłannikami wielkorosyjskiego Kremla. Tak jest na przykład w Estonii (25% Rosjan), na Łotwie (30% Rosjan), w Kirgizji (30% Rosjan), Kazachstanie (60% Rosjan lub Ukraińców) oraz w pewnym stopniu na Ukrainie (20% Rosjan). W innych przypadkach konflikty narodowościowe rozgrywają się „poziomo”, między danym narodem i mniejszością nie-rosyjską (na przykład konflikt między Armenią i Azerbejdżanem, gdzie mniejszości narodowe są liczne: wielu Ormian żyje na terenie Azerbejdżanu i wielu Azerów w Armenii). W jeszcze innych wypadkach osie konfliktów narodowościowych przebiegają zarazem „pionowo” i „poziomo”, jak na przykład w Azji Środkowej, gdzie występuje znaczne zmieszanie ludności miejscowej i osadników słowiańskich.

Co więcej, bolszewicy stworzyli ramy instytucjonalne, które łatwo dziś napełnić nacjonalistyczną treścią. Związek Sowiecki składał się przez dziesięciolecie z rzekomo suwerennych republik, mających wręcz prawo oderwać się od ZSSR (choć za Stalina niejednen trafił pod ścianę za samą pokusę skorzystania z tego prawa!).

Praktycznie związek republik był fikcją, a rzeczywistą centralną władzę sprawowali Rosjanie, narzucając w myśl doktryny „narodu sowieckiego” język rosyjski i historię Rosji. Ta fikcyjna odrębność republik przetrwała czasy stalinowskie, a wraz z nią podstawa do ewentualnego głoszenia, a następnie egzekwowania dążeń etnicznych w chwili narodowościowego przebudzenia. Chwila ta nadeszła wraz z *pieriestrojką*. Gorbaczow zrozumiał, że sowieckiego systemu nie sposób usprawnić bez poważnej decentralizacji gospodarczej i demokratyzacji politycznej. To wiązało się z przyznaniem większych swobód poszczególnym narodom i jednoczesnym ujawnieniem się ich przez lata tłumionych aspiracji. Poszczególne narody ZSSR zapragnęły mianowicie prawdziwej kontroli nad miejscowymi ośrodkami władzy. W ten sposób szumne apele Gorbaczowa o większą praworządność — konieczne dla poprawy sytuacji gospodarczej — dały nierosyjskim narodom ZSSR potężną broń do ręki przeciwko kontroli Moskwy.

Podstawą prawną stała się sowiecka konstytucja. Artykuł 76 stwierdza: „Republika związkowa jest suwerennym państwem sowieckim, które zjednoczyło się z innymi republikami sowieckimi w Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich”. W artykule 80 czytamy, że każda republika związkowa „ma prawo nawiązywać stosunki z państwami zagranicznymi (i) zawierać

z nimi układy”, a w artykule 81 znowu jest mowa o „suwerennych prawach republik związkowych”. Artykuł 72 stwierdza, że „każda republika związkowa zachowuje prawo swobodnego wystąpienia z ZSSR”. Zatem z formalno-prawnego punktu widzenia istnieją gwarancje suwerenności narodowej.

Paradoksalnie, ekspansja imperium sowieckiego w kierunku Europy Wschodniej także dostarczyła ideologicznego alibi dla aspiracji narodowych ludów nie-rosyjskich. Dopóki Związek Sowiecki był jedynym państwem „socjalistycznym” w „kapitalistycznym okrążeniu” Moskwa mogła twierdzić, że jedność jest konieczna dla „obrony zdobyczy socjalizmu”. Kiedy jednak powstały inne państwa komunistyczne, nawet nie-rosyjscy komuniści w poszczególnych republikach mogli posłużyć się argumentem, że nie ma już żadnego powodu, by np. komunistyczna Estonia nie mogła istnieć poza organizmem państwowym Związku Sowieckiego, podobnie jak komunistyczne państwa w Europie Wschodniej. Rozszerzenie władzy Kremla na Zachód dostarczyło nie-rosyjskim komunistom dodatkowych argumentów dla ich roszczeń narodowościowych.

Ponadto oczywiście bankructwo systemu sowieckiego skompromitowało nie tylko ideologię komunistyczną, lecz także samą ideę „związku”. Większość nie-Rosjan uznawała za przyczynę swej nędzy samo istnienie państwa sowieckiego. Z tego powodu stopniowe wyzwalanie się Europy Wschodniej spod moskiewskiej kontroli pociągało zwłaszcza narody zachodniej części Związku Sowieckiego. Strategia stopniowego podważania komunistycznej władzy przyjęta przez „Solidarność” posłużyła za model dla masowych ruchów — Frontów Ludowych — które powstały w kilku republikach nie-rosyjskich.

Proces narastania ruchów narodowych pośród ludów nie-rosyjskich podzielić można na pięć zasadniczych stadiów. Pierwsze polega na zachowaniu języka narodowego, czyli na niemal instynktownej samoobronie przed rusyfikacją. Drugie wyraża się w dążeniu do uzyskania i zachowania autonomii kulturalnej. Trzecie — w chęci szybkiego uzyskania samodzielności gospodarczej. Czwarte — w dążeniu do uzyskania autonomii politycznej. Piąte — to prawie jawne dążenie do uzyskania pełnej niezawisłości państwowej.

Pozwólmy sobie na śmiałe uogólnienie: narody republik bałtyckich, które były do roku 1940 niepodległe oraz Gruzja — niepodległa do roku 1923 (przypomnijmy, że jeszcze w XIX stuleciu Gruzja była królestwem) — przechodzą obecnie ze stadium czwartego do piątego. Niezwykle ważna Ukraina, licząca ponad 50 milionów ludności, znajduje się co najmniej w drugim stadium, choć polityczne napięcia w Kijowie, szczególnie zaś we Lwowie, świadczą o osiągnięciu stadium czwartego. Białoruś i

Mołdawia nadal znajdują się w pierwszym lub drugim stadium. Większość republik sowieckich w Azji Centralnej, zachęcona rozszerzaniem się wpływów islamu oraz sowiecką klęską w Afganistanie, przechodzi z trzeciego do czwartego stadium.

We wszystkich republikach nie-rosyjskich nasilają się dążenia narodowościowe. Dosłownie w każdej nie-rosyjskiej republice otwarcie potępiono rusyfikację, nieraz w sposób burzliwy. W republikach bałtyckich grupy domagające się suwerenności tworzą elity polityczne. W większości pozostałych republik wyczuwa się podobny nacisk ludności, na ogół inspirowany przez miejscową inteligencję. W kilkuset miejscach doszło do walk między grupami etnicznymi, padły tysiące ofiar. Oficjalnie podano, że na skutek starć pomiędzy Ormianami i Azerbejdżanami zostało bez dachu nad głową 350 tysięcy osób. Sytuacja będzie się najprawdopodobniej raczej pogarszała niż polepszała.

Krótko mówiąc, kwestia narodowościowa stała się głównym problemem Związku Sowieckiego, ważniejszym nawet niż kryzys ekonomiczny. Rzutuje ona i bardzo komplikuje polityczne i gospodarcze aspekty *pieriestrojki*. Wyraża się różnie. W republikach bałtyckich toczy się pokojowa walka o przejęcie władzy z rąk Moskwy, dochodzi nawet do jednostronnych zmian ustawodawczych, dotyczących na przykład pozbawienia Kremla kontroli nad bogactwami naturalnymi. Niekiedy, jak w Tyflisie w roku 1989 lub Ałma-Acie w roku 1986, dochodzi do buntów przeciwko panowaniu Wielkorusów, pokrewnych walkom narodowyzwoleńczym przeciwko okupantom. Gdzie indziej — np. w Armenii, Azerbejdżanie, Gruzji, Uzbekistanie — ludność organizuje krwawe pogromy, dając upust najprymitywniejszym instynktom. Konflikty wybuchają również wśród wielu mniejszych narodów, nie posiadających własnych republik, wyzwalając kolejne napięcia w państwie, które trudno już określić mianem Związku.

Sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna z powodu masowego przemieszania Rosjan z nie-Rosjanami. Około 65 milionów ludzi żyje poza granicami etnicznych ojczyzn, w środowiskach potencjalnie wrogich. To, co Marks określił kiedyś „więzieniem narodów”, a co władza sowiecka mylnie ogłosiła „związkiem narodów”, może wyrwać się spod kontroli i stać się polem walki narodów.

IV

Konsekwencje tej sytuacji są szczególnie niebezpieczne dla Rosjan. Ich imperium rozszerzyło się w przeciagu ostatnich kilkuset lat. Rosja stała się największym na świecie i — jak

dotychczas — najtrwalszym imperium wielonarodowym. W najbliższej przyszłości Rosjanie będą musieli rozwiązać następujący dylemat: albo represje wobec nie-Rosjan, albo bierność czyli poważne zagrożenie dla samych siebie.

Zbieżność dążeń emancypacyjnych Europy Wschodniej i ruchów narodowościowych w Związku Sowieckim jeszcze bardziej komplikuje i tak już niełatwą sytuację. Kreml nie może godzić represji wobec sowieckich narodów nie-rosyjskich z tolerancją wobec nacjonalistycznych dążeń w Europie Wschodniej. Trudno byłoby kontynuować wewnętrzną *pieriestrojkę* przy jednoczesnym poskramianiu nie-rosyjskiej połowy ludności sowieckiej. Na poczucie odrębności narodowej w Związku Sowieckim wpłynęły w dużej mierze sukcesy „Solidarności” i polskiego Kościoła katolickiego. Represjonowanie dążeń narodowościowych w Związku Sowieckim przy jednoczesnym ich tolerowaniu w sowieckiej strefie Europy Wschodniej oznaczałoby, że źródło zarazy istnieje nadal. Polacy i Węgrzy śmiało i publicznie głosiliby swoje poparcie dla represjonowanych nie-Rosjan, staliby się ich sojusznikami.

Przykręcenie śruby wewnątrz wymagałoby tego samego w stosunku do państw Europy Wschodniej, z wykluczeniem jednak bezpośredniej interwencji. Jakakolwiek próba tego typu pociągnęłaby oczywiście koszty polityczne i ekonomiczne. Moskwa musiałaby skierować swą energię i środki na zastraszenie i przekupienie Europy Wschodniej, co nie mogłoby się obejść bez groźnych rozruchów w tym rejonie. Tymczasem ostatnią rzeczą, której Kreml może pragnąć, jest równoczesny wybuch zamieszek narodowościowych w Europie Wschodniej i na swym własnym terenie.

Prześladowania nie-Rosjan wiązałyby się również z wielkimi kosztami. Polityka represji wzmogłaby rosyjski szowinizm, który wywołałby rykoszetem wzrost uczuć antyrosyjskich. Ponadto próby ponownego narzucenia centralnej władzy Moskwy napotykałyby na opór polityczny, a może nawet fizyczny. Narody nie-rosyjskie to już nie ci sami ulegli analfabeci skolonizowani przez carów i zdziśiatkowani przez stalinizm. To społeczeństwo świadome własnej odrębności narodowej i kulturalnej, posiadające własną warstwę inteligentów.

Wprowadzenie represji wymagałoby mocnego uderzenia. Chcąc działać skutecznie, Moskwa musiałaby znów skupić całą władzę w swym ręku, a to położyłoby kres wszelkiej dalszej decentralizacji ekonomicznej. Najskromniejsze nawet projekty *pieriestrojki* przewidują zwiększenie aktywności gospodarczej poszczególnych narodów, zwłaszcza nie-rosyjskich (udział niektórych z nich liczy się bardzo w sowieckiej ekonomii). Siłą rzeczy prześladowania skazałyby *pieriestrojkę* na śmierć. Represje, mające ocalić imperium, obróciłyby się przeciwko Rosjanom, którzy

musieliby porzucić marzenia o demokratyzacji i poprawie materialnej. Brutalna prawda jest bowiem taka, że imperium sowieckie może przetrwać tylko jako zubożały wielkorosyjski narodowy garnizon.

Perspektywy Rosjan są jednak jeszcze mroczniejsze, jeśli dążenia emancypacyjne narodów sowieckich nadal będą rozwijać się w takim tempie, jak w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat. Jeżeli Kreml będzie je tolerował, a *pieriestrojka* nie da spodziewanych wyników, narody nie-rosyjskie tym usilniej będą się starały o zachowanie owoców swej pracy dla siebie. Z pewną dozą ironii rzec można, iż z postępów *pieriestrojki* większe korzyści odniosłyby narody nie-rosyjskie niż Rosjanie. Sowietyzacja nie zdołała zniszczyć tradycji handlowych, przedsiębiorczości i prywatnej inicjatywy w narodach bałtyckich, wśród Żydów, Gruzynów, Uzbeków i innych. Narody nie-rosyjskie mniej też zostały skażone wielkorosyjską tradycją podporządkowywania gospodarki kontroli państwa. Jest więc prawdopodobne, że udana *pieriestrojka* przyniosłaby nie-Rosjanom znacznie więcej pożytku aniżeli Rosjanom, zarówno dzięki wyżej wspomnianym czynnikom subiektywnym, jak i dzięki obiektywnie łatwiejszemu dostępowi rejonów nie-rosyjskich do światowych szlaków handlowych oraz ich stosunkowo bogatszym zasobom naturalnym.

Nad Rosjanami wisi również, oprócz groźby utraty rzeczywistej władzy nad narodami nie-rosyjskimi, niebezpieczeństwo natury biologicznej. Przyrost naturalny narodów nie-rosyjskich jest bardzo znaczny. Demografia wskazuje wyraźnie, że Rosjanie stają się mniejszością. 45-50 milionów sowieckich muzułmanów płodzi rocznie tyle samo dzieci co 145 milionów Rosjan. Ponadto rdzenna Rosja nie ma dostępu do ważnych portów umożliwiających handel ze światem, dostatecznej ilości ziemi ornej i bogactw naturalnych; nie ma też wyrazistych granic etnicznych oraz naturalnych. Tolerancja wobec dążeń separatystycznych wywołałaby niewątpliwie krwawe starcia, nie mówiąc już o niewesołej perspektywie Rosji zbiedniałej, zmuszonej do przyjęcia ziomków wygnanych z republik nie-rosyjskich.

W tej sytuacji trudna koegzystencja Rosji z sąsiadami może przybrać dwie formy: próby sił lub unikania problemu z nadzieją na zachowanie *status quo*. Pierwsza pozwoliłaby Rosjanom zachować władzę polityczną, ale wymagałaby długiego i kosztownego dławienia ruchów niepodległościowych narodów sowieckich, a może nawet niektórych wschodnioeuropejskich. Związek Sowiecki stałby się drugą Irlandią Północną. Przemoc wywołałaby prawdopodobnie zimną wojnę i zrujnowała kraj.

Druga możliwość — manipulowanie w celu zachowania władzy politycznej i uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej — spowodowałaby prawdopodobnie rozpad imperium. Republiki

nadbałtyckie usiłowałyby się odłączyć i w jakiejś formie związać z krajami skandynawskimi. Wówczas Gruzja także zaczęłaby dążyć do secesji, a niektóre republiki środkowoazjatyckie do pełnej autonomii. W krótkim czasie Ukraina i Białoruś poszłyby w ich ślady. Rosja wróciłaby do granic z połowy XVII wieku. Przebieg wydarzeń byłby prawdopodobnie krwawy, przypominający bunt ludności muzułmańskiej w Indiach, zakończony secesją i utworzeniem Pakistanu pod koniec lat 40-tych, oraz tragedię libańską z końca lat 80-tych.

Co właściwie mogą zrobić Rosjanie, wzięwszy pod uwagę dynamikę wydarzeń? Woleliby rzecz jasna zachować *status quo* jak najmniejszym nakładem kosztów. W ostateczności, gdyby sytuacja się pogorszyła, optowaliby zapewne za represjami. W związku z nasilaniem się nacjonalizmu wielkorusyjskiego druga możliwość znajdować będzie w niedalekiej przyszłości coraz więcej zwolenników, tym bardziej, że polityka ugodowa staje się niebezpieczna. Należy się spodziewać, że wraz z narastaniem zamieszek narodowościowych i zmierzchem ideologii komunistycznej — której retoryka służyła za wygodny parawan dla rządów Moskwy — wzrastać też będzie poczucie zagrożenia i frustracji Rosjan.

Nastrój desperacji doszedł już do głosu podczas ostatniego Zjazdu Deputowanych Ludowych na początku czerwca 1989 roku. Pisarz Walentin Rasputin zwrócił się mianowicie do deputowanych nie-rosyjskich słowami Stołypina: „Wam, panowie, potrzebne są wielkie wstrząsy, a nam — wielkie państwo”. Oklaskiwany przez deputowanych rosyjskich Rasputin stwierdził, że „szowinizm i pycha Rosjan są czymś wymysłem ludzi, którzy drwią z waszych uczuć narodowych, szanowni bracia”. Ubolewając nad brakiem wdzięczności narodów nie-rosyjskich, Rasputin spytał swych ziomek: „Czy nie sądzicie, że lepiej by się stało, gdyby Rosja odłączyła się od Związku Sowieckiego...? Mamy dość rezerw naturalnych i ludzkich, dość siły. Moglibyśmy wtedy wymawiać słowo 'rosyjski' i mówić o tożsamości narodowej bez obawy, że nas oskarżą o szowinizm. Moglibyśmy stać się na powrót jednym duchowym ciałem”. Rosyjscy deputowani znów zaczęli klaskać. Nie ulega kwestii, że przyklasnęliby również represjom w imię ocalenia imperium.

Na razie Rosjanie na Kremlu usiłują utrzymać *status quo* łącząc manipulację z represjami, kompromisami oraz ograniczonymi zmianami konstytucji. Wymaga to stosowania wypróbowanej taktyki *divide et impera*, przeciwstawiania sobie poszczególnych narodów nie-rosyjskich, występowania w roli arbitra oraz opiekuna, wyzyskiwania niektórych narodów jako narzędzi do egzekwowania woli Moskwy. Moskwa ustępuje wobec dążeń najbardziej spoistych republik, na przykład bałtyckich, ale stara się

postępować tak, by nie wywołać reakcji łańcuchowej. Ustępstwa wobec jednych mogą iść w parze z poskramianiem innych, np. kluczowych ze względów geopolitycznych republik ukraińskiej i białoruskiej, gdzie Moskwa może się uciec nawet do aresztowania i deportowania przywódców narodowych. Co do zmian konstytucyjnych, to mają one zwiększyć samodzielność gospodarczą republik nie-sowieckich.

Wydaje się jednak wątpliwe, by którekolwiek z powyższych rozwiązań wystarczyło do opanowania lub powstrzymania dynamiki narodowościowej w Związku Sowieckim. Dawnego imperium nie da się utrzymać. *Status quo* — nawet nieco zmodyfikowany — nie zadowoli ambicji narodowościowych nie-Rosjan. Narody nie-rosyjskie znajdują się na rozmaitych szczeblach rozwoju i niekoniecznie muszą się wszystkie jednoczyć przeciwko Moskwie, ich żądania (na przykład terytorialne) oraz ambicje mogą mieć charakter antagonistyczny. Jedno jest jednak pewne: nie zrezygnują ze swych ambicji narodowych, chociaż Rosjanie starają się nieco zmniejszyć i ukryć swą dominację polityczną oraz gospodarczą.

Ponadto, o czym wspominaliśmy wyżej, sytuację narodowościową w Związku Sowieckim komplikuje dodatkowo emancypacja Europy Wschodniej, która wywiera bezpośredni wpływ na republiki bałtyckie, Ukrainę, Białoruś i Gruzję. W analogiczny sposób na narody Azji Środkowej oddziałują pod względem politycznym oraz religijnym Iran i Afganistan. W ten sposób tworzy się zagadkowy kalejdoskop problemów narodowościowych, łączący możliwość bałkanizacji Europy Wschodniej z libanizacją Związku Sowieckiego, co oznaczałoby rozpad całego imperium.

V

Zachód nie może przyglądać się temu biernie. Na naszych oczach rozgrywa się wielki dramat historyczny, którego międzynarodowe konsekwencje nie muszą, ale mogą być bardzo poważne. Związek Sowiecki albo pozostanie wielkim imperium rosyjskim, albo przekształci się w demokratyczny organizm wielonarodowy. Te dwie możliwości nie dadzą się ze sobą pogodzić. Rosja imperialna pozostałaby najprawdopodobniej państwem militarystycznym i zaborczym, posługującym się marksistowską lub po prostu szowinistyczną ideologią, państwem, które nie mogłoby tolerować dążeń wolnościowych w Europie Wschodniej w obawie przez zarazę.

W każdym razie Rosjanie, którzy niechętnie zgodziliby się

na niepodległość nie-rosyjskich narodów imperium, mogliby doprowadzić w sojuszu z kilkoma narodami nie-rosyjskimi do przewlekłych rozruchów na tle narodowościowym. Z punktu widzenia równowagi europejskiej ani bałkanizacja wschodniej Europy i libanizacja Związku Sowieckiego, ani nawrót rosyjskiego imperializmu nie stanowi odpowiedniego rozwiązania.

Na razie milczenie Zachodu wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Nie rozwiązuje ono wprawdzie niczego, ale wydaje się bezpieczniejsze — i łatwiejsze — niż spojrzenie w twarz temu zawilemu splotowi problemów. Jednak gorsze od przymykania oczu jest załamywanie rąk nad końcem „stabilizacji”, która jakoby towarzyszyła zimnowojennemu współzawodnictwu dwóch jednolitych bloków. „Stabilizacja” ta była czymś historycznie sztucznym, wynikiem z geopolitycznej i politycznej konfrontacji dwóch wielkich mocarstw. Związek Sowiecki przestał być konkurentem Stanów Zjednoczonych w szerokim sensie tego słowa, ponieważ jest już tylko potęgą wojskową. Upadek autorytetu Związku Sowieckiego musiał otworzyć drogę aspiracjom podbitych przezeń narodów. Ewolucję tę należy powitać z nadzieją, a nie ubolewać nad nią.

Tak czy owak, Zachód nie będzie mógł długo milczeć, ponieważ narastanie konfliktów w Związku Sowieckim i Europie Wschodniej oraz ewentualne związane z nimi represje na nowo skupią uwagę zachodniej opinii publicznej i może też polityków na prawach człowieka. Ponadto w pewnym momencie pojawi się pytanie, dlaczego Zachód popiera dążenia niepodległościowe Polski, a ignoruje analogiczne ambicje Litwinów lub — w niedalekiej przyszłości — Ukraińców.

Wydaje się ponadto oczywiste, że historyczny punkt ciężkości konfrontacji między Wschodem i Zachodem przesuwa się na wschód. W latach czterdziestych, pięćdziesiątych, a nawet sześćdziesiątych konfrontacja rozgrywała się na zachód od Łaby. Ważyły się losy Francji i Włoch, gdzie partie komunistyczne miały duże wpływy. W tym czasie Związek Sowiecki spokojnie umacniał swą władzę nad Europą Wschodnią.

Obecnie historyczny punkt ciężkości przesunął się na wschód. W ciągu nadchodzącego dziesięciolecia sprawą najważniejszą będzie los Europy Wschodniej: czy uda jej się w końcu przyłączyć do reszty Europy i wydostać całkowicie spod sowieckiej kontroli? Wydaje się prawdopodobne, że u zarania następnego stulecia Litwa, Łotwa, Estonia i Ukraina staną się teatrem walk politycznych, świadczących o równoczesnym rozpadzie komunizmu i rosyjskiego mocarstwa imperialnego.

Czas najwyższy, by Zachód zajął stanowisko w tej sprawie, zanim ruchy narodowościowe w sowieckiej strefie wpływów nie podważą stosunków Wschód-Zachód. Postawa Zachodu powinna

odzwierciedlać powszechnie przyjęte zasady i sprzyjać dążeniom narodowościowym. Zachód powinien jednocześnie podkreślać, że nie chodzi mu o rozpad Europy Wschodniej ani Związku Sowieckiego, lecz o przekształcenie związków opartych na sile i przymusie w stosunki dobrowolne i partnerskie.

Mówiąc dokładniej, Zachód powinien przygotować długofalowy program stopniowego włączenia do zachodnioeuropejskiej wspólnoty tych krajów wschodnioeuropejskich, które uznają pluralizm za podstawę swego ustroju społecznego. Ponadto należy wypracować dla tych państw jakiś status pośredni, który pozwoli wprowadzać je na orbitę Zachodu. Obecność Polski i Węgier w Radzie Europy byłaby pierwszym krokiem w tym kierunku.

Jednocześnie Zachód winien popierać formy współpracy między Europą Wschodnią i Środkową. Węgry i Austria współpracują już ze sobą przy wiedeńsko-budapeszteńskiej wystawie światowej i więzy między nimi będą się z pewnością zacieśniały. Współpraca ta mogłaby się rozszerzyć na Jugosławię — Kroatja i Słowenia na pewno byłyby chętne. Więzy między Polską i Czechosłowacją — które mogłyby w przyszłości przybrać charakter konfederacji — byłyby politycznym i gospodarczym czynnikiem stabilizacji Europy Środkowej. Podobnie warto w przyszłości popierać nowe formy współpracy gospodarczej w republikach bałtyckich, by w wyniku kłęski komunizmu nie doszły do głosu wojownicze nacjonalizmy.

Radą Europy i EWG mogą przyjść z pomocą krajom Europy Środkowej, opracowując program ratowania środowiska naturalnego. Polsko-czesko-wschodniemiecki trójkąt przemysłowy jest najbardziej zanieczyszczonym obszarem na świecie. Wybuchają na tym tle ostre konflikty. Animozje narodowe i zatrucie przyrody mogą się nawzajem podsycać. Rzeczywista współpraca w tym regionie wydaje się konieczna i pilna. Instytucje zachodnie winny przyjść z pomocą.

Kilka lat temu niektóre państwa Azji Południowo-Wschodniej utworzyły organizację ASEAN, w ramach której rozwija się współpraca mimo stosunkowo żywych uczuć nacjonalistycznych, dawnych konfliktów i dużych odległości geograficznych. Stworzenie podobnej organizacji w Europie Wschodniej nie wydaje się utopią, tym bardziej, że bliskość geograficzna ułatwia wymianę oraz kontakty. Współpraca tego rodzaju byłaby ze wszech miar korzystna również ze względu na znane z historii tego rejonu skłonności narodów silniejszych do dominacji nad słabszymi i niszczyielskie skutki wojen między nimi.

W miarę rozwoju współpracy w Europie Środkowej powstanie również możliwość utworzenia jakiegoś układu konfederacyjnego pomiędzy obydwoma państwami niemieckimi. W ten sposób zostałyby zaspokojone słuszne niemieckie aspiracje do

stanowienia o własnym losie i uspokojone niebezzasadne obawy sąsiadów Niemiec przed zjednoczoną, potężną Germanią. Kwestię podziału Niemiec najłatwiej będzie rozwiązać w ramach szerszego, a zatem dającego większe poczucie bezpieczeństwa, ogólnoeuropejskiego układu. Sfederowanie Niemiec mogłoby wymagać odpowiednich środków bezpieczeństwa, na przykład pozostawienia na tym terenie na określony układem czas — powiedzmy 20 lat — oddziałów NATO i Paktu Warszawskiego. Innymi słowy, polityczne samostanowienie Niemców nie oznaczałoby przewrotu w zakresie bezpieczeństwa europejskiego.

Taki układ mógłby się stać podstawą ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa i zapobiec zachwianiu równowagi europejskiej na skutek przemian w Europie Środkowej. Najlepszym rozwiązaniem byłoby chyba porozumienie między NATO i Paktem Warszawskim, dotyczące zjednoczenia Niemiec, w którym oba paktów gwarantowałyby trwałość europejskich realiów geopolitycznych łącznie z istniejącymi granicami, ale Pakt Warszawski zrezygnował z narzucania swojej ideologii. Innymi słowy, niekomunistyczna Polska lub Węgry mogłyby nadal należeć do Paktu, tyle że z powodów geopolitycznych, a nie ideologicznych.

Powyższe propozycje nie stanowią panaceum na wszystkie problemy tego rejonu. Konieczne jednak należy rozpocząć dyskusję o kształcie postkomunistycznej Europy. Jej cel — odbudowa starego kontynentu po tragediach XX wieku. Nawet ogólnikowe i pozornie nierealistyczne propozycje mogą się przyczynić do opracowania konstruktywnego programu, którego urzeczywistnienie zmniejszyłoby niebezpieczeństwo utraty kontroli nad rozwojem sytuacji.

Należy również opracować projekt przyszłego Związku Sowieckiego. W tej dziedzinie Zachód także może pomóc i to dwojako: formułując jasno swoją koncepcję rozwiązania bolesnych dylematów, przed którymi stoją wszystkie narody ZSSR (który wciąż jeszcze jest imperium wielkorosyjskim) oraz deklarując gotowość do wspierania zasadniczych reform. Pokojowy kompromis i współpraca pomiędzy różnymi narodami wchodzącymi dotychczas w skład Związku Sowieckiego byłyby znacznie korzystniejsze niż brutalne represje ze strony Rosjan lub krwawe rozruchy etniczne. Zachód winien natomiast otwarcie opowiedzieć się za ewentualnym przekształceniem Związku Sowieckiego w wielkorosyjskie imperium w konfederację lub dobrowolną wspólnotę.

Wizja przyszłych rozwiązań politycznych jest niezbędna, chociaż może się wydawać odległa od obecnych realiów. Jest niezbędna dla kierowania procesem szybko następujących przemian, które mogą przerodzić się w chaos. Próba opracowania

zasad przyszłego ustroju byłego Związku Sowieckiego nie jest mrzonką tym bardziej, że sowieccy politycy zachwycają się wszystkim, co amerykańskie: w takim razie najzupełniej wypada, by Amerykanie zaproponowali Sowietom konkretne sugestie rozwiązania konfliktów narodowościowych w ZSSR w drodze dobrowolnych układów konfederacyjnych.

Związek Sowiecki powinien przestudiować rozwiązania przyjęte w tej dziedzinie na Zachodzie. Bardzo ciekawy jest pod tym względem model kanadyjski. Na przykład status Quebecu może być wzorem dla tych narodów, które nie zechcą występować z ZSSR. Związki ekonomiczne pomiędzy Kanadą i Stanami Zjednoczonymi mogą służyć za przykład dla tych narodów, które postanowią opuścić Związek Sowiecki. Więzy oraz instytucje Wspólnoty Zachodnioeuropejskiej również mogą służyć za wzór ścisłej współpracy przy jednoczesnym poszanowaniu odrębności i suwerenności narodowych. W żadnym z tych układów nie ma miejsca dla monopolu jednej partii politycznej, w której główne stanowiska zajmują przedstawiciele jednej narodowości. W związku z tym pojawia się problem rozwiązania Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego.

Prawdziwa federacja lub wspólnota byłaby niewątpliwie najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich: dla Rosjan, nie-Rosjan i całego świata. Jest to jedyna realna możliwość utrzymania pewnej całości politycznej w połączeniu z demokracją. Perspektywy demokracji i gospodarczej pomyślności otworzyłyby się też przed Rosjanami, którzy nie musieliby już ponosić kosztów ujarzmienia innych narodów. Innym narodom z kolei takie rozwiązanie zapewniłoby pełnię władzy politycznej i gospodarczej we własnych krajach. Taka nowa Wspólnota Euro-Azjatycka, rzeczywiście pluralistyczna zamiast zdominowanego przez Rosjan Związku Sowieckiego, byłaby organizmem znacznie mniej scentralizowanym, mniej militarystycznym i wobec tego — mniej ekspansywnym.

Powstanie prawdziwej federacji wpłynęłoby ponadto na osłabienie i odmitologizowanie wielkorosyjskiego nacjonalizmu, ponieważ Rosjanie z władców zamieniliby się w partnerów. Podział funkcji między Moskwę i Piotrogród, z których jedno byłoby stolicą federacji, a drugie republiki rosyjskiej, miałby charakter symboliczny i skupiał ambicje Rosjan na własnym organizmie państwowym.

Przemiana centralistycznego Związku Sowieckiego w federację wiązałaby się z koniecznością zmian strukturalnych rządzącej KPZS. Centralizm demokratyczny i leninowska dyscyplina partyjna są sprzeczne z funkcjonowaniem zdecentralizowanej federacji. W poszczególnych republikach należałoby oficjalnie uznać co najmniej osobne partie komunistyczne oraz organizacje niekomunistyczne. Na Litwie proces ten już się rozpoczął.

Federacja lub wspólnota z prawdziwego zdarzenia dopuszczalaby współistnienie wielu systemów społeczno-gospodarczych. Niektóre republiki nie-rosyjskie z pewnością odrzuciłyby szybko wszelkie pozostałości gospodarki centralnie planowanej i wprowadziły jakieś formy pluralizmu politycznego. Inne, szczególnie zaś Rosja, zachowałyby z przyczyn historycznych i kulturowych jakieś formy „socjalizmu państwowego”. Wszystkie republiki zgodziłyby się prawdopodobnie na zachowanie w nazwie federacji lub wspólnoty przymiotnika „sowiecka”, ponieważ samo słowo „sowieci” nie zawiera żadnego ładunku ideologicznego, znacząc po prostu „rada”.

Czy takie rozwiązanie zaspokoiliby wszystkie aspiracje narodowościowe nie-Rosjan? Prawdopodobnie nie. Dla tych narodów, którym zagrażają sąsiedzi, federacja wydaje się lepszym rozwiązaniem niż wystąpienie ze Związku. Prawdziwie zdecentralizowana federacja lub wspólnota zapewniałyby wchodzącym w jej skład narodom nie tylko pełne urzeczywistnienie ich dążeń gospodarczych i politycznych oraz reprezentację we władzach federacyjnych, ale też pewne korzyści gospodarcze i większe bezpieczeństwo, niż w wypadku secesji. Takie rozwiązanie wydaje się atrakcyjne dla wielu narodów.

Mimo to niektóre narody mogą zechcieć opuścić Związek, zwłaszcza jeśli zachowa on swą obecną postać lub tylko z lekką ją zmodyfikuje. Gdyby obecnie ze Związku Sowieckiego wystąpiła choć jedna republika, przykład okazałby się z pewnością bardziej zaraźliwy niż w wypadku istnienia prawdziwej federacji euro-azjatyckiej, nie zdominowanej przez Rosjan.

Niemniej wydaje się prawie pewne, że niektóre narody nie-rosyjskie, szczególnie bałtyckie, będą dążyły do uzyskania pełnej niepodległości, którą cieszyły się przed podpisaniem tajnych układów sowiecko-niemieckich. Te dążenia są całkowicie uzasadnione i zasługują na poparcie Zachodu. Zachodnia opinia publiczna sprzeciwiłaby się swoim zasadom poszanowania praw do samostanowienia narodów i praw człowieka, gdyby nie wspierała lub choćby zachowała obojętność wobec dążeń narodów bałtyckich i innych. Nie można tych praw odmawiać narodom o dawnej tradycji państwowej, własnej historii, języku i osobnej narodowej tożsamości.

Moskwa powinna przeprowadzić oficjalny plebiscyt, w którym poszczególne narody wypowiedziałyby się, czy chcą opuścić Związek Sowiecki, czy też nie, tym bardziej, że obecna konstytucja ZSSR dopuszcza jak wiadomo taką możliwość. Jednakże nawet oficjalne wystąpienie nie musiałoby oznaczać zerwania stosunków. Federacja sowiecka mogłaby określać na mocy specjalnych umów zasady współpracy gospodarczej, a nawet wojskowej z tymi republikami, które postanowiły oderwać się od ZSSR.

Reakcja Zachodu na próby oderwania się poszczególnych republik od Związku Sowieckiego powinna opierać się na uważnej i ostrożnej analizie problemów narodowościowych. Związek Sowiecki może, mimo wszystko, zahamować proces reform i starać się ponownie narzucić scentralizowaną władzę sowiecką, której komunistyczna frazeologia maskowałaby rosyjski szowinizm. Zachód nie będzie mógł milczeć, jeśli wojsko i policja zaczną aresztować działaczy niepodległościowych w krajach bałtyckich oraz innych lub brutalnie atakować manifestantów (jak np. w Gruzji), to znaczy usiłować zjednoczyć imperium siłą.

Jeśli taka tendencja wyraźnie weźmie górę (wydaje się, że doktryna Breżniewa obowiązuje nadal na terenie Związku Sowieckiego), to obowiązkiem Zachodu, w imię przestrzegania praw człowieka, stanie się poparcie dla narodów nie-rosyjskich. Nawet gdyby rządy zachowały wstrzemięźliwość, to opinia publiczna z pewnością dałaby wyraz swemu oburzeniu, a niezliczone prywatne organizacje udzieliłyby działaczom niepodległościowym odpowiedniego poparcia. Międzynarodowe konsekwencje takiej postawy byłyby dla Związku Sowieckiego z pewnością wielce negatywne.

Polityczna reakcja Zachodu na próby wystąpienia ze związku winna być natomiast bardziej wyważona, gdyby Związek Sowiecki wykazał szczerą chęć przekształcenia swej struktury organizacyjnej. Gdyby wprowadzono rzeczywiste reformy mające na celu reorganizację imperium, zezwolono na rzeczywistą samorządność poszczególnych republik, czyli przekształcono Związek Sowiecki w prawdziwą federację, to Zachód winien takiej inicjatywie nie tylko przyklasnąć, ale konkretnie i namacalnie pomóc.

Związek Sowiecki w obecnej postaci jest nie tylko rosyjskim państwem imperialnym, lecz przede wszystkim organizmem gospodarczo bardzo zacofanym. Ameryka, Europa i Japonia dysponują wystarczającymi środkami, by pomóc mieszkańcom Związku Sowieckiego. Do ruiny doprowadził Związek Sowiecki charakterystyczny dla rosyjskiego imperializmu i komunizmu centralizm. Zdecentralizowana federacja mogłaby znacznie łatwiej przeprowadzić rzeczywiste reformy społeczne i stanowić mniejsze zagrożenie dla innych. Wtedy świat zachodni, by poprzeć i umocnić prawdziwy pluralizm, pospieszyłby z kredytami, powstawałyby spółki mieszane i zwiększyła się wymiana handlowa. Utworzenie pluralistycznej federacji sowieckiej oznaczałoby koniec zimnej wojny, sowieckiej chęci podbojów i olbrzymich wydatków na zbrojenia. Byłoby to z pożytkiem dla wszystkich.

Trzeba przyznać, że powyższe rozważania mają charakter futurologiczny. Ale biorąc pod uwagę tempo historycznych przemian, Zachód musi uwzględnić również tę możliwość i

wypracować, choćby w skromnym zakresie, plan działania. Można by na przykład podwoić skromny budżet (w wys. 15 milionów dolarów) Fundacji na rzecz Demokracji (*National Endowment for Democracy*), by skuteczniej wspierać ruchy narodowościowe w Związku Sowieckim. Narody bałtyckie, Ukraińcy, Gruzini, Tadzycy, Rosjanie oraz inni, którzy walczą o przekształcenie stosunków politycznych i oparcie ich na zasadach partnerstwa, równości i wzajemnego poszanowania różnych narodów, zasługują na pomoc. Warto również ożywić wymianę handlową, naukową i kontakty dyplomatyczne z tymi republikami nie-rosyjskimi, które z taką determinacją usiłują zrzuć przestarzały gorset imperialny.

VI

Dążenia narodowościowe w Związku Sowieckim i w Europie Wschodniej prześladują jak widmo Rosjan na Kremlu. Jedynym konstruktywnym wyjściem z sytuacji wydaje się porzucenie rosyjskich ambicji mesjanistycznych (wizji „Trzeciego Rzymu” lub leninowskiego „internacjonalizmu”) i pogodzenie się z myślą o pokojowej koegzystencji z innymi narodami. Po 300 latach prawie nieustannej ekspansji imperium wydaje się zmęczone i Rosjanie odnieśliby największą korzyść ze zmiany optyki. Zachód może im w tej przełomowej sytuacji historycznej pomóc, nie tylko proponując skonfederowane, ale nikomu nie zagrażające Niemcy, szerszą współpracę regionalną Wschodniej Europy włączonej w instytucje paneuropejskie oraz post-imperialną Rosję w ramach Konfederacji Sowieckiej, ale też zgłaszając gotowość do wcielania owych projektów w życie. Na Zachodzie wiadomo od dawna, że pluralizm, demokracja i gospodarka rynkowa są podstawą normalnego życia społecznego. Propagandyści sowieccy jeszcze do niedawna owe zasady wyśmiewali. Obecnie skłonni są uznać ich wartość. Niech i tym razem Zachód jako pierwszy głośno oznajmi, że jedynym rozwiązaniem potencjalnych napięć i konfliktów narodowościowych powstających w okresie rozpadu systemu komunistycznego jest dobrowolna federacja.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

Z angielskiego tłumaczyła Krystyna Ledóchowska

NARODY ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

Grupy liczące 12.000 osób lub więcej na podstawie danych z 1979 roku

Ludy Kaukazu

Gruzini, Dagestańczycy (Awarowie, Lezginie, Dargijczycy, Lakowie, Tabasarani, Rutulcy, Cachurzy, Agulowie), Czeczeni, Kabardyjczycy, Ingusze, Adygowie, Abchazi, Czerkiesi, Abazini.

Ludy indoeuropejskie

Słowianie: Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy, Bułgarzy, Czesi.

Inni: Ormianie, Mołdawianie, Tadzycy, Litwini, Niemcy, Żydzi, Łotysze, Osetyńcy, Grecy, Cyganie, Rumuni, Kurdowie, Persowie, Tatowie, Beludzystańczycy.

Ludy Uralu i Altaju

Ludy tureckie: Uzbeki, Kazachowie, Tatarzy, Kirgizi, Czuwasze, Baszkirzy, Karakalpacy, Azerbejdżanie, Turkmeni, Kumycy, Ujgurzy, Gagauzi, Tuwijczycy, Karaczajowie, Turki, Chakasi, Bałkarzy, Nogajowie, Altajowie, Szorowie.

Inni: Mordwini, Estończycy, Udmurcy, Maryjczycy, Buriaci, Jakuci, Komi, Węgrzy, Komi-Permiacy, Kałmucy, Karelowie, Finowie, Nieńcy, Ewenkowie, Chantowie, Eweni.

Dawne ludy syberyjskie

Czukczycy i inni.

Ludy semickie

Asyryjczycy.

Ludy chińsko-tybetańskie

Dungani.

Ludy koreańskie

Koreańczycy.

Otwarcie na Japonię

Powodzenie eksperymentu wolnorynkowego w Polsce jest w dużym stopniu zależne od udziału kapitału zagranicznego w rozwijaniu nowego typu przedsiębiorstw, lecz dotychczasowe zabiegi polskie w tym kierunku dają nikłe i wątpliwe rezultaty. Uderza tu, jak już o tym wspominałem (*Kultura* Nr 11/89), raczej słabe zainteresowanie Japonią, którą uważam za kraj wyjątkowo predysponowany dla długofalowych, dobrze przemyślanych inwestycji, jakie są Polsce potrzebne. Wyjaśnię pokrótce, dlaczego.

Zacznę od przykładu tzw. „spółek z mieszanym kapitałem” (*joint ventures*), będących dziś najbardziej rozpowszechnioną formą współudziału kapitału zagranicznego w Polsce. Ich liczba w tym roku doszła już do rekordowych rozmiarów, lecz bez zamierzonych rezultatów eksportowych, pomimo specjalnie w tym kierunku nastawionego systemu opodatkowania. Żeby obniżyć stopę opodatkowania z obowiązujących 40% do 10%, spółki te muszą osiągnąć eksport w granicach 75% obrotów handlowych. Tymczasem okazuje się, iż absolutna ich większość woli, nawet za cenę większych podatków, zaopatrywać chłonny rynek polski towarami podrzędnej jakości, niż nastawić się na jakościową, lecz najwidoczniej mniej opłacalną, produkcję eksportową¹. Innymi słowy, działają tu motywy doraźnego zysku, nadal przeważające w kulturze korporacyjnej inwestorów zachodnich. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z korporacjami japońskimi, gdzie kwestie doraźnego zysku (choć też ważne), nadal zajmują drugorzędne miejsce w odniesieniu do długofalowych wyznaczników produkcji i obrotów rynkowych. Tendencja taka została ponownie potwierdzona w niedawnym wyniku badań pisma *Toyo Keizai*, dotyczących różnic między motywacjami zachodnich i japońskich korporacji odnośnie tzw. *acquisitions* (wykup całych przedsiębiorstw). Prawie diametralnie różna filozofia korporacyjna i inwestycyjna przedsiębiorstw japońskich ma niewątpliwą wymowę dla renesansu przedsiębiorczości produkcyjno-rynkowej w Polsce.

Innym, ważnym czynnikiem przemawiającym za „kartą japońską”, jest wyjątkowa sieć rynków eksportowych, jakimi dysponują wielkie przedsiębiorstwa handlowe Japonii, tzw. *sogo shosha* (największe, wszystkie z biurami w Warszawie). Dysponują nie tylko znacznymi możliwościami ściągnięcia kapitału japońskiego, lecz również doskonałym systemem marketingu na rynkach Europy i świata, we wszystkich gałęziach przemysłu i technologii. Wykazują

1. W sytuacji obecnej pustki rynkowej w Polsce tendencja taka może być chwilowo pożądana, lecz wg ocen ekspertów zębna dla uzdrowienia produkcji eksportowej, niezbędnej dla wyjścia z obecnego kryzysu gospodarczego.

obecnie duże zainteresowanie możliwościami inwestycyjnymi w Polsce, np. w takich branżach jak przemysł spożywczo-przetwórczy, przemysł tekstylny, „ekologiczna” przebudowa przemysłu samochodowego. Dyskutowane są również możliwości w gałęziach transportu i komunikacji.

Ostatnim, wprawdzie poniekąd pośrednim, lecz niezmiernie ważnym czynnikiem jest sprawa obecnego ukierunkowania japońskich planów inwestycyjnych w Europie, w związku z przewidzianą integracją wspólnego rynku europejskiego po r. 1992. O ile jeszcze kilka lat temu główny nacisk japońskiej polityki inwestycyjnej był na rynki finansowe, to obecnie skupia się znów na rozwijaniu baz produkcyjno-przemysłowych. Stwarza to, w związku z zarysowującymi się problemami inwestycyjnymi Japonii w Europie Zachodniej, wyjątkowe szanse dla lokalizacji pewnych gałęzi produkcyjnych, jak np. właśnie w przemyśle spożywczo-przetwórczym, w takich krajach jak Polska.

Nie miejsce tu na szczegółową analizę tych zagadnień. Pragnę tylko zwrócić uwagę na główne czynniki predysponujące, moim zdaniem, w sposób szczególny japońskie możliwości inwestycyjne w Polsce. Co należy robić? Przede wszystkim wszczać na nowo rozmowy z przedstawicielami potężnego *keidanren* (Organizacja Federacji Gospodarczych Japonii) w Tokio, mogącego w sposób zasadniczy wpłynąć na nową, jak najbardziej przychylną politykę kredytową wobec Polski. Np. już od r. 1987 *keidanren* zerka w kierunku możliwości inwestycyjnych w sektorze ochrony środowiska w Polsce, a więc należy na nowo zbadać aktualne możliwości, podsunąć konkretne, dobrze zaplanowane propozycje.

Zauważyłem w Japonii pewne wahania i wątpliwości odnośnie szans efektywnej prywatyzacji przemysłu w Polsce, bez przynajmniej początkowej pomocy (nie kontroli) ze strony państwa, tak jak to miało miejsce w Japonii, najpierw po reformie Meiji (1868), a następnie po ostatniej wojnie światowej. Chodzi tu więc o dziedzinę w której należałoby zbadać możliwości pomocy gospodarczej na płaszczyźnie międzyrządowej, w formie specjalnych pożyczek bilateralnych, czy też (idealnie) tzw. *grant aid*, w ramach japońskiej Oficjalnej Pomocy Rozwojowej².

Wszystko to oczywiście wymaga, by ze strony polskiej do rozmów z partnerami japońskimi — zarówno na szczeblu rządowym jak i prywatnym — przystępowali ludzie nie tylko z dobrą znajomością potrzeb gospodarki polskiej, lecz również fachowcy z głęboką znajomością struktury i mechanizmów przemysłowo-inwestycyjnych Japonii oraz problemów japońskich w kontekście zachodzących przemian na gospodarczo-przemysłowej mapie Europy.

Janusz MONDRY

2. Chodzi mi o zwrócenie uwagi na dużo większe zrozumienie ze strony Japonii dla tego rodzaju wykorzystania pomocy gospodarczej, gdyż sami borykali się z podobnymi problemami. Ich polityka czasowych subsydiów (w okresie ciężkiego kryzysu) okazała się wielkim sukcesem.

— Co tu się dzieje w tym kraju? — zapytałem udając głupiego. A jako że nie uzyskałem odpowiedzi, sam odpowiedziałem — rozpad.

— Całkowity — odezwał się niespodzianie kierownik gdzieś spod fartucha. I tak ku miłemu zaskoczeniu nawiązała się między nami widoczna gołym okiem nić porozumienia. Potwierdził fakt wydawania benzyny dopiero o północy, a pytany gdzie najbliżej jest paliwo, rzekł, że dobrze poinformowani mówią o Legnicy.

— Przy ponemieckiej autostradzie. Niech pan uważa, ta autostrada też się rozpada — rzekł na pożegnanie.

Ruszyłem do Legnicy świadom, że jeśli tam dojadę, to na ostatnich kroplach. Zajechałem do kilku gospodarstw wiejskich i zgięty w pokłonie zebrałem o benzynę. Nie zmiękczylem żadnego chłopskiego serca.

— Sami nie mamy nawet dla siebie, bo panie one chowają wszystko po magazynach.

Stacja pod Legnicą przylega niemal do słynnego pola, gdzie przed wiekami rozgromili nas Tatarzy, a spowity w mgielny mrok barak wraz z kilkunastoma unieruchomionymi pojazdami zdawał się być częścią tego pobojo wiska.

Silnik zaczął się krztusić w centrum miasta, które wydawało się brudne jak lep na muchy, i zgasł ostatecznie na strzeżonym parkingu najlepszego legnickiego hotelu o wdzięcznej nazwie Cuprum. Wiejska baba strzegąca parkingu wypisała mi w pocie czoła pokwitowanie, mówiąc przy tym, ile ja mam szczęścia, że znalazłem wolne miejsce. Zapytałem drżącym szeptem — „czy nie da się, wie pani, jakoś załatwić benzynki, choćby drożej”. Dowiedziałem się, że od benzyny jest jej syn — „ale tera go nie ma, bo łapie właśnie złodziei”. Radziła, by wszystko zabrać z samochodu. Z duszą na ramieniu szedłem do hotelu, bo niby czemu ma być wolny pokój. Pobliski dworzec drażnił moją wyobraźnię wizją nocy w śmierdzącym holu. Przed wejściem do hotelu grupka umorusanych chłopców w wieku 9-10 lat okładała się pięściami po twarzy. Pojedynek szedł o to, którzy będą nosić bagaże cudzoziemcom, a ci, wysypiani właśnie z autobusu, stali obok błyszczącej i kolorowej karoserii zwiastującej przybyśców z wyższej cywilizacji. Mówili po niemiecku, pachnieli dezodorantem i patrzyli na ten pojedynek pękając ze śmiechu. Wtedy zwróciłem się do mojego syna, który o wiele dzielniej ode mnie znosił przeciwnostwa losu, jakie na nas spadły po przekroczeniu polskiej granicy, i wygłosiłem wyrwane z trzewi słowa:

— Ja już nie chcę, synku, abyś w tym kraju żył.

— Załatw pokój, benzynę, nie martw się jak zwykle głupstwami, a jak ze mną będzie, zobaczymy, mam czas — rzekł bardzo poważnie z wyżyn swoich 14 lat.

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Powroty do kraju z Zachodu są operacją z każdym rokiem boleśniejszą. Doprawdy nawet ja, mało pijący, zaczynam już myśleć o narkozie alkoholu, nie da się jednak tego zrobić prowadząc pojazd. Przejechałem więc zupełnie trzeźwy granicę i nawet poczułem, że po smętnej i obcej monotonii NRDowskich koszar wracam do domu. Pobliska stacja benzynowa zaniepokoiła mnie brakiem kolejki. Jakiś obywatel pochylał się nad bakiem swego samochodu z czułym dziobkiem kanistra, jakby reanimował umierającego. Obok stało kilka pojazdów, a siedzący w nich ludzie zdawali się być w nich zamknięci na zawsze, o czym mówił wypisany na obliczach brak nadziei. Pełen najgorszych przeczuc spojrziałem w głąb ciemnej plastikowej budy.

— Nie ma — warknął ktoś ze środka, a na pytanie, gdzie jest, usłyszałem takie samo — nie wiem.

W pobliskim Bolesławcu stacja miała swój ogon, co nastroiło mnie od razu optymistycznie, bo nie czeka się przecież po nic. Stanąłem na końcu kilometrowej kolejki i zmierzając piechotą w kierunku odległej stacji benzynowej, ustalałem coraz bardziej smętny stan rzeczy. Paliwo podobno jest, ale będzie wydawane o 12 w nocy. Udawałem człowieka, który dawno w kraju nie był, prawie zdemoralizowanego Zachodem i dzięki temu fortelowi uzyskiwałem od ludzi wyczerpujące informacje na temat stanu rzeczy. Zawierały one się w zwartych acz dobitnych słowach: „rozpad, gównno, wykończyli nas skurwysyny”. A spora grupka podobnie jak ja przybyłych z zagranicy miedliła skargę — „nie trzeba było wracać do tego syfu”. Dźwigając coraz cięższy worek skarg i obelg, dojechałem do stacji, gdzie okazały ciemnym kierownik siedział zanurzony w poplamionym niebieskim fartuchu.

I bardzo się zawstydzilem swych słów i że, chociaż szczerze, były na tyle fałszywe, że nie mogłem się z nimi pogodzić.

W hotelu znalazł się wolny pokój, co zdziwiło nawet miłą recepcjonistkę. Kosztował 10 tysięcy, co wydało mi się bajecznie tanio (coca cola z zachodniego automatu), bo jeszcze nie przestawiłem się na naszą walutę. Hotel, chociaż czterogwiazdkowy, przypominał skrzyżowanie taniego burdelu z tandetną dyskoteką. Zasypiając, otworzyłem radio i doprawdy nie wiem, sennym koszmarem czy radosnym mirażem były wiadomości, z których wynikało, że liczni moi koledzy i znajomi są ministrami, dyrektorami departamentu i Bóg wie czym jeszcze. Ton komunikatów żalobny, jakby każda informacja była nekrologiem PZPR. Raduj się, człowieku, doczekałeś się, że szlag ich trafia, powtarzałem sobie coraz bardziej senne słowa, a nad wszystkim unosił się zapach benzyny i twarze kolejkowych ludzi, jak czyścicowe dusze, co straciły wiarę w raj, chociaż wierzą jeszcze w benzynę.

Bardzo chciałem zasnąć, ale bałem się, kim będę i gdzie będę, kiedy się obudzę. Nazajutrz... dajmy temu spokój. W każdym razie dotarłem jakoś do Warszawy, chociaż z trudem.

Najmocniejszym wrażeniem z tego powrotu było nie uczucie brudu i braku, ale że mój własny kraj mnie nie chce. I to właśnie zdaje się istotą życia w naszych ruinach — wszędzie jest się odrzucanym.

„Zbiorowości nie kochane przez historię można porównać do dzieci pozbawionych miłości macierzyńskiej” — napisał Jean Delumeau.

Sądzi się, że u źródeł depresji psychicznej jest doznane w dzieciństwie poczucie odrzucenia przez rodziców. Wiadomo też, że ludzie dotknięci przez tę chorobę próbują często wyleźć z dziury morząc się alkoholem.

Temat polskiej depresji i polskiego alkoholizmu czeka na rozwinięcie.

Nazajutrz po powrocie znowu odrzucenie. Rozbolił mnie ząb, tak dzielnie leczony przez dentystę w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego. Mój warszawski dentysta nie przybył na umówioną godzinę, a tu ból coraz mocniej przyciska do swej kostropatej piersi. Jak oszalały szukam w centrum miasta choćby kowala.

Spółdzielnie zamknięte lub zatłoczone. Nikt mnie nie chce. W końcu zwalniam z uwięzi mój męski wdzięk i w spółdzielni na Starym Mieście uwodzę recepcjonistkę. Ta załatwia mi wizytę. W zatłoczonej poczekalni otwarty telewizor. Zębowy tłumek ogląda w wielkim skupieniu sowiecką bajkę dla dzieci. Gdy zaczyna się Teleexpress, a w nim polityka i nasz premier

Mazowiecki, wszyscy zdają się ponownie zamykać w swoich zębach. Premier przemawia, nagle coś niewyraźniej, mamrocze do siebie, że się źle czuje. *Exposé* jest przerwane. Zębowy tłumek znowu patrzy w wielkim skupieniu. Premier wraca i jakże wdzięcznie porównuje swój stan do stanu gospodarki narodowej. Zębowy tłumek śmieje się przez łzy, najbardziej wzruszone kobiety. I tak chwila słabości premiera dzięki jego zręczności staje się wspaniałym chwytym reklamowym. Tymczasem jestem wezwany do gabinetu. Gruba niewiasta w okularach chwyta szczypcę i rzuca się do rwania. Pokazuję zdjęcie mego zęba, jedyne zdjęcie jakie przywiozłem z Paryża. To tylko pogorszyło sytuację i miałem szczęście, że nie straciłem całej szczęki. Kobieta zionęła nienawiścią do zachodnich dentystów i tamtejszych luksusów stomatologicznych, które uważała za pozorne. I pomyśleć, tak mało u nas patriotów, a jak się jakiś zdarzy, to idiota. W ten oto sposób straciłem ząb, o który walczyła na próżno zachodnia medycyna.

A co może stracić Polska? Z pewnością nie zęby, bo ich już od dawna nie ma.

Jak zauważył mój przenikliwy szef, w oczach powiększa się u nas rozdziew pomiędzy pragmatyzmem a idealizmem. Muszę tu dodać, że również na naszych oczach pragmatycy stają się cynikami, a idealisci wpadają w szaleństwo. O jakże ja czuję ten rozdziew w sobie, jak mnie pragmatyzm ciągnie za włosy, jak idealizm szarpie nerwowe struny. Zawsze zdawało mi się, że jestem pragmatycznym idealistą. Czyżbym miał skończyć jako szalony cynik? Z tego na pewno nikt jeszcze nie wyszedł.

Ktoś mnie przekonywał, że w związku ze słynnym już poślizgiem, w jaki wpadł prymas, i późniejszą akcją ratunkową Papieża, nasz Kościół podzielił się na papistów i glempistów. Brzmi to efektownie, ale nie wydaje się trafne. Otóż zdaje się, że zainteresowani sprawą niezwykle lekko wzięli co bliskie ich sercu od Papieża, usuwając na bok to, co odległe, i nie inaczej postąpili z prymasem. Łatwość, z jaką ludzie godzą w siebie sprzeczności jest równie wielka, jak cena, którą potem za to płacą.

Proboszcz jednego z najbardziej znacznych kościołów warszawskich oświadczył: „Ci Żydzi specjalnie przeskoczyli przez płot, żeby Zachód nie dał nam pieniędzy”. Powiedzmy, że jest to skrót myślowy. Tylko gdzie dojdą tym skrótem owce idące za pasterzem?

Bardzo młodziutki i zdolny dziennikarz, który jako jeden z nielicznych przemierza kraj wzdłuż i wszerz, opowiada, jak to właśnie w ostatnim czasie nieustannie słyszy, że Mazowiecki i

Kuroń to Żydy, i ludzie się martwią, bo jak te pijawki są przy władzy, to wypiją krew do końca.

I pomyśleć, że do tej choroby dorzucił swoje Wałęsa w wywiadzie dla *Gazety Wyborczej*, mówiąc o grupie warszawskiej, że są „z tej samej gminy” (ten fragment sam wyrzucił przy autoryzacji, twierdząc, że to był żart). Nie było żartów na Prezydium KKW, gdzie doszło do awantury z powodu *Tygodnika Solidarność* i gdzie niechcianymi gośćmi było kilka osób z zespołu pisma. Z działaczy najostrzej stawiał się Frasyniuk, nieco słabiej Bujak. Ci, co nie bali się zastępów służb śledczych, muszą mobilizować całą swoją odwagę, by przeciwstawić się przewodniczącemu. Doszło w każdym razie do sytuacji, gdy Wałęsa wrzasnął na Frasyniuka: „Kto cię nakręcił, znowu to żydostwo!”. Antysemityzm Lecha wydaje się ludowy, wiejski, a więc nie krwiożerczy, czasami nawet przyjacielski. Może jednak stać się pożywką dla resentymentów drapieżnych.

Rzecz w tym, że w Polsce Żydów jak wiadomo nie ma, po prostu nie ma, stoi więc przed nami już nie problem antysemityzmu, a problem psychiatryczny.

Pieniądze nie mieszczą mi się już w portfelu, a ciągle ich brakuje. W sklepach po narzekaniach nastąpiła cisza, ludzie przechadzają się dostojnie jak po cmentarzu. Z rzadka tylko słychać westchnienie: „Żeby przynajmniej umrzeć tu było łatwo. Oni nas wykończą”. Kim są „Oni” roku 89? Wydaje się, że jest to siła jeszcze bardziej niż kiedyś magiczna i nie do ogarnięcia.

Jeden z opozycjonistów, dzisiaj minister, mówi, że tylko w 10% procentach zdawał sobie sprawę, w jak tragicznej sytuacji jest gospodarka kraju, a zawsze widział ciemno. Nie inaczej mówią inni, którym wysoki obcas władzy umożliwił wejrzenie za parawan. My dotychczas widzieliśmy tylko wystające spod niego boscie nogi zmasakrowanego kraju. Jak tu się dziwić, że PZPR wypuszcza władzę z rąk, przecież to był rozpalony metalowy pręt, który tak wdzięcznie chwyciliśmy w dłonie.

Cóż za ruch w sojuszniczych partiach. SD i ZSL w szalenczym tańcu walczą o życie. Wpadają do toalety i wybiegają już w nowych portkach, jakże często jednak bez butów, koszuli i głowy. Dramatyczne szarpanie zwłok PSLu, spory kto ma prawo wleźć w starą nazwę. Żalony OPZZ ze swoim lichym populizmem, ale nasza sytuacja tak licha, że nawet oni są groźni. PZPR znajduje się w stanie rozpadu — „zamęt i rozchwianie nastrojów”, pisze *Trybuna*. W tym samym organie tow. Maćkowiak, członek KC i podsekretarz stanu, zwierza się: „Dlatego niech nikogo nie dziwi to, że równie daleki był mi marksizm i komunizm wtedy, kiedy wstępowałem do partii, jak również

dzisiaj”. Wirówka nonsensu co chwila wyrzuca na wierzch jakieś dramatyczne słowa, które zlewają się w jeden bełkot.

W pobliskiej szkole im. generała Słabczyka (gen. UB) pani powiedziała dzieciom na godzinie wychowawczej: „Bardzo proszę używać tylko numeru, który macie na tarczach, gdyż nasz patron okazał się niegodny naszej szkoły. A szczegółów dowiecie się na następnej godzinie wychowawczej”. Nic z tego, żaden nauczyciel nie potrafił uporać się z zadaniem, że oto patron z dnia na dzień stał się niegodny.

We wszystkich natomiast szkołach nauczyciele rosyjskiego przepraszają uczniów, że muszą uczyć się tego niepotrzebnego języka (niestety, lektorzy angielskiego unikają szkoły z powodów finansowych). Zaś na lekcjach wychowania obywatelskiego trwają bachanalia antykomunistyczne. Biedni belfrowie nareszcie mogą się wyżyć, szkoda, że na trupie. A młodzież... ma jeszcze poczucie humoru. W związku ze skasowaniem szkolnych obchodów rocznicy rewolucji październikowej w szkole mojego syna uczniowie 7 i 8 klas postanowili w tym dniu urządzić happening. W planach jest budowa na boisku Pałacu Zimowego, mianowano już Radę Komisarzy Ludowych, przewiduje się polowanie na burżujów, rozdawanie papieru toaletowego i chleba oraz organizowanie zbiorowej radości.

Dorośli bawią się u nas na ponuro. Jeżeli nie stoją w kolejkach, nie narzekają lub nie tworzą pokracznych partii politycznych, to zwykle z zaciśniętymi zębami walczą o przywrócenie starych nazw ulic lub usunięcie jakiegoś pomnika. W Lublinie przy ekstrakcji pomnika Bieruta urwano mu ramię. Czy nie powinno się chronić PRLowskich pomników, są przecież świadectwem czasu? Może by wygospodarować w mieście jakieś miejsce wśród drzew, złowrogi skansen, gdzie znowu konspirować będzie Dzierżyński z Iljiczem?

Głód stoi za progiem i już się wychyla, by zajrzeć w oczy małym i słabym. Dzieci mi żal. Patrzą na kolegów mojego syna, jak wielu z nich ma zadatki na świetnych ludzi, pięknych i mądrych. Jak straszne siły będą próbowały ich zniszczyć.

Gdy rozmawiam z tymi, co przekroczyli kiepsko strzeżoną granicę 20-tu lat, mam wrażenie, że spoglądam w otchłań. Dla nich nic nie ma sensu, chcą tylko stąd wyjechać, szybko... Gdy opowiadam o stanie wojennym, słuchają jak fascynującej baśni. Potem mówią, że zupełnie nie rozumieją opozycji — winni zrujnowania kraju, winni stanu wojennego muszą być skazani na śmierć.

Jak lekko wydają ten wyrok.

Ale znam też wyrafinowanych i delikatnych humanistów,

którzy mówią, że potrzebna jest tu krew... krew, która oczyszcza. A ja widzę tylko rozgniatanie pluskiew, które podczas egzekucji wykrzykują, że miłują demokrację. Nic tak nie brudzi jak krew. Oczyszcza poczucie wspólnoty, które było w powietrzu sierpnia 80, krzepło na mrozie pierwszych tygodni stanu wojennego i na chwilę puściło liście podczas ostatnich wyborów, ale zostało rozniesione na podszwach.

Za wcześniej na pochwały, ale Tadeusz Mazowiecki wydaje się twardszym i zręczniejszym premierem niż był doradcą związku i redaktorem naczelnym *Tygodnika*. Jest też oczywiste, że to nie wystarczy, że rząd gubi się w dżungli problemów, ale tu wycofuję się w ocenach, bo się na tym nie znam. Najwięcej teraz wiedzą ekonomiści, a ilu ich jest, tyle opinii i narzekania, czego nie zrobiono, a co niezbędne. Przypomina to konsylium wybitnych lekarzy pochylonych nad osobistością tak ważną, że nie wolno jej umrzeć, problem w tym, że ona już chora na wszystko.

Tadeusz Mazowiecki został wysunięty na premiera przez Wałęsę, bo chciał on w ten sposób osłabić grupę warszawską, której zaczął się obawiać. Ta grupa, bynajmniej nie spójna, nosi jednak w sobie liczne cechy wyniesione z podziemnego getta. I, co istotne, dysponując przewagą intelektualną nad konkurentami, wykorzystwała ją do końca. Teraz będziemy za to płacić wszyscy (a że nie bardzo było z kim się dzielić wpływami, to też prawda, wobec której jestem bezradny). Zbolali przeciwnicy nazywają ich jacejką komunistyczną, frakcją bolszewicką — a wyrafinowani w słowach — różowymi.

Wałęsa, będąc sam instytucją, a dysponując w Gdańsku słabym politycznym zapleczem, przestraszył się, że zdominuje go nowa instytucja. Ten problem w pełnym blasku jaśniał już w roku 80. Powtarzalność u nas historii dużej czy nawet małej, bardzo przynębia.

Nie na długo przed stanem wojennym ktoś postanowił ukazać wszystkie słabości Lecha, i to właśnie ja zostałem poproszony o przygotowanie materiału wybuchowego. Zabrałem się do roboty, szczerze mówiąc nie w pełni świadom konsekwencji własnej pracy. Stan wojenny przerwał tę moją dziecięcą zabawę z niewypałem. (Z Andrzejem Gwiazdą, wtedy rozsądniejszym niż dzisiaj, byłem umówiony na 17 grudnia — spotkałem go po roku w białoleckiej celi). Zbierałem relacje od ludzi, którzy byli blisko Wałęsy, od ludzi bardzo różnych, a mówiących jednak na ten temat jednym głosem. Robiłem to, mam nadzieję, rzetelnie i uczciwie, w czym pomagał mi zupełny brak emocji i uprzedzeń do przewodniczącego. Od razu wyjaśniam — nie ma tam

paskudztw, donosów, tajemnic, wylania się tylko obraz nieznośnego faceta, któremu zupełnie przewróciło się w głowie, a w tej głowie jest intuicja i spryt, ale zarażone manią wielkości.

Człowiek, który nakłonił mnie do tej pracy, zmienił wczoraj zdanie na temat Lecha, dzisiaj zdaje się zmieniać je ponownie na stare, ale dzisiaj jest bardziej politykiem niż był kiedyś, uznaje Wałęsę za konieczność, z którą należy prowadzić grę, bo czas moralistów minął. Porównałem kiedyś Wałęsę do Szwejka — a więc zarazem geniusz i bęcwał, zapomniałem tylko dodać, co teraz szczególnie razi, że nasz Szwejk zupełnie nie jest śmieszny. Póki co rośnie jednak nieustannie, tylko głowa taka sama. Jędre powiedzonka, które wędzną, gdy się je zapisze. Niektóre jednak żyją nawet po zapisaniu, oto np. słowa z jednej z krajówek — „owszem, popełniam czasami błędy, ale zawsze są to błędy konieczne”. Mit, którym karmi intelektualści i który intelektualistów karmi. Dziwna przygoda intelektualna Miłosza, tak chłonnego i przenikliwego, który postanowił zakochać się w robotniku. To zdumiewające, jak największe umysły podatne są na przejściowe zamroczenia. Miłosz, autor przenikliwej analizy zniewolonego umysłu i socrealistycznej literatury, sam jakże krytyczny wobec grzechów naszej poezji politycznej czasu stanu wojennego (zgadzam się tu z nim, chociaż z bólem), on sam oto napisał w marcu 82 roku wiersz, którego dwie pierwsze i ostatnią zwrotkę ośmielę się zacytować (w końcu Miłoszowi nie zaszkodzę, najwyżej sobie). Utwór nosi tytuł „Do Lecha Wałęsy”.

*Po dwustu latach, Lechu Wałęso,
Po dwustu latach odzyskiwanej i znów traconej nadziei
Zostałeś naczelnikiem polskiego ludu
I jak tamten masz przeciw sobie mocarstwa.*

*Gorzko jest wiedzieć co wiemy, Lechu Wałęso.
Ofiara wymagana w każdym pokoleniu,
Groby bohaterów bezimienne,
Triumf zdrajców i oprawców,
Których synom i córkom trzeba będzie przebaczyć.
(...)*

*Nie wiem czy mam prawo, Lechu Wałęso,
Zwracać się do ciebie, kto wybrał obczyznę
I odmawia myślenia co dzień o niewoli,
Choć rozumie, że myśleć powinien.*

Ja też byłem kiedyś zakochany, dziecięco-inteligencką miłością w robotniku, ale chociaż daleko mi do przenikliwości Miłosza,

trwało to krótko, pewnie dlatego, że jestem bliżej. Po tym poetyckim wyznaniu nie dziwi scena, którą niedawno pokazała telewizja. Było to spotkanie dwóch wielkich Polaków. Cóż za bania-luki opowiadał Wałęsa, pouczając poetę, jaka powinna być kultura, i z jakim skupieniem słuchał go Miłosz, uprzednio przyznawszy, że Wałęsa jest jego mistrzem! Doprawdy, bałem się, że nagle jakieś dziecko krzyknie — przecież oni są nadzy! Nie ma się czego obawiać, u nas nawet dzieci wiedzą, co to jest racja stanu.

Naprawdę, nie mam jakichś silnych niechęci do Wałęsy, mam niechęć do grozy, która bije chwilami z groteski, jaką ta sytuacja tworzy. Zarazem fascynuje mnie zjawisko pęcznienia mitu. Oto z kulki śniegowej zrobiła się lawina i potoczyła się, zagarniając ze sobą wszystko, a powiększały ją nawet śmieci. Pamiętam Wałęsę w sierpniu 80, należałem do tych, którzy pomagali lepić tę małą kulkę, która zmieniła się w lawinę i wraz z lawiną Sierpnia stworzyła „Solidarność” i Lecha. Teraz Wałęsa zachowuje się jak Piłsudski w okresie zgorzknienia, grozi, że wycofa się do Sulejówka, chlasta wady Polaków, używa pieprznego języka. Tylko klasa nie ta. Problem, że tak urósł, a wokół pusto i brudno. I po tym pustkowiu kroczy oto trzech największych krajowych Polaków: Lech Wałęsa, prymas Glemp, generał Jaruzelski... Należy się zastanowić, czy Bóg nas tak doświadcza, czy po prostu każda społeczność ma takich przywódców, na jakich zasługuje. Z tym ostatnim nie mogę się zgodzić, ale cóż znaczy moja niezgoda.

Pobyt Miłosza w Polsce nie ma już charakteru wędrówki świętego obrazu Matki Boskiej.

W przeddzień spotkania z poetą musiałem pojechać do miasteczka W., by załatwić sprawę ziemską u notariusza. Zastanawiam się, czy korytarz, jeden z tysięcy zatęchłych PRLowskich korytarzy. Czuję się tam zawsze jak w opowiadaniu Czechowa lub Gogola. Stali w tym korytarzu od 5-ej rano chłopci płci obojga, ubrani byle jak, dźwigając dłonie, które zawsze wydają się o tyle cięższe od miejskich. Przybył właśnie adwokat, a właściwie adwokat, ludzki pan w garniturze i grzecznie, nadspodziewanie grzecznie począł ludowi tłumaczyć, że urzędniczek są na zwolnieniu i tylko niewiele spraw będzie załatwionych. Wieś zareagowała milczeniem, a potem narzekaniem przeplatany gorzkim humorem. Miasto by płuło przekleństwami — chłopci traktują urząd jak grad i suszę. Gaworzyli więc, nie tracąc nadziei i oczywiście jak to u nas, wszystkie rozmowy, chociaż nie wiem jak będą kluczowe, dojdą do obecnej politycznej sytuacji. Da radę nowy rząd czy nie da? Uczciwy on czy nie? I jak to u nas, ludzie się podzielili na sceptycznych optymistów i katastrofistów.

— Zmienia się Polska — rzekł postawny chłop — chociaż trudny był czas. Bo jak powiadał ten poeta Miłosz... Wolno nam mówić, skrzekiem karłów i demonów, a czyste i szlachetne słowa są (tu się zawahał)... były zakazane’.

— Dobrze powiadał ten poeta Miłosz — zadumał się korytarz. Biorę człeka na bok i mówię, że mnie poruszył tym cytatem, szczególnie, że nie wiem czy mi uwierzy, ale nazajutrz widzieć się będę w Miłoszem. Nie uwierzył. Na wszelki jednak wypadek powiedział, że nazywa się Roman Dmowski, tak jak tamten, dodał, robi w gnoju, a wiersze Miłosza zna na pamięć. „— Jeżeli a nuż naprawdę będzie pan się z tym Miłoszem widział, to niech pan mu powie, że Roman Dmowski zna jego poezję”. Po czym nagle mówi... kościół... naród... Zagłuszam go słowami pożegnania. Niech to będzie Dmowski nie narodowy, wyjedzony od środka przez Miłosza.

Na spotkaniu w Miłoszem mowa była o upadku intelektualnym Zachodu i o szczególności Polski jako miejsca, gdzie ludzie interesują się dziedziną myśli i sztuki bardziej niż gdzie indziej. Wtedy spełniłem prośbę pana Romana Dmowskiego, potwierdzając prawdę o naszej szczególności tak dalece, że stała się ona podejrzanie słodka. Wszyscy w każdym razie śmiali się serdecznie, co dzisiaj w Polsce rzadkie, a dla poety taki mroczny korytarz z zakwitłym nagle wierszem ważniejszy niż nagroda Nobla.

Trudno zapomnieć daremne boje, jakie toczono w roku 80 o Radiokomitet. Bronili go jak ostatniej twierdzy. Teraz nie tylko sam wpadł nam w ręce, ale przez długi czas nie można było znaleźć nikogo z opozycji, kto by chciał tę instytucję objąć. (Cóż za dziwny czas, odbywają się polowania na ministrów wśród opozycji, a znaleźć odpowiedniego kandydata trudniej niż ustrzelić w podwarszawskim lesie niedźwiedzia). Andrzej Drawicz wydawał się tym niedźwiedziem. Niewątpliwie inteligentny, mądry, męski, a jego głowa odbija światło. Nie ma łatwej sytuacji. Nasze emocje żądają w telewizji rewolucji, a nie ewolucji, ale to pierwsze zawsze przynosi więcej zła niż dobra. Wie o tym Drawicz i dokonuje zmian krok po kroku. Rozumiem go, ale szlag mnie trafia, że Dziennik nie został jednak poddany rewolucji. Boję się, że w przypadku tego programu dawne kłamstwo zarazi nową prawdę. I przykro mi, że tak świetny człowiek zaczął swoje urzędowanie od błędu. Paradoksem jest, że największym zagrożeniem nie są gnidy telewizyjne (już pogodzone ze swym losem, myślą o butikach, kioskach warzywnych i czekają na cios), ale nasi szlachetni dziennikarze często fachowo żadni, za to dyszący żądzą zemsty. Jak szlachetni potrafią mendzić, pokazują od miesiący solidarnościowe programy.

Ilekróć występuje w TV Nowina Konopka, czyli rzecznik prasowy Wałęsy, ciarki mi wędrują po plecach. Pół biedy, że nie potrafi porządnie przeczytać tekstu, chociaż nie odrywa bazyliżkowego wzroku od kartki. Pogarda dla każdego, kto mógłby mieć inne niż on zdanie sący mu się z ust. Nic dziwnego, że skompromitowani lektorzy dziennika, którzy występują po nim, tchną matczynym ciepłem.

Półprawda całej naszej sytuacji jednak trudna do zniesienia. W końcu nasi ludzie idą pod ramię z tymi co zrujnowali ten kraj, idą tanecznym krokiem, w komitywie, która się zwiększa w miarę jak ruina osypuje się jednako na głowy.

Zepsuł mi się telewizor. Jednocześnie przestałem czytać gazety. I było mi z tym nadspodziewanie wygodnie, wcale nie uwierała mnie myśl, że przegapiam fascynujący czas. A przecież przegapiłem. Czemu więc nie uwierało mnie to? Ano właśnie, dlaczego?

Dzięki znajomościom udało mi się naprawić telewizor i od razu wieczorem obejrzałem wręczenie nominacji nowym generałom. Prezydent potrzasał dłońmi, a nowi generałowie brzęczeli wtedy orderami. Potem pokazano bajecznie kolorową widowiskówkę z poligonu, gdzie odbywały się wojskowe ćwiczenia. Był Jaruzelski, Kiszczak, i... cóż za niespodzianka, Mazowiecki. Na głowie czapeczka, która kojarzyła się z polowaniem. Premier był pod wrażeniem bojowej sprawności naszej armii, nie powiedział czy pod równie wielkim, jak w roku 81. Potem zwiedzano koszary, które przypominały hotel trzeciej kategorii. Były nawet książki nad przytulnym tapczanem szeregowca. Premier wyraźnie się ożywił, wyjął okulary i z widomym zadowoleniem, że znalazł tu miejsce dla siebie, począł studiować tytuły.

Panie Premierze, zbieram właśnie teraz materiał o naszej armii i pragnę Pana poinformować, że nadal jest to miejsce, gdzie trwa zabieg upokarzania i niszczenia naszej młodzieży, gdzie kwitnie, stworzona przez samych poborowych i kultywowana przez kadrę, okrutna obyczajowość, jakże podobna do tej w więzieniach. W czasie owej zabawy w wojsko Mazowieckiemu towarzyszył gen. Kiszczak. Ciekawe, czy szef MSW, dysponujący teczką napęczniałą od biografii premiera, gdzie tłoczy się tysiąc fotografii, gdzie są portrety foto i psycho kobiet, z którymi się spotykał (jeżeli się spotykał), zapisane precyzyjnie chwile słabości i upadku, bo któż ich nie ma, czy więc minister zagląda sobie do tej teczki przed tym razem koleżeńskim spotkaniem z obiektem wczorajszych badań? Może ma słabszą wolę od Kiszczaka, ale ja bym się nie potrafił powstrzymać, żeby nie zajrzeć.

Pamiętam, gdy na przesłuchaniu kapitan K. opowiadał, ileż to pięknych zdjęć zrobiono mi w stoczni gdańskiej w czasie

strajku sierpniowego. Nie interesuje mnie wnętrze funkcjonariuszy, ale wnętrze teczek o nas... o tu bym dał wiele, by obejrzeć swoje życie widziane przez szparę, zapisane na małżowinie aparatów podsłuchowych, nasączone śliną szpicli, wyplute przez pysk obiektów. Mój własny śmietnik zebrany przez pracowite owady.

Trzy wizyty.

Hindus z Kalkuty, dziennikarz, po raz pierwszy w Europie. Pod wrażeniem bogactwa Polski. „Miasta czyste, ulice szerokie, ludzie duzi, najedzeni, zdrowi, dobrze ubrani. Tylko dlaczego tak okropnie smutni. I prawie wszyscy pijani, dziwne. Tak dużo sklepów zamkniętych, a jak otwarte to nikomu się nie chce handlować, dziwne. I kolejki, też dziwne, ale nie tak bardzo, bo dużo czytałem, że tak samo jest w Rosji”.

Biznesmenka z Francji. Ma pomysł na szybkie przerobienie zaniedbanych kamienic w centrum na tanie hotele. Odbyła dziesiątki spotkań z odpowiednimi czynnikami.

„Poczucie, że ci ludzie nie znają się na tym, czym się zajmują. Stawiają warunki zdumiewające, nie do przyjęcia i jakby na coś czekali. Ktoś mi powiedział, że na łapówkę, czy to możliwe?”

Wyjechała przygnębiona, w tym kraju nie da się robić interesów.

W końcu przyjaciel z Moskwy, naukowiec. Pamiętam, gdy był w Polsce w roku 78, na każdym kroku tracił oddech z wrażenia. Fascynowały go polskie sklepy, wygląd ulicy, a przede wszystkim ludzie. Mówili, co myślą. Dotykał ze wzruszeniem książek drugiego obiegu. Wrócił do Moskwy zdruzgotany. Zaczął się uczyć polskiego, zaprenumerował polskie oficjalne pisma, dla nas jęczące pod łapą cenzury, dla niego pachnące Zachodem.

Nawiązał potem kontakt z moskiewską podziemną grupą, pożyczali sobie w głębokiej konspiracji przepisany na maszynie „Archipelag Gułag” Sołżenicyna. Najstraszniejsze wtedy przeżycie... oto szedł z punktu kontaktowego niosąc książkę ostrożnie, jakby to był niewypał. Po drodze, jakże nierozsądnie, kupił choinkę, bo święta były za pasem. Nagle zatrzymują go milicjanci. „Jest asygnata na choinkę?” Nie było. Otwierać torbę. Otworzył, a w oczach stanęło mu 7 lat więzienia. Nie zainteresowali się książką, szukali siekierki. (W instytucie, gdzie pracował, nie rozmawiał oczywiście z nikim o polityce, i gdy *pięciostrojka* otworzyła zamknięte drzwi, okazało się, że w sąsiednim pokoju pracują ludzie, którzy konspirowali pożyczając ten sam „Archipelag”).

Gdy wielka fala strajkowa zrodziła w roku 80 „Solidar-

ność", nie spał w nocy, zastanawiał się, jak dać znak braterstwa. Szedł na pocztę nie bez obaw.

1 września 80 spałem mocno, odspiając radosne zmęczenie Stocznii, gdzie świadkowałem przez dwa tygodnie, jak się historia zmarmurza. Obudził mnie dzwonek do drzwi. Bezpieka? Nie, to już niemożliwe. W drzwiach stał posłaniec. Telegram z Moskwy: „Gratulacje z powodu sukcesu w rodzinie”.

Wkrótce przestały przychodzić do niego zapnumerowane oficjalne pisma. Polskie ruchome święto miało być tylko dla Polaków. Stan wojenny spadł na jego głowę równie gwałtownie jak na nasze. I jak my był bezradny, może jeszcze bardziej. Słuchał polskojęzycznych zachodnich radiostacji w dzień i w nocy. Wiedział, że szuka mnie policja, znał treść tekstów, które wtedy pisałem.

Teraz jest znowu moim gościem. Przywiózł karton tubeł pasty do zębów, może podróż się zwróci. Chciałby kupić trochę prezerwatyw, można je dobrze sprzedać, bo w Rosji to rarytas. Mówi, że Warszawa upodobniła się do Moskwy, kolejki niewiele krótsze, tylko tu jakby ludzie mniej sobie skaczą do gardła. To można jeszcze bardziej, pomyślałem. Opowiada, gdzie dzisiaj w Moskwie nabywa się oficjalnie wydany „Archipelag” Solżenicyna. Tylko po co... to już go nie interesuje. Przestał kupować książki, słuchać zachodnich rozgłośni. Ma poczucie, że utracił coś niezwykle cennego.

Siedzimy teraz obaj naprzeciw siebie i obaj jesteśmy smutni. Wiemy już wszystko o systemie i że to jego koniec. Spełnienie tak wielkiego marzenia jest gorzkie. Gdzie upchnąć popiół straconych lat. Zrozumiałem, czemu rozpacz tak często dopada ludzi, gdy wydaje się, że osiągnęli cel. Pracując tak ciężko, by stworzyć warunki dla szczęścia, widzą nagle, że nie jest ono możliwe.

Od tych, którzy wspinają się czasami na górę władzy, by zejść potem na dół, dobiegają zatrważające wieści. W całości nasza Rada Ministrów ma robić przygnębiające wrażenie. Sejm i Senat nie inaczej, każdy mówi o czym innym, gubiąc cel ogólny. I ten ponury brak transmisji od rządu w dół, od parlamentariuszy do wyborców. Wyborcy zaś zdają się już nie mieć transmisji od głowy do członków. Wszystko więc nadal jak w bezcze smoły, głowa wystaje i gada, ale ruchy niepełne i w zwolnionym czynione tempie.

Dramatyczny spór, komu użyć nazwę „Solidarność”, w końcu tylko łaskawie chłopom ją wypożyczono. Magiczne słowo, które przyciąga coraz mniej ludzi, za to skłóca wielu.

Następuje proces nieustannego dzielenia się zamiast budowy. Dzielą się już istniejące organizacje, partie polityczne,

wynurzające się podziemne wydawnictwa. Najbliższy mi człowiek z podziemia, szef dużego wydawnictwa, rozstał się ze swoim współnikiem i pokłócili się o pieniądze. Kiedy wydawało mi się, że właśnie znalazłem miejsce nierozsypane, rozsypany się miesięcznik *Przegląd Katolicki*.

Sprawa Tygodnika *Solidarność* ma wszelkie cechy burzy w szklance wody, która może zapaskudzić cały nasz dom.

Wałęsa zaniepokojony tworzeniem się niezależnych od niego ośrodków, słusznie uważając, że tygodnik powinien być pismem związkowym, a nie rządowym, postanowił zmienić redakcji garnitur. Sposób, w jaki się do tego zabrał, nie sam zamiar, jest skandalem. Jego człowiek, senator J. Kaczyński, bynajmniej nie dziennikarz, znany z brata bliźniaka, też działacza, z którym jako dzieci grali w filmie „O dwóch takich co ukradli księżyc” (kiedy byłem na tym filmie z klasą, nie mogłem wiedzieć, że drabina, którą przystawili chłopcy, by ukraść księżyc, posłuży by kraść pismo), a ostatnio znany z tego, że władza przewróciła mu w głowie — począł kompletować zespół za plecami redakcji. Autorzy, do których dzwonił rankiem z tygodnika z prośbą o teksty, otrzymywali wieczorem powtórne telefony innym już mówiące głosem. Zdziwieni, czemu rano i wieczorem molestuje się ich w tej samej sprawie — dowiadawali się, że redaktor naczelny dzwoniący rano nie jest już naczelnym, tylko jeszcze o tym nie wie.

Zespół na znak protestu podał się niemal w całości do dymisji. Wydano pogrzebowy numer, w którym rozdarło szaty. Aktor Duriasz, który dla sprawy przestał być aktorem, napisał: „Można wiele razy zmieniać zajęcie, zawody, środowiska, przełożonych. Można zmieniać wszystko. Z wyjątkiem wszystkiego”. Kazimierz Dziewanowski zauważył, że „upiór nomenklatury nie chce odejść w zaświaty”. Inny redaktor rozmarzył się: „Może kiedyś, kiedyś w Polsce będzie demokracja”.

Już wiadomo, że pismo objęte zostanie bojkotem, przecież w tej dziedzinie jesteśmy światowym mocarstwem. Nawet nie słychać złośliwego rechotu wrogów „Solidarności”, biedacy nie mają już czym się śmiać.

Cała ta sprawa ma swój wymiar polityczno-ekonomiczny. Wałęsa mianował Mazowieckiego, by dać ojczyźnie dobrego premiera, ale również, by wymanewrować grupę warszawską, z którą doradca i redaktor nie był w najlepszych stosunkach; uważali go za mięczaka. Osłabił grupę, ale przy okazji wymanewrował siebie. Mazowiecki zgodnie z oczekiwaniami okazał się nie warszawski, ale i ku zaskoczeniu przewodniczącego nie wałęsowski. Zaczął się wzmacniać i uniezależniać od Lecha, co tego ostatniego doprowadziło do wielkiego gniewu, czemu daje wyraz nawet publicznie. Oto fragment wywiadu: „Jest pewna grupa,

która by chciała mieć wpływ, a ja na to nie mogę pozwolić. Premier Mazowiecki nie może sobie budować zaplecza, coś sobie zostawiać, kiedy to już nie jest jego”.

„Chcą zabić moje dziecko” — miał skarżyć się Mazowiecki. Na obradach Komitetu Obywatelskiego Wałęsa, indagowany w sprawie *Tygodnika* przez J.J. Szczepańskiego, zrobił małą awanturę — nie po raz pierwszy przypomniał wszystkim, kto jest właścicielem związku i dał do zrozumienia, że podjął decyzję demokratycznie, gdyż podjął ją osobiście.

I pomyśleć, że to dopiero sam początek naszej demokracji. I oto, gdy kraj w rozpadzie, my, od których coś zależy, uprawiamy boks na dywanie.

Ludzie niechętnie przyznają się, że czują się zagubieni, nawet jeśli się czują. Czynią to zwykle, gdy rzeczywiście jest już krucho. Pewnie dlatego nieustannie słyszę wokół — czuję się zagubiony we własnym kraju, niczego już nie rozumiem, nie wiem co o tym myśleć... Nawet Pan Zdzisio, co przedwojenną pracowitością ratuje przed zgonem pewien obiekt sportowy, człowiek, który nigdy nie miał wątpliwości i międlif bezzębną szczęką przekleństwa pod jednym tylko adresem, dzisiaj pytany przeze mnie, co myśli o sytuacji, aż zachwiał się całej swojej postaci wagą: „Nie wiem, panie, już nie wiem”. No, jeśli Pan Zdzisio się pogubił, myślę sobie, to i ty człowieku masz prawo się przyznać, żeś bezradny. Bezradny jestem. I najchętniej bym się wycofał tam, gdzie zbiera się kolorowe szkielka i kamyki, a polityką niech się zajmą politycy lub ci, co się za nich uważają. Gdzie mi jednak w tym wieku do dziecięcych zabaw? I z czego by przyszło żyć? Za chlebem więc pochylałam się w społeczną stronę, chociaż biorą mnie przy tym to boleści, to młodości.

Witold CHARŁAMP

Wyjście ze ślepego zaułka historii

Choć rok 1989 nie dobiegł jeszcze końca, jest już jasne, że zajmuje on poczesne miejsce w historii powszechnej. Zamyka on nie tylko epokę utopii socjalistycznych i opartych na nich reżimów totalitarnych, ale także epokę znacznie bardziej powszechnych fascynacji państwem i dążeń do zwiększania jego roli

w życiu gospodarczym i społecznym. Otwiera zarazem epokę nową: uznania, przez niemal wszystkich, walorów gospodarki rynkowej i związanych z nią instytucji demokratycznych. Idee egalitaryzmu pod nadzorem państwa i sprawiedliwego „dzielenia biedy” okazały się nie tylko niepraktyczne, nie mogąc zapewnić rozwoju gospodarczego ani dostatku, ale straciły także swą siłę atrakcyjną. Obserwuje się to przy tym nie tylko w krajach bogatych, ale nawet w najbiedniejszych, takich na przykład jak głodująca Etiopia. Wylansowane przez Brzezińskiego i Cartera „prawa człowieka”, jeszcze tak niedawno wydające się postulatem poniekąd utopijnym, dziś nie tylko zostały powszechnie uznane, ale społeczeństwa żądają dużo więcej: prawa do współdecydowania o swoim losie. Dziś nie wystarczy już, by jakiś rząd łaskawie nie mordował i nie torturował swych obywateli, by nie wsadzał ich do więzień za najróżniejsze formy protestu, ale żąda się odeń zasadniczego ograniczenia władzy politycznej, uznania podmiotowości społeczeństw, prawa do zmieniania nie tylko przywódców, ale i całych reżimów, do kultywowania i rozwijania osobowości indywidualnej i grupowej.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, albo igraszką losu, przełomowy moment tej ewolucji przypadł w dwustulecie Rewolucji Francuskiej i czterdziestolecie ustanowienia stalinowskiego „socjalizmu realnego” jako systemu światowego. System gospodarczo-społeczny, który miał nieuchronnie zastąpić kapitalizm i zapoczątkować nową epokę w historii ludzkości na tysiąclecia, rozsypał się jak dziecięcy zamek z piasku. Polityczne „trzęsienie ziemi” objęło niemal całą Europę Środkową i imperium rosyjskie, zmieniając polityczną konfigurację naszego kontynentu, ale miało swoje reperkusje także w innych rejonach świata: wojska sowieckie opuściły Afganistan, wietnamskie wycofały się z Kambodży, w Nikaragui — mającej być przyczółkiem systemu sowieckiego w Ameryce Łacińskiej — zapowiedziano wolne wybory; od modelu inspirowanego przez marksizm odwracają się jeden po drugim kraje afrykańskie tak zwanej „orientacji socjalistycznej”. Ostatnia pokojowa rewolta mas w NRD wyraźnie wskazuje, że pojałtański ład w Europie załamał się definitywnie, i spowodowała konieczność szybkiej rewizji dotychczasowych koncepcji polityczno-strategicznych tak na Wschodzie jak i na Zachodzie.

To prawda, że w tym samym 1989 roku kurs reformatorski poniósł kilka porażek poza Europą. Doszło na przykład do krwawej rozprawy w Pekinie, ale zarazem i Chiny zmieniły oblicze; próba zahamowania przemian siłą uratowała istniejący system tylko chwilowo, nadając zarazem nową dynamikę ruchowi demokratycznemu. Na Kubie z kolei próba zorganizowania spisku antycastrowskiego i zainicjowania reform doprowadziła

tylko do fizycznego wyeliminowania przeciwników obecnego kursu w kierownictwie kraju i w siłach zbrojnych. W Wietnamie kierownictwo, przerażone wypadkami chińskimi i rozwojem sytuacji w Europie, wstrzymało tylko reformy, nie odrzucając ich jednak całkowicie. Trudności ekonomiczne i narastające niezadowolenie społeczne będą wszakże zmuszać i konserwatywne komunistyczne reżimy do odchodzenia od utopijnej ideologii i do zmian demokratycznych. Ich trwanie może tylko pogłębiać zacofanie i nie jest możliwe, by którykolwiek z nich odzyskał poprzednią dynamikę rozwoju. Stają się one nieodwołalnie relikwami minionej epoki utopijnych snów, „zniewolonych umysłów” i rządów opartych na przemocy.

Chociaż fundamentalne przemiany w europejskich krajach „realnego”, a raczej „mniemanego” socjalizmu są nieuchronne i będą się rozszerzać, ich postęp wcale nie musi odbywać się po linii prostej. Nie sposób na przykład nie dostrzec, że we wszystkich krajach, w których przemiany są zaawansowane, pogarsza się gwałtownie sytuacja gospodarcza, narastają napięcia społeczne i upowszechnia się poczucie, że kraje te zmierzają do katastrofy o trudnym do przewidzenia charakterze. Mówią o tym otwarcie przywódcy opozycji polskiej, węgierskiej i sowieckiej. Wskazują oni niejednokrotnie, że już niezadługo może dojść do zaburzeń społecznych na ogromną skalę; w Armenii i Azerbejdżanie sytuacja bliska jest wojny domowej, republiki bałtyckie zmierzają do otwartej secesji itd. Rysuje się wyraźne niebezpieczeństwo restauracji reżimów autorytarnych, być może w formie dyktatur wojskowych, choć ani chińskie doświadczenia marszałka Lin Piao, ani polskie generała Jaruzelskiego nie wróżą im sukcesu. Zmiana linii politycznej Gorbaczowa w sferze polityki wewnętrznej wydaje się wszakże nieunikniona.

Procesy dezintegracji, które objęły całe imperium sowieckie, nie muszą prowadzić do jego ostatecznego rozpadu. Wręcz przeciwnie, należy oczekiwać raczej prób jego umocnienia, chociaż w innej formie, i powstrzymania dezintegracji politycznej jego centrum. Z bastionu wojującego komunizmu opartego na ideologii państwa-partii i powszechnej szczęśliwości (maskującej realne interesy imperialne albo nawet tylko ich iluzje), przekształca się ono w imperium typu tradycyjnego, oparte na dominacji centrum nad obszarami peryferyjnymi, spójne głównie więzami politycznymi oraz militarnymi. Być może w dalszej przyszłości rozpadnie się ono, ale obecnie wciąż jeszcze trwa.

Procesy przemian są więc nader skomplikowane, w wielkim fermentie zderzają się ze sobą siły społeczne o sprzecznych interesach i emocje mas, a dezintegracja gospodarcza, społeczno-etniczna i kulturowa nie tylko sprzyja reformom, ale może się też obracać przeciw nim. Proces obumierania systemu ogarnia

wszystkie aspekty życia społecznego, a także mentalność, sferę wartości i wyobrażeń o tym, co jest słuszne i sprawiedliwe, zaś idee nowe mieszają się w tym procesie ze starymi. Odżywa fanatyzm religijny i nacjonalistyczny, ideały demokratyczne zderzają się z odwoływaniem do przemocy i realnym uciekaniem od niej, akceptacja rozwoju rynku z nienawiścią do prywatnych przedsiębiorstw, jego praktycznych promotorów, pod starym hasłem, że „wszyscy mamy takie same żołądki”, itp.

Aby właściwie ocenić przemiany dokonujące się w krajach „mniemanego socjalizmu”, trzeba trzeźwo ocenić ich naturę. W artykułach prasowych i dyskusjach politycznych najczęściej pojawiają się dwa ujęcia. Pierwsze lansują funkcjonariusze partyjni i państwowi w tych krajach. W skrócie można by je ująć następująco: akceptacja mechanizmów gospodarki rynkowej nie oznacza „wyrzeczenia się socjalizmu”, a ma tylko nadać mu nową dynamikę rozwoju, zaś odbudowa instytucji demokratycznych (tam gdzie została zaaprobowana) jest powrotem do jego autentycznych ideałów demokratycznych. Z drugiej strony starej politycznej barykady interpretuje się ostatnie wydarzenia jako powrót do kapitalizmu i do demokracji parlamentarnej jako jedynej słusznej drogi rozwoju. Zachodni liberałowie wskazują przy tym na organiczny związek rynku, który opiera się na wielości podmiotów gospodarczych, z demokracją. Obydwa te składniki nie mogą, ich zdaniem, w dłuższej perspektywie historycznej być rozdzielne: istnienie jednego warunkuje rozwój drugiego.

Kluczową sprawą w toczących się obecnie dyskusjach politycznych na Wschodzie i Zachodzie naszego kontynentu wydaje się być kwestia „alternatywy”. Partie i ugrupowania o charakterze pravicowym, centrowym i socjaldemokratycznym utrzymują, że nie ma alternatywy dla obecnego kapitalizmu. Może on być modyfikowany, ulepszony i ulegać naturalnej ewolucji, ale jest głównym modelem rozwoju. Z drugiej zaś strony przywódcy reformujących się partii rządzących w krajach „mniemanego socjalizmu” i znaczna część komunistów włoskich (poza tak zwanymi miglioriastami) i socjaldemokracja zachodnioniemiecka (nie mówiąc oczywiście o dogmatycznych paleokomunistach) twierdzą, że alternatywa taka istnieje, że kapitalizm może i powinien być przekształcony w nowy ustrój. W rezultacie przyjmują, że reformy dokonywane obecnie nad Wołgą, Wisłą, Dunajem czy nad Rzeką Żółtą mogą przyczynić się do wypracowania tak zwanej „trzeciej drogi”, różnej od obecnego kapitalizmu i od stalinowskiego modelu komunizmu.

Odrzucenie ideologii rządzącej biurokracji komunistycznej a zaakceptowanie w całości tez głoszonych przez zwolenników kapitalizmu może być jednak tylko rezultatem emocji, nie zaś trzeźwego rozsądku. Sprawy są po prostu o wiele bardziej

skomplikowane i żadna z powyższych teorii nie wydaje się słuszną, mimo że „zwolennicy kapitalizmu” są zapewne bliżsi prawdy. Główna trudność polega na nieostrości pojęć, którymi się operuje. Przez dziesięciolecia za kluczowy element alternatywnego ustroju przyszłości przyjmowano likwidację prywatnej własności środków produkcji i likwidację rynku. Bezpośrednią tego konsekwencją było zaakceptowanie monstrualnych systemów biurokratycznych, z jedną partią na czele, które miały zarządzać dobrem ogółu dla ogólnospołecznego pożytku. Teraz zarówno reformujące się partie na Wschodzie jak i ruchy brońiące dawnych utopii na Zachodzie uznały, że wyeliminowanie mechanizmów rynku było błędem, podobnie jak wyeliminowanie własności prywatnej (reformatorzy Gorbaczowa tego ostatniego elementu wciąż jeszcze nie uznali). Dopuszczają zatem autentyczną wielosektorowość gospodarki, przyjmując wszakże, iż wielki kapitał nie ma prawa bytu, a dominować ma „własność społeczna”, chociaż ta ostatnia powinna być zarządzana w „inny sposób”.

Proponuje się model samorządowy albo menadżerski z pełną autonomią przedsiębiorstw, wykup akcji przez pracowników itp. Warto jednak zwrócić uwagę, że żadne z tych rozwiązań nie zostało jeszcze sprawdzone w praktyce. Dotychczasowe częściowe próby ich realizacji, jak np. samorzady jugosłowiańskie czy menadżerskie przedsiębiorstwa państwowe w krajach zachodnich, a nawet zachodnie autentyczne przedsiębiorstwa spółdzielcze, pokazują, że wszystkie te formy są jednak mniej wydajne od przedsiębiorstw kapitalistycznych. Ponadto koncepcja „rynku ograniczonego” wydaje się wewnątrznie sprzeczna. Czy jego regulacyjne funkcje ekonomiczne uwidoczną się przy wyeliminowaniu rynku kapitałowego i rynku siły roboczej, przy nieuniknionych biurokratycznych ograniczeniach wzrostu przedsiębiorstw prywatnych itp.? Przypomina się tu stary dowcip o Bernardzie Shaw. Gdy piękna dziewczyna marzyła o ich wspólnym dziecku, które łączyłoby jej wdzięki z jego intelektem, jego odpowiedzią było, iż może się zdarzyć i kombinacja odwrotna. Na gruncie ekonomii oznaczałoby to, iż ten model „alternatywny” może prowadzić do „kundlizmu”, czyli połączenia negatywnych elementów wolnego rynku ze znaną biurokratyczną niską sprawnością.

Czy w istocie reformy obecnie przeprowadzane nie wskazują, że w takim właśnie kierunku zmierzamy? Tłumaczy się teraz narastające trudności przejściowym charakterem etapu; z teoretycznego punktu widzenia wcale tak jednak być nie musi, mogą być one po prostu właściwe modelowi, który usiłuje się tworzyć. Na tę pułapkę nowych złudzeń należy więc wyraźnie wskazać, co nie oznacza jednak, że „trzecią drogę” należy

całkowicie odrzucić. Bezpośrednie przejście od gospodarki typu komunistycznego do współczesnego kapitalizmu wydaje się po prostu niemożliwe. Brak nie tylko prywatnego kapitału dla rzeczywistej prywatyzacji sektora państwowego, ale także umiejętności menadżerskich i nawyków życia w gospodarce rynkowej. Im dłużej system komunistyczny trwał i im pełniej był stosowany, tym odbudowa rynku i normalnych mechanizmów produkcyjnych jest trudniejsza. Z konieczności stosowania rozwiązań połowicznych (siłą rzeczy nie nazbyt efektywnych), nie należy jednak robić cnoty i ogłaszać tworzenia alternatywnego modelu.

Zarazem nie może to być prosta „odbudowa kapitalizmu”, gdyż nie zamierza się nigdzie restaurować stosunków gospodarczo-społecznych, które istniały przed „budową socjalizmu”. Byłoby to po prostu niemożliwe i nie znalazłoby aprobaty społecznej. Fascynuje tylko przejście do współczesnych form kapitalizmu istniejących w najwyższej rozwiniętych krajach. Mieszają się więc w wyobraźni społecznej trzy zadania: odtworzenie gospodarki rynkowej, zbudowanie systemów demokratycznych typu zachodniego i dokonanie skoku do wysoko wydajnej, szybko rozwijającej się gospodarki. Doświadczenia historyczne pokazują, że te trzy elementy nie zawsze występują łącznie, ponadto zaś przeskok od gospodarki stagnacyjnej do dynamicznej jest zjawiskiem rzadkim. Na podstawie współczesnej wiedzy socjologicznej i ekonomicznej nie umiemy nawet wskazać kompleksu czynników, decydujących o takim przeskoku. Wiemy tylko, że jest to właśnie przeskoczenie, które dokonuje się w ciągu dekady i wiemy też, że dalszy rozwój gospodarczy i postęp technologiczny często tracą później dynamizm, a fazy zastoju mogą się przeplatać z okresem rozwoju. Doświadczenia Trzeciego Świata pokazują, że o takim przyspieszeniu rozwojowym nie decyduje ani transfer technologii, ani dopływ znacznych środków finansowych zza granicy; nawet obecność tych dwu elementów nie gwarantuje stworzenia nowoczesnej i wydajnej gospodarki: struktury społeczno-instytucjonalne mogą ją uniemożliwić. Formuła „odbudowy kapitalizmu” jest zatem myląca wielorako: odbudowujemy wprawdzie rynek i odchodzimy od modelu neostalinowskiego w strukturach politycznych, ale to wcale jeszcze nie oznacza, że w krótkim czasie zbudujemy wydajne nowoczesne gospodarki, takie jak na Zachodzie, które mają za sobą długi okres ewolucji politycznej, gospodarczej i technologicznej. Na razie zmierzamy raczej do „kundlizmu”, w wersji demokratycznej albo też autoritarnej, czy też po prostu do „trzecioświatowości”.

Należy także uświadomić sobie pozorną naturę sporu „kapitalizm czy socjalizm”. Wywodzi się on z dawnej socjalistycznej ideologii i stalinowskiej interpretacji „formacji ekonomiczno-

społecznych” jako systemów obejmujących cały świat i następujących po sobie. To, co wydarzyło się ostatnio, każe nie tylko odrzucić utopie nowego ustroju, „gospodarki planowej” o charakterze nierynkowym, ale także zakwestionować wizję historyczną, przy pomocy której uzasadniano przez dziesięciolecia nieuchronność „socjalistycznej ewolucji”. Jednym z paradoksów jest upowszechnienie tej wizji także na Zachodzie (w dwu wariantach: zastąpienia teraz „nieudanej socjalistycznej formacji przez zdrowy kapitalizm” albo też obecnego kapitalizmu przez jakiś bliżej nieokreślony socjalizm). Wiąże się to z nieścisłym albo nawet mylącym pojmowaniem terminu „kapitalizm”.

Trzeba stwierdzić przede wszystkim, że rynek towarzyszy ludzkiemu istnieniu niemal od jego zarania, na pewno od epoki neolitu. Zmieniał się tylko jego zasięg i rola. Elementy gospodarki rynkowej typu kapitalistycznego można znaleźć już w starożytności (na Wschodzie i Zachodzie) a początki kapitalizmu w Europie Zachodniej pojawiają się już w epoce Odrodzenia. Wiązanie więc gospodarki rynkowej wyłącznie z kapitalizmem jest po prostu nieuzasadnione, choć jej wielki rozwój nastąpił dopiero w krajach, które umownie nazywamy kapitalistycznymi i w epoce nowoczesnej. Zatem nazywanie gospodarki rynkowej w całości „kapitalizmem” nie znajduje podstaw. Niesłuszne jest także łączenie kapitalizmu z rozwojem gospodarczym i technologicznym. To prawda, że właśnie ustrój kapitalistyczny umożliwił ten niezwykły rozwój, ale bez trudu znajdziemy dziesiątki krajów, które zaakceptowały jego reguły gry, a pozostały nadal biedne i zacofane. Nie ma tu żadnego automatyzmu. Uznanie prawno-instytucjonalnych zasad gospodarki kapitalistycznej jest warunkiem koniecznym współczesnego postępu gospodarczego, ale nie jest warunkiem wystarczającym. Można też zapytać, czy współczesne kraje rozwinięte są jeszcze kapitalistyczne, różnią się one przecież zasadniczo od klasycznych form XIX w. czy też początków XX w. W moim przekonaniu najsłuszniejsze byłoby ograniczenie terminu „kapitalizm” do XIX i początków XX wieku i tylko do pewnej grupy krajów Europy Zachodniej oraz do USA, gdzie istniała dość szczególna struktura gospodarcza i społeczno-kulturalna. W wypadku innych krajów można by mówić tylko o układzie kapitalistycznym w ramach gospodarek i struktur społecznych o charakterze pre-kapitalistycznym. Inaczej traci on użyteczność, tak jak próby nazywania wszystkich ustrojów go poprzedzających „feudalnymi”, bez względu na to czy są to Chiny, Indie czy Europa Zachodnia.

Gdy analizuje się historię ludzkości, widzi się nie tylko pluralizm form gospodarczych i społeczno-kulturalnych istniejących obok siebie, ale także wielkie zróżnicowanie w ramach poszczególnych typów. Nie ma ścisłych reguł, które wiązałyby jakąś

epokę z jednym typem. Między różnymi ustrojami plemiennymi a epoką nowożytną znajdujemy wielorakość form feudalnych, parafeudalnych, niewolniczych, biurokratycznych imperiów i najróżniejszych wariantów lokalnych. Dlatego właśnie pojawiła się koncepcja, że wszystkie je najwygodniej byłoby określać jako „pre-kapitalistyczne”, rezerwując nazwę „feudalizm” tylko dla pewnych ich specyficznych form, w czym element ustroju i kultury „feudalnej” z normami i stosunkami wasalności odgrywają rolę naczelną.

Jest także złudzeniem, że świat krajów wysoko rozwiniętych reprezentuje ten sam model ustrojowy. Ich jednorodność była pozorna, pochodziła z rzeczywiście fundamentalnej odmienności od modelu komunistycznego. Jeśli jednak odrzucimy ten model, dostrzeżemy fundamentalne różnice nawet między krajami przodującymi, nie mówiąc już o średnio zaawansowanych czy zacofanych. Mamy więc całą gamę rozwiązań: model amerykański, japoński i zachodnioeuropejski (w wielu wariantach). Mają one pewne elementy i reguły wspólne, ale poza tym dzielą je poważne odmienności. Dlatego właśnie integracja w ramach Wspólnego Rynku jest procesem tak trudnym.

Zadaniem krajów wychodzących z systemu komunistycznego jest więc wypracowanie polskiego, węgierskiego, chińskiego czy rosyjskiego wariantu gospodarki rynkowej, opartego na zasadach powszechnie przyjętych w gospodarce światowej, ale nie tożsamego z żadnym z modeli istniejących dotychczas.

W tym więc sensie jesteśmy skazani na poszukiwanie odrębnych dróg, innych rozwiązań, odpowiadających naszym warunkom, mentalności i potrzebom nowego czasu. I mamy historyczną szansę wytworzenia ustrojów o walorach gdzie indziej nie osiągniętych, tak jak Stany Zjednoczone tworzące niegdyś swój model na dalekich peryferiach kapitalistycznego świata, czy Japonia. Jest to jednak tylko szansa; Brazylia na przykład czy Meksyk nie zdołały powtórzyć ich sukcesu, nie mówiąc oczywiście o Liberii czy Paragwaju.

Należy też dodać, że odrzucenie „gospodarki planowej” i uznanie rynku jako głównego regulatora życia gospodarczego jest w istocie odrzuceniem nie tylko marksizmu, jego koncepcji fundamentalnych, ale i najrozmaitszych koncepcji neomarksistowskich. Załamują się bowiem w takim wypadku i dziesiątki innych koncepcji związanych z „racjonalnym sterowaniem życiem społecznym”. Nie oznacza to jednak, że jedynym regulatorem życia gospodarczego w krajach gospodarki rynkowej jest rynek, jak naiwnie nieraz sądzą neofici reform u nas. Sprawa jest o wiele bardziej złożona. Państwo nowoczesne typu zachodniego w rozmaity sposób wpływa nań i steruje jego mechanizmami, ponadto istnieją rozmaite pozapaństwowe i pozaprawne jego

ograniczenia. Zarówno Japonia w Azji jak i Włochy w Europie, kraje legitymujące się jednym z najwyższych wskaźników rozwoju gospodarczego, mają bardzo rozbudowane ograniczenia wolnego rynku. Sfera zaś społeczna i życia kulturalnego podlegają jeszcze wyrazniej pozarynkowym oddziaływaniom, a państwo sprawuje rolę obrońcy grup najsłabszych, dbając o dobro całej wspólnoty narodowej.

Problem nie polega więc na całkowitym wyeliminowaniu mechanizmów sterowania i planowania, a na zastąpieniu mechanizmów złych, nieefektywnych i autorytarnych — efektywnymi i demokratycznymi. Jednakże w tej dziedzinie nie mamy teraz modelu wartego naśladowania. W Europie Zachodniej upowszechnia się obecnie koncepcja „państwa społecznego”, zasadniczo odmienna od modelu amerykańskiego czy japońskiego, wciąż jednak nie jest to koncepcja sprawdzona. Dawny model *welfare state* wykazał przecież rozliczne słabości, które teraz właśnie próbuje się eliminować w nowej formie „państwa społecznego”. Na razie możemy więc tylko korzystać z najróżniejszych pomysłów cząstkowych już sprawdzonych przez życie. Jest też jasne, że różnorodne zabezpieczenia społeczne muszą być u nas zachowane, choćby w nieco okrojonym wymiarze, gdyż najwyraźniej polskie czy węgierskie społeczeństwo nie byłoby w stanie zaakceptować realiów amerykańskich czy japońskich (nie mówiąc już o południowokoreańskich), mimo iż zapewniają one szybki rozwój gospodarczy. Natrafimy jednak nieuchronnie na barierę finansową, po prostu naszego państwa i naszej gospodarki przez długi czas nie będzie stać na tak rozbudowane świadczenia społeczne, jak w rozwiniętych krajach Europy Zachodniej.

Nie należy także żywić wielkich złudzeń, że gospodarkę rynkową można odbudować w ciągu niewielu lat; jest to zadanie na dziesięciolecie. Wyciąć las można w ciągu kilku tygodni, ale zadrzewić znowu pustynię jest niepomiaralnie trudniej. Plan Marshalla przyniósł Zachodniej Europie *prosperity* w ciągu dziesięciolecia, tam jednak były zniszczone tylko budynki, drogi, maszyny, istnieli natomiast ludzie umiejący funkcjonować w zdrowej gospodarce i organizować ją, istniało „środowisko ekonomiczne”, w którym każda firma mogła rozwijać się, wchodząc od razu w relacje z innymi elementami gospodarki rynkowej. Nawet gdyby Zachód zaakceptował nowy Plan Marshalla dla Europy Środkowej i Wschodniej i przeznaczył nań dziesiątki miliardów dolarów, co obecnie nie jest możliwe, wcale nie doprowadziłoby to do podobnych rezultatów. Po prostu nasza sytuacja jest nieporównanie bardziej skomplikowana i trudna. Brakuje nam nie tylko kapitałów i maszyn, ale i umiejętności gospodarowania, musimy też dopiero stworzyć „środowisko gospodarcze”, w którym poszczególne firmy mogłyby się rozwijać.

A przecież nie da się zmienić z dnia na dzień mentalności ani nabrać nieznanych umiejętności, a dotyczy to wszystkich, tysiacy urzędników państwowych, menadżerów, ministrów, pracowników.

Ktoś mógłby powiedzieć, że uwagi te odbierają nadzieję, warto jednak uświadomić sobie jasno nasze dylematy i nie żywić bezpodstawnych złudzeń. Budowa „społeczeństwa komunistycznego” była największym eksperymentem w historii, wyjście z tej utopii jest eksperymentem nie mniejszym, jednak o wiele trudniejszym, z konieczności wieloetapowym i bez jasno określonych wzorców, o których wiadomo byłoby, że są osiągalne.

Trzeba też powiedzieć sobie jasno, że rewolucja 1917 roku, niezależnie od przejęcia z przeszłości wielu szlachetnych ideałów społecznych, była w istocie „rewolucją regresywną”, która doprowadziła do stworzenia systemu neofeudalnego, z charakterystycznym dlań sztywnym podziałem na rządzącą elitę i lud, dominacją ortodoksji typu religijnego, szerokim stosowaniem przymusu fizycznego, brakiem rozwiniętego rynku itp. Lansowanie kolchozowych wspólnot wiejskich i scentralizowane biurokratyczne zarządzanie nadawały temu modelowi komunizmu charakter orientalnej despotii. Dlatego próba realizacji systemu opartego na tak archaicznym zasadach, wyrosła z wczesnokapitalistycznych resentmentów ludowych i mitów egalitarystycznych, musiała załamać się tragicznie w szybko rozwijającym się świecie.

Przy tworzeniu nowych rozwiązań instytucjonalnych w sferze społecznej trzeba więc oddzielić wyraźnie ogólnohumanistyczne ideały (upowszechnione przy znacznym udziale ruchów socjalistycznych) od fałszywych koncepcji i złudzeń „mniemanego socjalizmu”, które należą w dużej mierze do świata archaicznych pryncypiów i dziewiętnastowiecznych mitów ludowych, ukształtowanych w zderzeniu starej mentalności z rozwojem kapitalistycznego rynku.

Dla wypracowania nowego systemu wartości i określenia zadań państwa należałoby zatem odwołać się przede wszystkim do współczesnych doktryn zachodnich, socjalistycznych, neoliberalnych i społecznej nauki Kościoła, i z tej perspektywy dopiero przewartościować dziedzictwo „socjalizmu mniemanego”. Bezpośrednia kontynuacja dotychczasowego modelu i jego koncepcji społecznych — nawet przy znacznych modyfikacjach — może tylko umacniać ewolucję w kierunku „kundlizmu”. Istnieje także niebezpieczeństwo — dzisiaj już wyraźnie widoczne — odwoływania się w Polsce, ale nie tylko tam, do ideologii przebrzmiałych, sprzed II wojny światowej. To także opóźniałoby nieuchronnie nasz przeskok do nowoczesnego świata. To nasze środkowoeuropejskie zwrócenie w kierunku przeszłości, nie zaś ku przyszłości, nieustanne celebrowanie rocznic, rozpamiętywanie

dawnych krzywd itp. wydaje się być głęboką tendencją kulturową, być może związaną właśnie z zacofaniem naszego regionu. W tym kontekście dziedzictwo starych ideologii i oglądanie świata przez okulary naszych dziadków może być obciążeniem bardzo niebezpiecznym. Może to bowiem prowadzić nas na manowce i blokować przemiany.

Mimo tych wszystkich niebezpieczeństw i trudności, przed jakimi nie stało chyba żadne pokolenie polskie, należy uznać obecne przemiany za fakt niezmiernie pozytywny. Jak powiedział Jan Paweł II, mamy wreszcie nasze państwo, z którym możemy się identyfikować. Niewiele pokoleń mogło to sobie powiedzieć w ciągu ostatnich dwustu lat. I mamy naszą wielką historyczną szansę wyrwania się z zaklętego koła narodowych nieszczęść i zacofania, przy serdecznej pomocy i życzliwości całego niemal świata, co też nigdy jeszcze nie przydarzyło się naszym przodkom. Wypada więc tylko życzyć sukcesu rządowi Tadeusza Mazowieckiego. Oby podołał temu historycznemu zadaniu. Musimy też zdawać sobie sprawę, że bez aktywnego udziału społeczeństwa i pomocy Polaków rozsianych po świecie tego przeskoku do nowoczesnej formacji typu zachodniego nasz naród nie dokona.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Neapol, 1 listopada 1989 r.

Energia atomowa w Kraju

Szanowny Panie Redaktorze,

W audycji RWE (Fakty, wydarzenia, opinie) z dnia 8.08 br. w informacji dotyczącej wstrzymania budowy elektrowni w Żarnowcu powiedziano, że elektrownia ta ma być typu czarnobylskiej, czyli z moderatorem grafitowym, a więc obciążona najcięższą i najgroźniejszą awarią w ciągu 25-letniej historii energetyki atomowej na świecie.

To niecisłe oświadczenie opiera się na błędnym mniemaniu, dość powszechnym, że wszystkie elektrownie atomowe są tak samo niebezpieczne bez względu na rodzaj zastosowanego reaktora.

Elektrownia czarnobylska posiada reaktor typu RBMK (reaktor

bolszoy možnosti kanalnyj) a właściwie powinien być oznaczony RBMGK *G=grafitowyj*, co pominięto.

W zachodnich rejonach europejskiej części ZSSR pracuje zapewne ok. 15 bloków po 1.000 MW w elektrowniach leningradzkiej, kurskiej, czarnobylskiej, smoleńskiej, na Litwie w Igalinie uruchomiono pierwszy blok z reaktorem o mocy 1.500 MW, z czterech planowanych. Przy tej samej konstrukcji i rozmiarach, co poprzednie reaktory, powiększono moc o 50% ze względów ekonomicznych (co jest dosyć częste).

Z powodu produkcji plutonu dla celów militarnych i większej komplikacji układu reaktora elektrownie tego typu *nie są sprzedawane do KDL-ów*.

Natomiast eksportuje się do KDL-ów elektrownie z reaktorami typu PWR, które budowane są w 90% w Stanach Zjednoczonych, Europie i na świecie. Wśród KDL-ów pracuje i jest w budowie szereg takich elektrowni w NRD, Bułgarii, CSSR, na Węgrzech.

Tego typu miała być elektrownia w Żarnowcu, w Kłepczu i dalsze. Nagła decyzja zatrzymania budowy wynika z ignorancji, ogólnej sytuacji politycznej, ustąpienia uczuciom większości społeczeństwa, braku fachowców o odpowiedniej wiedzy w zakresie energetyki atomowej.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku

Doc. dr inż. Władysław NEY

Strona rządowa jest za wprowadzeniem energetyki atomowej, strona opozyjna i większość ludzi przeciwko.

Sprzeciw społeczny polega na tym, że wszystkie elektrownie traktuje się jako równie niebezpieczne.

Reaktory wodne typu PWR i BWR, w których zwykła woda jest moderatorem i jednocześnie czynnikiem odprowadzającym wytworzone w reaktorze ciepło do turbiny, są najniebezpieczniejsze. Zasadniczą cechą fizyczną tych typów reaktorów jest, że są *inherent safe*, czyli fizycznie bezpieczne i nie mogą wyjść spod kontroli. Wzrost mocy reaktora powoduje wzrost jego temperatury, a to z kolei powoduje zmniejszenie intensywności reakcji nuklearnych w reaktorze i obniżenie jego mocy. Reaktor ma własność *samoregulacji*. Dlatego też 90% budowanych na Zachodzie i w ZSSR reaktorów w elektrowniach jest tego typu.

We Francji wszystkie elektrownie nuklearne są reaktorami typu PWR. Wszystkie elektrownie z reaktorami tego typu budowane w Związku Sowieckim różnią się od podobnych reaktorów zachodnich gorszą dyspozycyjnością i większym zagrożeniem dla otoczenia w wyniku awarii. Według konstrukcji zachodniej blok reaktorowy z wymiennikami ciepła woda/woda zamknięty jest *szczelnym cylindrem*

z betonu sprężonego wytrzymującym ciśnienie 2-3 atm. Wytworzona w wymiennikach ciepła para wprowadzana jest do turbin w przyległej maszynowni już w zwykłym budynku. W elektrowniach nuklearnych z reaktorami typu *PWR konstrukcji sowieckiej* blok reaktora wraz z wymiennikami ciepła znajduje się w *normalnym budynku* o jedynie *zwiększonej szczelności*.

Najcięższa awaria w tego typu reaktorach może zająć przy zaniku chłodzenia wodnego rdzenia reaktora. Wtedy nieodprowadzone ciepło powoduje uszkodzenie (stopienie) części rdzenia reaktora, ale reaktor automatycznie przerywa działanie jako reaktor. Radioaktywne gazy i pary zatrzymane znajdują w szczelnym budynku. W wyniku ciężkiej awarii reaktor może być uszkodzony i unieruchomiony na wiele lat. Dotąd zarejestrowano jedną taką najcięższą katastrofę na około 400 bloków reaktorowych. Awaria spowodowana była błędami personelu, zaszła w marcu 1979 w elektrowni TMI (Tree Mile Island) w USA. Prace nad usunięciem skutków awarii kosztowały około 1 miliarda dol. i zakończony będą za rok. Reaktor został zniszczony. Zebrano ogromne doświadczenie celem uniknięcia awarii i usuwania skutków awarii. Radioaktywność została utrzymana w szczelnym budynku. Przebadano ok. 1.000 osób w prom. $R=8$ km., nie stwierdzono zagrożenia zdrowia. Zaszła pewna ilość poronień spowodowana paniką i psychicznymi stressami.

Gdy w roku 1962/63 byłem na półrocznej praktyce we Francji w EDF w biurze budowy elektrowni atomowych, były we Francji w ruchu 2 elektrownie EDF1 i EDF2 — 230 MW, trzecia w budowie EDF3, wszystkie angielskiego typu gazowo-grafitowego. Przez Francję przechodziła fala protestów społecznych, jak obecnie w Polsce. Dziś, w 1989 roku, Francja przoduje na świecie w rozwoju energetyki nuklearnej. W 1987 80% energii elektrycznej wytwarzano w reaktorach typu PWR. W EDF pracowały w 1987 r. 32 bloki 900 MW, 11 bloków 1.300 MW, oraz znajdowały się w budowie 2 bloki po 1.500 MW. Reaktory tego typu są najdogodniejsze pod względem minimalnego zagrożenia środowiska. W Anglii zastosowano również 3 reaktory typu PWR dla dalszego rozwoju energetyki atomowej. W Szwecji w referendum narodowym w 1978 wprowadzono energetykę atomową pod warunkiem utrzymania reaktorów w ruchu do 2010 r. Po tym terminie ma nastąpić stopniowy ich demontaż, ale dziś mówi się o przedłużeniu terminu pracy elektrowni nuklearnych. Pomimo bezawaryjnej pracy przyspieszono do r. 1995 demontaż elektrowni Barsebäck 1.600 MW ze względu na bliskość Kopenhagi, ok. 50 km.

W Polsce lokalizacja w Kłepczu następnej po Żarnowcu elektrowni nuklearnej wywołała falę protestów głównie mało kompetentnych rolników okolicznych. Spowodowane to zostało głównie awarią w Czarnobylu. Związek Sowiecki może ulepszyć swoje elektrownie nuklearne z reaktorami PWR.

W Finlandii istnieje pracująca bezawaryjnie od r. 1976 elektrownia atomowa Lovisa o mocy 2x440 MW z reaktorami dostawy

i konstrukcji sowieckiej, typu PWR. Jest ona analogiczna do tej, która ma być wybudowana w Żarnowcu. Finowie ulepszyli ją konstrukcyjnie, wyposażyli w szczelne ciśnieniowe budynki ochronne własnej konstrukcji, w/g zachodnich wzorów, dla każdego reaktora wraz z wymiennikami ciepła. Podniesie to bezpieczeństwo pracy. Elektrownia położona jest 100 km na północ od Helsinek. Zainteresowałem się jej szczegółami po otrzymaniu z RWE wiadomości o wstrzymaniu budowy elektrowni w Żarnowcu.

W Polsce powinna być przeprowadzona szeroka akcja propagandowo-informacyjna o bezpiecznych i niebezpiecznych reaktorach, powinna pouczać dostępnie o wadach i zaletach energii nuklearnej i jej gospodarczym znaczeniu. Akcja taka była przeprowadzona w Szwecji i przygotowała referendum w sprawie energii atomowej, w roku 1978.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Doc. Władysław NEY

Sztokholm, wrzesień 1989 r.

P.S. Według ostatnich informacji w Woroneżu, ZSSR, uruchomiono pierwszy reaktor typu PWR o mocy 1000 MW. Zastosowano już w nim szczelny, ciśnieniowy budynek bezpieczeństwa w/g wzorów zachodnich.

Obecnie w ZSSR i KDL-ach pracuje już, lub jest w budowie kilkanaście takich bloków.

Los emeryta w Polsce

Starość jako fakt „niewygodny” dla społeczeństwa.

Stosunek do starości i niesprawności fizycznej jest w Polsce totalnie zły, a większość ułatwień pozorna. Człowiek niesprawny pozbawiony jest możliwości w miarę samodzielnej egzystencji ze względu na brak powszechnych w cywilizowanym świecie urządzeń, jak poręcze, podjazdy, ruchome schody, wjazdy do wind, akustyczne sygnały na skrzyżowaniach ulic itp.

Prymitywne na ogół i zdeintegrowane społeczeństwo żywi powszechną niechęć do ludzi starych, czyli jak to się mówi, „nieprodukcyjnych”, zajmujących miejsce w zagęszczonych nad miarę

mieszkańcach, stojących w kolejkach po wszystko, czego nie ma pod dostatkiem, od żywności zaczynając a na pralkach, telewizorach czy oponach samochodowych kończąc. Nikt nie bierze pod uwagę oczywistego na pozór faktu, że taki „staruszek” (a staruszek to w Polsce człowiek w wieku ponad 60-65 lat) w kolejce załatwia zwykle sprawy pracującej rodziny albo znajomych.

Niechęć tę pogłębiała (mam nadzieję, że teraz będzie inaczej) przewrotna informacja radiowa i telewizyjna. Słyszało się ciągle: 1) Że ludzie pracujący muszą emerytom zabezpieczyć spokojną starość, bo kiedy sami będą starzy. 2) Jaką to masę pieniędzy trzeba przeznaczyć na podwyżki rent i emerytur. 3) Jak zastraszało społeczeństwo się starzeje i że coraz więcej ludzi korzysta z rent inwalidzkich.

Każde z tych zdań zawiera kłamstwo lub dezinformację.

1) Fundusz emerytalny tworzy się z zarobków ludzi pracujących, czyli każdy pracuje na swoją emeryturę, a że tworzy ją w ciągu całego życia zawodowego (35% uposażenia miesięcznego wpłacane jest przez zakład pracy do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych), to wieloletnie obracanie tym funduszem daje znaczne zyski. Pisano już o tym w *Kulturze* w artykule na temat rent rolniczych; z pracowniczymi jest analogicznie. Od czasu do czasu wybucha krótka wrzawa, bo ZUS informuje, jaki procent tych pieniędzy rzeczywiście idzie na emerytury i renty. Reszta zasila różne państwowe „dziury w kieszeni”, nie bardzo wiadomo jakie, więc wołę o tym nie pisać. Wiadomo natomiast, że wynosi to ponad 30% całej sumy. Wrzawa cichnie, pieniądze do kieszeni emerytów nie wracają.

2) Podwyżki rent i emerytur do tego stopnia nie nadążają za wzrostem (też zresztą pozornym) płac, że po pięciu latach od pójścia na emeryturę jej proporcja w stosunku do zarobku na danym stanowisku, w konkretnych wypadkach które analizowałam, zmniejsza się od 0,75 do 0,25, a jeszcze drastyczniej wygląda to w porównaniu do średniej płacy krajowej, szczególnie dla emerytów, którzy nieźle zarabiali, ale nie korzystają ze specjalnych dodatków, o których będzie mowa dalej.

3) Polska wciąż jest krajem młodym o bardzo wysokim procencie ludzi czynnych zawodowo. Należałoby się starać o lepsze wykorzystanie czasu pracy i ludzkich możliwości, nie wspominając o prawidłowej relacji zarobków i cen, ale w obecnych warunkach jest to prawie niemożliwe. Lepiej więc nie fałszować rzeczywistości, jeżeli jest taka, jaka jest.

4) Wzrost wypadków przy pracy i pogarszanie się stanu zdrowia ludności nie wynika ze złej woli obywateli, tylko z trudnych i coraz trudniejszych warunków życia i pracy. Trzeba leczyć przyczyny, nie skutki.

Co wpływa na wysokość emerytury?

Teoretycznie każdy, kto przepracował wymaganą przepisami ilość lat i osiągnął niezbędny ku temu wiek, otrzymuje emeryturę w

wysokości około 0,7-0,8 poprzednich zarobków. Dochodzą do tego różne dodatki, na przykład za pracę naukową, za większą od minimalnej ilość lat przepracowanych w PRL itp., o których nie będę tu pisała, bo dotyczą wszystkich ludzi spełniających wymagane warunki. To było o „równych”, teraz zaś będzie o „równiejszych”.

„Równiejsi” to są kombatanci, inwalidzi wojenni, kawalerowie wysokich orderów, zasłużeni w niektórych zawodach, byli promienci oraz pracownicy resortów specjalnych. Najbardziej uprzywilejowani są ci ostatni. Celowo nie chcę mówić o nadużyciach przy uzyskiwaniu karty kombatanckiej lub orzeczeniu inwalidztwa wojennego, chociaż sama znam „kombatantów”, którzy w momencie zakończenia wojny (1945 r.) mieli 12 lat oraz „inwalidów” wojennych z reumatyzmem, czy kamieniami nerkowymi. To jednak margines. Pracownicy różnych służb, jak milicja i jej podobne, mogą już w wieku 40-tu lat otrzymać emeryturę w pełnej wysokości dotychczasowych zarobków, a że zarobki te są także „równiejsze”, zdarza się, że czterdziestoletni osiłek pobiera emeryturę w wysokości dwukrotnie wyższej od emerytury sędziwego i zasłużonego profesora uniwersytetu.

Wszystkie takie mnożniki, ryczałty i dodatki stanowią zwykle kwotę większą od podstawowej emerytury i rosną również szybciej, niż jej indeksacja, stąd sytuacja emeryta „równego” coraz bardziej się pogarsza w stosunku do tych „równiejszych”, mimo że „równiejsi” również nie nadążają za podwyżkami płac. (Nie dotyczy to płac w tzw. „strefie budżetowej”, gdzie sytuacja jest katastrofalna).

Problemy życia codziennego

Tutaj wszystko zależy od stanu zdrowia. Emeryt względnie zdrowy (bo o dobrym zdrowiu w tym wieku i takich, jakie są warunkach, mówić trudno) chce za wszelką cenę zapobiec drastycznej obniżce dotychczasowej stopy życiowej. Jeżeli miał dotąd samodzielne mieszkanie — chciałby je zachować, jeżeli jeździł samochodem — wolałby, nawet bardzo oszczędnie, robić to nadal. Oczywiście emerytura, a nawet dwie, w wypadku, gdy żona też ją ma na to nie wystarcza. Trzeba jak najwięcej „dorobić”, tylko nie może to być tzw. pełne zatrudnienie, bo wówczas nie przysługuje emerytura.

Ludzie o wysokich kwalifikacjach technicznych przyjmują tzw. prace zlecane, lekarze leczą parę godzin dziennie w spółdzielniach, żeby mieć prawo do wystawiania bezpłatnych recept pozostającym prywatnie leczonym pacjentom, którym te recepty oczywiście przysługują, byli urzędnicy, wykorzystując byłe znajomości, „zaczeplają się” na półetatowych synekurach, na których nie robią nic, ale mogą się zgłaszać do kasy po wypłatę regularnie raz na miesiąc. Pracownicy fizyczni, gdy im jeszcze sił starcza, mają największe możliwości w postaci tzw. „fuch”.

Wyjaśnienie dla niewtajemniczonych: „fucha” jest to praca dorywcza, najczęściej u prywatnego przedsiębiorcy, majstra lub robnika, najczęściej bardzo dobrze, jak na polskie warunki, opłacana. Dziesięć dni „fuchy” to więcej niż miesięczne wynagrodzenie niezłego lekarza lub nauczyciela z 10-cioletnim stażem.

Emerytowi w podeszłym wieku, choremu lub inwalidzie, pozostaje utrzymywanie się wyłącznie z emerytury. Jest to, nie biorąc pod uwagę przypadków skrajnych, teoretycznie możliwe, tylko trzeba rezygnować po kolei ze wszystkiego, poza oczywiście niezbędnymi do utrzymania się przy życiu rzeczami. Przestaje się palić papierosy, o picie czegokolwiek poza herbatą czy mlekiem nie ma już mowy, nie kupuje się nowych ubrań, mebli ani książek, rzadko chodzi się do teatru lub kina mimo biletów zniżkowych, poszukuje się ciągle najtańszego jedzenia, o co niełatwo, bo żywności brak, a chętnych do kupienia czegoś taniego coraz więcej.

Tak też można żyć, szczególnie jeżeli ma się oparcie psychiczne i pewną pomoc w najbliższej rodzinie. W zupełnej samotności i przy bezradności fizycznej i mentalnej stan taki graniczy z katastrofą. Ustawodawstwo przewiduje wprawdzie funkcję tak zwanych opiekunów społecznych, ale jest to praca na wół honorowa, bardzo trudna, więc podejmują się jej tylko nieliczni, kierowani pobudkami humanitarnymi, albo jeszcze nieliczniejsi w nadziei na mizerny spadek czy uzyskanie mieszkania w zamian za tę opiekę.

Opiekun społeczny musi raz na miesiąc wydostać rentę z urzędu pocztowego, jeżeli listonosze, co się często zdarza, strajkują, zrobić raniutko podstawowe zakupy, bo potem chleba i mleka już nie ma, trochę sprzątnąć, ugotować itp. Ponieważ jedna osoba ma kilku podopiecznych, jakość usług musi być symboliczna.

Domy rencisty

Institucje te, pięknie nazwane domami złotej jesieni, znowu podzielone są na domy dla równych i równiejszych.

Tylko nieliczne z nich, prowadzone półprywatnie przez siostry zakonne dla ludzi z kręgów Kościoła (emerytowani księża) lub samotnych inteligentów-katolików, zasługują na miano domu i zapewniają oprócz opieki takt i serdeczność. Jest to kropla w morzu potrzeb. Są również domy dla kombatantów i „wysłużonych” pracowników różnych instytucji. Takie domy są z reguły położone w pięknych miejscowościach, a warunki pobytu, jak na polskie możliwości, luksusowe, za to opieka w nich jest bardzo różna, w zależności od dobrej woli pracowników.

Takie domy to druga kropla w morzu potrzeb i to ogromnie kosztowna. Znam taki dom, w którym na stu pensjonariuszy jest około czterdziestu osób personelu. Ponieważ miejsca jest dosyć, logiczne wydawałoby się przyjęcie większej ilości podopiecznych albo zwolnienie połowy pracowników. Jest to jednak niewykonalne

w zakłętym kręgu dotacji oraz niedopuszczania do bezrobocia. Każdy nowo przyjęty pensjonariusz pogłębia deficyt, bo oddaje 80% swojej emerytury, a koszt utrzymania w takim domu przekracza wysokość dwóch dobrych emerytur i ciągle rośnie.

Może teraz coś się zmieni? Oby tylko zmiana nie polegała na zupełnej likwidacji tego rodzaju domów, co też jest niewyklucone.

Pozostają domy dla „równych” — smutne przytulki na ostatni etap drogi życiowej o dużych salach ciasno zastawionych łózkami, smutnych „świecicach” i brudnych sanitariatach. Człowiek nie ma tu najmniejszego kąta wyłącznie dla siebie.

Domy te ciągle borykają się z trudnościami finansowymi ze względu na dysproporcję pomiędzy rzeczywistymi kosztami utrzymania a wysokością emerytur, wymagają ciągłych dopłat z budżetu państwa, są też stałymi podopiecznymi Kościoła oraz różnych instytucji charytatywnych zarówno z kraju, jak i zza granicy.

Najsmutniejsze w tym łańcuchu ludzkiej niedoli są domy dla przewlekle chorych. To właściwie hospicja, gdzie w tłoku, na ubogich szpitalnych łózkach, bez właściwej opieki i niezbędnych leków czeka się tylko na śmierć.

Tam, gdzie całe życie było godne i wygodne, również jego ostatni etap może przebiegać w godniejszych warunkach. W Polsce niedostatek zaczyna się od braku pieluch dla noworodka, trudno więc marzyć o komforcie ostatnich lat życia.

Na zakończenie trzeba również wspomnieć o pozytywach.

Należą do nich niewątpliwie tak zwane domy dziennego pobytu, gdzie samotny emeryt może zjeść podstawowy posiłek, odpocząć, wysłuchać odczytu, obejrzeć kolorową telewizję i pobyć w gronie osób o podobnych zamiłowaniach. Jest tak zwany „Uniwersytet Trzeciego Wieku” z bardzo ciekawymi wykładami. Są zniżkowe wczasy, sanatoria, wycieczki, bilety do kin i teatrów. Lepiej zorganizowane zakłady pracy pamiętają o swoich byłych pracownikach, dopłacając im do wyjazdów wypoczynkowych, organizując różne imprezy itp.

Przy różnych organizacjach społecznych lub technicznych (np. Naczelna Organizacja Techniczna) są Kluby Seniora, umożliwiające przebywanie we własnym gronie fachowców już nieczynnych lub tylko częściowo czynnych zawodowo. Organizacje takie też udzielają w ramach swoich możliwości różnych form pomocy ludziom w wieku emerytalnym.

Przykry jest fakt, że zamiast zabezpieczonej materialnie starości — w zamian za pracę całego życia — trzeba u jego schyłku korzystać z rozmaitych form pomocy społecznej i że uważa się to za normalne, a nawet pozytywne.

Może kiedyś będzie lepiej?

Wanda NIEPOKORNA

Sprawy i troski

Sprawa odszkodowań

Problem niezaspokojonych roszczeń odszkodowawczych z tytułu krzywd moralnych i strat materialnych poniesionych w czasie II wojny światowej przez obywateli polskich od dłuższego już czasu stał się na nowo przedmiotem kampanii prowadzonej przez prasę PRL, a także przez powołane do życia organizacje osób poszkodowanych. Charakterystyczną cechą tej kampanii jest kierowanie żądań odszkodowawczych wyłącznie pod adresem Republiki Federalnej Niemiec przy całkowitym przemilczaniu krzywd i bezprawia, jakiego obywatele polscy doznali na wschodzie, ze strony okupanta sowieckiego. Podnosząc winy niemieckie, przy okazji przemilcza się zupełnie fakt i rozmiary wypłaconych przez rząd RFN wielomiliardowych odszkodowań dla ofiar terroru hitlerowskiego.

W zakresie problematyki odszkodowań niemieckich szczególnie miejsce zajmuje kwestia byłych robotników przymusowych (*tzw. Zwangsarbeiter*), którzy byli do tej pory przez ustawodawcę zachodniemieckiego całkowicie pozbawieni prawa do odszkodowania. Problem ten stał się ostatnio przedmiotem generalnej debaty bońskiego Bundestagu, w czasie której wniesione zostały dwa konkretne projekty ustaw, zmierzające do radykalnej zmiany sytuacji w tej sprawie. W sumie cała sprawa bardzo nabrała na aktualności i zasługuje na to, aby przyjrzeć się jej nieco bliżej.

Na wstępie należałoby zauważyć, że problem odszkodowań względnie zadośćuczynienia materialnego za różnego rodzaju krzywdy i straty moralne i materialne poniesione przez różne kategorie ofiar hitlerowskiego (lub jakiegokolwiek innego) bezprawia nie doczekał się po wojnie żadnej regulacji w postaci obowiązujących aktów prawa międzynarodowego. Żadna konferencja ani traktat międzynarodowy, określające porządek powojenny w Europie, nie nałożyły na żadne z trzech powojennych państw niemieckich (obok RFN i NRD nie można bowiem zapominać i o Austrii, która przecież także stanowiła część składową III Rzeszy) jakiegokolwiek

obowiązku odszkodowań czy reparacji, które stanowiłyby przynajmniej częściowe zadośćuczynienie za nieszczęścia i krzywdy wyrządzone milionom ludzi przez reżym hitlerowski.

Wykorzystując tę sytuację, rządy NRD i Austrii nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie poczuwały się do moralnego obowiązku podjęcia jakichkolwiek kroków zmierzających w kierunku przyznania bodaj symbolicznych odszkodowań przynajmniej najbardziej poszkodowanym ofiarom zbrodniczej polityki hitlerowskiej. Oba te państwa nigdy i nikomu nie wypłaciły z tytułu odszkodowań ani jednego feniga czy szylinga.

Jedynym państwem niemieckim, które dobrowolnie (a więc jak już wyżej wzmiankowano, bez żadnych zobowiązań nałożonych traktatami międzynarodowymi) przyjęło na siebie moralny ciężar zadośćuczynienia materialnego wobec ofiar zbrodni hitlerowskich była i jest Republika Federalna Niemiec. Swoją obowiązek moralny ustawodawca RFN wywodzi z podstawowej zachodniemieckiej doktryny prawnopństwowej, według której Republika Federalna Niemiec uznaje się za prawnego spadkobiercę III Rzeszy.

Tym dobrowolnym zobowiązaniem moralnym Niemcy Zachodnie nadały konkretny kształt prawny w postaci kilkunastu aktów ustawodawczych, które przyznają w różnych rozmiarach i formach odszkodowania dla różnych kategorii ofiar. Według oficjalnego sprawozdania rządowego, sporządzonego w październiku 1986 r. dla posłów Bundestagu, kwota wypłaconych przez RFN do stycznia 1986 r. różnego rodzaju odszkodowań jednorazowych oraz stałych rent odszkodowawczych wyniosła ponad 77 miliardów marek, a wypłata dalszych stałych rent odszkodowawczych wyniesie do roku 2000 dodatkowo 22,5 miliarda marek.

Z odszkodowań zachodniemieckich skorzystało m.in. ok. 150.000 Polaków, byłych więźniów obozów koncentracyjnych zamieszkałych na Zachodzie. Według ustaw niemieckich przyznanie odszkodowania wiązało się bowiem z koniecznością wniesienia indywidualnego wniosku, co z kolei wymagało osobistego pobytu na Zachodzie. Procedura ta wynikała z przestrzegania generalnej zasady indywidualnej wypłaty bezpośrednio do rąk osób poszkodowanych (a nie w drodze zbiorowej za pośrednictwem państw obcych). Termin składania tego rodzaju indywidualnych wniosków był kilkakrotnie przedłużany i ostatecznie minął z dniem 31 grudnia 1969 r. Jednakże i po tym terminie rząd RFN trzykrotnie przeznaczył z budżetu państwa na cele odszkodowawcze dla „spóźnionych” (np. obywateli państw bloku komunistycznego, którzy z powodu odcięcia informacji i braku możliwości osobistego udania się w tych sprawach do RFN, podać w terminie złożyć nie mogli) po 100 milionów marek w celu wypłaty jednorazowych „odszkodowań pocieszenia” w zryczałtowanej wysokości 5000 marek od osoby.

Jednakże z całej tej, na tak szeroką skalę zakrojonej akcji zadośćuczynienia od początku i w całości wyłączona została liczna kategoria ofiar bezprawia, jaką stanowią byli robotnicy przymusowi

(*Zwangsarbeiter*). W tej sprawie ustawodawca zachodnioniemiecki stanął na stanowisku, iż roszczenia odszkodowawcze za pracę przymusową na rzecz III Rzeszy mają charakter tzw. roszczeń reparacyjnych. Te zaś, zgodnie z art. 5 i art. 8 Londyńskiego Układu o Długach Niemieckich z 27 lutego 1953 r. (*Londoner Schuldenabkommen*) zostały odroczone do czasu ostatecznego uregulowania problemu reparacji wojennych w ramach traktatu pokojowego zawartego z całymi Niemcami (*Gesamtdeutschland*), do zawarcia którego jak wiadomo nie doszło i najprawdopodobniej nigdy nie dojdzie.

To stanowisko prawne podtrzymywane było (i jest) przez wszystkie rządy RFN przez dziesiątki lat, z tym, że treść postanowień wymienionego układu londyńskiego interpretowana była (i jest) jako formalny zakaz wypłaty indywidualnych odszkodowań za pracę przymusową. W odniesieniu do obywateli PRL stanowisko to dodatkowo wzmacniane było (i jest) powoływaniem się na oświadczenie rządu PRL z 23 sierpnia 1953 r., w którym Polska Ludowa wyraźnie zrezygnowała z reparacji wojennych wobec całych Niemiec. Rezygnacja ta podtrzymana została w 1970 r. przy zawieraniu Układu Warszawskiego o normalizacji stosunków pomiędzy RFN i PRL.

To stanowisko prawne — przez osoby zainteresowane odczuwane jako krzywdzące i niesprawiedliwe — przez dziesiątki lat nie ulegało żadnej zmianie, a w konsekwencji wszelkie starania odszkodowawcze byłych robotników przymusowych niezmiennie były oddawane jako pozbawione podstawy prawnej. Podstaw moralnych wprowadzić nikt nie kwestionował, ale, jak wiadomo, wyłącznie na nich nigdzie nie można skutecznie opierać roszczeń prawnych.

Jedyny wyłom w tym stanie rzeczy stanowiły wypłaty odszkodowań dokonywane dobrowolnie i dowolnie (tj. bez żadnych zobowiązań ustawowych i bez jakichkolwiek obowiązujących reguł czy zasad) czasami przez niektóre koncerny przemysłowe (np. Daimler-Benz), które w czasie wojny zatrudniały duże ilości niewolniczej siły roboczej. Tego rodzaju nadziei była jednak pozbawiona cała masa robotników przymusowych zatrudnionych u niemieckich „Bauerów” (rolników) lub w drobnych przedsiębiorstwach.

Cały czas mowa jest o odszkodowaniach, to jest o formie zadośćuczynienia materialnego za świadczenie pracy niewolniczej. Nie należy tej sprawy mylić ze sprawą uprawnienia do renty starczej, które to uprawnienie posiada każda osoba, która w kompetentnym miejscu i rzeczowo zakładzie ubezpieczeń rentowych (dla robotników głównie właściwy jest *Landesversicherungsanstalt*) zdoła przedłożyć dowód opłacania składek rentowych w okresie jakiegokolwiek pracy w Niemczech. Rzecz jednak w tym, że nagminnie robotnicy przymusowi nie byli zgłaszani do ubezpieczenia rentowego, a ich pracodawcy składek tego ubezpieczenia za nich nie odprowadzali. W konsekwencji, renty te są przyznawane tylko w bardzo nielicznych przypadkach (mianowicie wtedy, gdy pracodawca

jednak składkę rentową opłacał, a były pracownik przymusowy fakt ten jest w stanie udowodnić).

Dość niespodziewanie w całym sposobie traktowania problemu odszkodowań dla byłych pracowników przemysłowych przez ustawodawcę zachodnioniemieckiego zarysował się zasadniczy przełom. Oto w dniu 28 września 1989 r., z inicjatywy partii zielonych i socjaldemokratycznej odbyła się w Bundestagu zasadnicza debata, w czasie której dotychczasowe stanowisko prawne Bonn w tej kwestii poddane zostało druzgocącej krytyce. Głównym i to emocjonalnie bardzo zaangażowanym mówcą w tej debacie była posłanka zielonych, pani dr Anke Vollmer, która w doskonale prawnie podbudowanym wywodzie dowiodła niesłuszności zajmowanego przez Bonn stanowiska prawnego w tej kwestii. Mianowicie przy pomocy argumentów prawnych wykazała ona niezbicie zupełną bezpodstawność wywodzenia z tekstu Londyńskiej Umowy o Długach z 1953 r. wniosku o rzekomej niedopuszczalności wypłaty odszkodowań za pracę niewolniczą oraz udowodniła niemoralność i nielogiczność samej zasady zaliczania świadczenia pracy niewolniczej do kategorii zbiorowych reparacji wojennych wobec państw. Tym samym podstawy dotychczasowego stanowiska prawnego Bonn w tej sprawie zostały po prostu zniszczone, czego najlepszym dowodem był fakt, że parlamentarny sekretarz stanu w ministerstwie finansów, pan Carstens, reprezentujący w czasie debaty stronę rządową, nie potrafił argumentów tych skutecznie odeprzeć. Również posłowie wszystkich innych partii politycznych podnosili zasadnicze znaczenie moralnego aspektu całego problemu i opowiadali się za gruntowną rewizją stanowiska.

Partia zielonych i partia socjaldemokratyczna niezależnie od siebie zgłosiły dwa konkretne i merytorycznie podobne wnioski ustawodawcze o utworzenie Funduszu Odszkodowań dla Robotników Przymusowych, które skierowane zostały do kompetentnych komisji parlamentu i w ten sposób rozpoczęły swoją normalną drogę ustawodawczą. Jest to konkretny owoc omawianej debaty w Bundestagu. Tym samym powstała konkretna szansa i nadzieja na praktyczny przełom w sprawie tego rodzaju odszkodowań. Na razie wprowadzić tylko nadzieja, ale mająca poważne oparcie w niedwuznacznie zarysowującej się większości parlamentarnej dla wniosku ustawodawczego o utworzenie Funduszu. Nadzieję opierać można na to, na sprzyjającej obecnie dla Polski atmosferze panującej w bońskich kołach politycznych — wiadomo bowiem, że główny kontyngent robotników przemysłowych stanowili Polacy i oni też, w razie uchwalenia nowej ustawy, głównie skorzystaliby z możliwości odszkodowania.

O dużych szansach powodzenia projektu utworzenia Funduszu Odszkodowań dla Robotników Przymusowych świadczą także obietnice utworzenia tego funduszu złożone przez przewodniczącego SPD, Hansa Vogla, w czasie jego październikowej wizyty w

Warszawie. Można bowiem domyślać się, że jeżeli polityk tego kalibru co Vogel zaryzykował tego rodzaju publiczne przyrzeczenia, to musiał opierać się na wiarygodnych i pewnych rozeznaniach co do możliwości powodzenia inicjatywy ustawodawczej.

Tadeusz FOLEK

Pomoc

(ROZMOWA Z KS. MARIANEM FALENCZYKIEM,
SUPERIOREM REGII MIŁOSIERDZIA BOŻEGO KSIĘŻY
PALLOTYNÓW WE FRANCJI)

MARIA de HERNANDEZ-PALUCH: — *Czy 36-letni superior Zgromadzenia Księży Pallotynów to reguła, czy też wyjątek w ponad 150-letniej tradycji Pallotynów?*

Ks. MARIAN FALENCZYK: — *Różnie to można oceniać. Zdarzało się to nieraz i wcześniej. To nie jest tylko wyniesienie na godność, ale również odpowiedzialność, obowiązki i praca.*

M. de H.-P.: — *Praca, odpowiedzialność — czy należy tego Polaków uczyć, czy też stawiać tylko na pomoc Zachodu?*

Ks. M.F.: — *Istnieje chińskie przysłowie o biednych i głodnych, którzy codziennie przychodzą po pomoc. Pytanie: czy dawać im codziennie ryby, czy też nauczyć ich łowić?*

M. de H.-P.: — *Uczucie litości chyba nie należy do najszlachetniejszych?*

Ks. M.F.: — *Nie, bo może iść w parze z pogardą. Nikt nigdy i nigdzie nie powinien mówić: ja potrzebuję pomocy, a ty masz obowiązek mi jej udzielić. Nie istnieją takie obowiązki ani takie stosunki. W Polsce ścierają się dwie mentalności. Jedną, którą ks. Tischner nazwał żebraczo-żłodzięską, to mentalność ludzi ciągle czegoś żądających i oczekujących. Druga to przekonanie, że trzeba się wziąć do pracy, zamiast wciąż się skarżyć, jacyśmii biedni, a świat nas nie kocha.*

M. de H.-P.: — *Chce ksiądz powiedzieć, że ludzie odzwyczaili się od odpowiedzialności i pracy? Boją się ich?*

Ks. M.F.: — *Nie chcę tego powiedzieć, bo nie wszyscy tak myślą. Mnie samego np. rodzice od dziecka nauczyli pracować. Po władzach PRL nie spodziewaliśmy się niczego i o nic ich nie prosiliśmy. Wiadomo było, w jakim świecie żyjemy i dlatego liczyła się tylko własna praca. Ale miliony ludzi uwierzyło, że władza PRL da im wszystko. Tutaj, we Francji, widać tego reperkusje. Przyjeżdżają nasi rodacy, pukają do drzwi — jestem! I co z tego? — Jak to co? Mieszkanie, pracę... Bodaj pięć lat temu zaproponowałem komuś pracę za 4.500 franków. — Ksiądz chyba ze mnie kpi, usłyszałem. A był to taki pseudoinżynier: Kursy wieczorowe, wojsko połączone z wpisaniem do PZPR, potem zaoczne studia. Inżynier. Zawierucha stanu wojennego i na Zachód.*

M. de H.-P.: — *Przejdźmy do ustalonego tematu rozmowy. Co to jest Dom Jana Pawła II? Czy jego założeniem jest pomoc dla polskich studentów?*

Ks. M.F.: — *Nie było mnie przy zakładaniu domu. Zobaczyłem go dopiero po roku, 20 października 1982, kiedy po raz pierwszy poszedłem do domu, za który miałem wziąć odpowiedzialność.*

M. de H.-P.: — *Jakie miał Ksiądz wrażenia?*

Ks. M.F.: — *Zobaczyłem dom niedaleko wieży Eiffla z tabliczką „Dom imienia Jana Pawła II dla studentów polskich”. Obejrzałem wszystko i wyraziłem swoje zdanie. Dom od roku pełnił funkcje niezgodne z tabliczką. Był otwarty praktycznie dla wszystkich. Na 40 miejsc mieszkało w nim 4 studentów. Stanowił rodzaj taniego mieszkania, trochę przytułku... Ale wtedy był stan wojenny. Polska w dramatycznej sytuacji... Należało pomagać.*

Potem jednak dom zaczął powolutku wracać do swojego zasadniczego celu — bycia domem dla polskich studentów. Zaostrzone zostały warunki przyjęcia.

M. de H.-P.: — *Co to znaczy?*

Ks. M.F.: — *Spory procent mieszkańców domu stanowią dzisiaj lekarze. Prawie wszyscy robią tu specjalizację, której nie mogliby zrobić w Polsce. Chodzi nam o to, aby przyjeżdżali tu studenci*

i naukowcy z Polski w celu zdobycia dyplomu, odbycia stażu, zrobienia specjalizacji, nawiązania kontaktów. I żeby wrócili do Polski. Dom Jana Pawła II nie ma żadnych celów czy ambicji politycznych. Jedynym jego zadaniem jest pomoc ludziom z Polski, którzy wrócą, bo tam są potrzebni.

M. de H.-P.: — *W jaki sposób się ich dobiera?*

Ks. M.F.: — Dom jest trochę znany, nie bardzo szeroko, i to dobrze, bo i tak nie może wszystkich chętnych pomieścić. Dysponujemy tylko 40-ma miejscami. My sami też składamy propozycje ludziom z Polski, jeśli spełniają pewne warunki. Po pierwsze muszą umieć pracować naukowo. Po drugie muszą mieć jakieś osiągnięcia w swojej dziedzinie, a po trzecie muszą być czynni w swoim środowisku zawodowym. Powinni to być ludzie, którzy rozumieją, że nauka, dyplomy etc. są po to, aby służyły społeczeństwu. Takie nastawienie daje pewność, że stypendysta wróci do Polski, a nie będzie myślał tylko o własnej karierze. Cała polityka społeczna powojennego 45-lecia w PRL zmierzała do tego, by społeczeństwo rozbić, a w ludziach obudzić wzajemną nieufność. Dlatego tak bardzo chcemy wyłowić tych, którzy potrafili się z tego otrząsnąć.

M. de H.-P.: — *W jaki sposób wyszukuje się w Polsce kandydatów?*

Ks. M.F.: — Po prostu przez uczelnie. Mamy kontakty z profesorami, a za całość doboru odpowiada ksiądz biskup Józef Michalik. Jest on odpowiedzialny za duszpasterstwo młodzieży studenckiej. Oczywiście cała nasza pomoc jest tylko kroplą w morzu potrzeb.

M. de H.-P.: — *Tym bardziej, że podobno kończą się pieniądze na stypendia.*

Ks. M.F.: — Właściwie już się skończyły. W pierwszych latach istnienia stowarzyszenia było tych stypendiów sporo, dzięki dotacjom Watykanu. Nigdy nie były wysokie, od tysiąca do dwóch tysięcy franków, dlatego stypendyści musieli podejmować się różnych prac, aby się utrzymać. Obecnie dom sam zapracowuje na siebie. Zresztą pomagają ludzie, poprzednio z nim związani. Ta idea jest im droga. Od czasu do czasu przysyłają jakąś sumę na dom albo na kolejne stypendium.

M. de H.-P.: — *Czy dom jest odpłatny?*

Ks. M.F.: — Tak. Ale prócz poczucia stabilizacji, które daje pensjonariuszom — mają kąpiel, mogą się uczyć, ugotować sobie coś w kuchni itp. — dom pomaga też w sprawach administracyjnych, w załatwieniu karty pobytu etc.

M. de H.-P.: — *Oprócz tego prowadzi działalność kulturalną.*

Ks. M.F.: — Oraz nauczanie religijne, bo od października 1982 związane jest z nim duszpasterstwo akademickie. Kiedyś ono we Francji istniało... to ojciec Placyd Galiński i lata 60-te. Potem zanikło. Dzisiaj istnieje kościół akademicki, rekolekcje. Organizujemy wtorkowe spotkania w Domu Jana Pawła II albo konferencje z dziedziny etyki, filozofii, teologii. Bywają też wykłady natury politycznej albo historycznej, spotkania z pisarzami...

M. de H.-P.: — *Otwarte dla ludzi spoza domu?*

Ks. M.F.: — Tak. Zawsze to tłumaczą: nasza wspólnota musi być otwarta dla innych i przyciągać ludzi z zewnątrz. To jednak nie jest proste. Silniejsza jest skłonność do obwarowywania się, zamykania, rezerwowania sobie przywilejów i warzenia się we własnym sosie.

M. de H.-P.: — *Czy ksiądz wie coś o tym, jak goście Domu Jana Pawła II zachowują się po powrocie do Polski?*

Ks. M.F.: — Oczywiście. Zaczę od tego, że tutaj stykają się ze środowiskiem francuskim. Ta konfrontacja — w dobrym tego słowa znaczeniu — pozwala im wiele rzeczy podpatrzeć, niejednemu się nauczyć, a także zrozumieć, jakich tutejszych błędów należy unikać.

M. de H.-P.: — *W składzie komitetu honorowego Domu Jana Pawła II widnieją takie nazwiska jak kardynał Jean Marie Lustiger, Jacques Chirac i francuski akademik Jean d'Ormesson.*

Ks. M.F.: — To pewien autorytet społeczny, który za tym domem stoi. Ci ludzie interesują się nim raz mniej, raz więcej. Niektórzy dali tylko nazwisko. Inni pomagają, ale jest to pomoc na zasadzie współpracy, a nie tylko działalności charytatywnej. Nasi lokatorzy proponują w zamian swoje usługi. Przeprowadzają np. w Polsce badania, które tutaj byłyby znacznie kosztowniejsze. Te badania służą nie tylko polskim lekarzom, ale też francuskim i innym. Patroni naszego domu tak rozumieją pomoc dla Polski.

Otrzymałmy subwencję od miasta Paryża, które zgadzało się z tą formą pomocy Polsce. Czasem indywidualni Francuzi patronują poszczególnym studentom i fundują im stypendia. W Polsce jest już kilkaset osób, które przeszły przez nasz dom. Mam z nimi kontakt i wiem, co robią. Wielu wróciło do Polski z ciekawymi doświadczeniami i chęcią do pracy.

M. de H.-P.: — *Czy zmiana rządu w Polsce może wpłynąć na rozszerzenie działalności tego typu, jaką prowadzi Dom Jana Pawła II?*

Ks. M.F.: — Istnieje w Paryżu Cité Universitaire, gdzie są domy studenckie poszczególnych państw. Z drugiej strony Francuzom zależy na ekspansji ich kultury. Po zmianach rządowych w Polsce jest coraz więcej propozycji naukowych albo stypendialnych rozmaitych instytucji, które myślą o przyszłości i liczą na to, że ich stypendyści po powrocie do Polski ułatwią im wejście na nasz teren. Mówiąc językiem kupieckim: klient zaczyna wyglądać ciekawiej. Tylko od Polski zależy, czy wykorzysta to zainteresowanie. Próba wejścia na nowe rynki jest zupełnie normalnym zjawiskiem. Normalnie domy studenckie są subwencjonowane. Każdemu państwu na tym zależy i każde państwo ma taką rubrykę w budżecie. Nasz dom nie był i nie jest subwencjonowany przez Polskę.

Rozmawiała Maria de HERNANDEZ-PALUCH

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

7-go października. Słynne święto — 72-ga rocznica rewolucji październikowej. Kamery telewizji wycelowane są w Plac Czerwony. Na mauzoleum stoją przywódcy partii i rządu. Zbliżenie pokazuje Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa: rozlegają się kremlofskie kuranty i wódz z troską spogląda na zegarek. Punkt dziesiąta. Wszystko się zgadza. Rozbrzmiewają pierwsze takty marsza wojaskowego i na plac wkracza śmietanka wojsk: piechota morską, spadochroniarze itd. Jednak kamery kierują się w inną stronę i oczom całego świata ukazuje się „nieformalna” demonstracja, która maszeruje przylegającą do Kremla ulicą. Nad oficjalnym pochodem powiewają portrety Lenina i hasła o „pieriestrojce — nowym obliczu socjalizmu”. Nieoficjalny niesie transparenty innej treści: wyrażają one wiernie nastroje wielu obywateli ZSSR, a do tego są dowcipne. Z dwóch stron kolumny „nieformalów” idą milicjanci z uśmiechem na ustach. Rzeczywiście, trudno się nie uśmiechnąć. Na transparentach widnieją: „Proletariusze wszystkich krajów, wybaczcie nam”, „72 lata drogi donikąd”, „Komunizm i wolność nie mogą iść w parze”, „Pięć lat pieriestrojki i mamy cud: dwa kroki do tyłu, ani kroku w przód”. Na jednym z plakatów widać książkę pod tytułem „Bajki”, autor: M.S. Gorbaczow.

W Moskwie nie było spontanicznej demonstracji od stycznia 1918 roku, kiedy to robotnicy wyszli na ulicę protestować przeciwko rozpędzeniu Konstytuanty i zostali zastrzeleni. Dlatego sam fakt demonstracji jest ważny. Co więcej, uczestniczyło w niej kilka tysięcy osób, niektórzy mówią nawet o dziesięciu tysiącach. Przypomnijmy znów, że w sierpniu 1968 roku na Plac Czerwony wyszło siedem osób, żeby zaprotestować przeciwko inwazji Czechosłowacji. Moją uwagę zwrócił jednak nie niecodzienny pluralizm — dwie równoczesne demonstracje pod różnymi hasłami — tylko zdumiewająca spójność stojącego na mauzoleum wodza, którego najwyraźniej interesowało tylko jedno — żeby pochód zaczął się punkt o dziesiątej.

Patrząc z boku — a sądząc po plakatach kontr-demonstracji, także od środka — powodów do zadowolenia i spokoju jest niewiele.

Akademik Ałałkin, ekonomista powołany na stanowisko wicepremiera, stwierdził pod koniec października: „Nasze położenie ekonomiczne pogarsza się z miesiąca na miesiąc”. Ałałkin przytacza liczby i przykłady, po czym oświadcza: „Jeżeli nadal będziemy tak pracować, nie mamy co liczyć na pozytywne skutki reformy” (*Moskowskije nowosti* nr 44, 29.X.89). Nieco dalej tłumaczy, że uda się ustabilizować rynek (tzn. zapewnić ludności niezbędne towary) w najlepszym razie za 5-6 lat (*Argumenty i fakty* Nr 41, 14-21.X.89). Łatwo pojąć, że człowiek sowiecki nie ma ochoty lepiej pracować po to, żeby nagrodę dostać w przyszłej pięciolatce. Robotnicy są więc niezadowoleni, co wyrażają już nie tylko złą pracą, ale i strajkami — zakazanymi prawem.

Rada Najwyższa zatwierdziła projekt budżetu na 1990 rok, ale odrzuciła propozycję rządu, aby podwyższyć ceny papierosów, piwa i kawioru. Rzecz nie w tym, by wysoka cena kawioru biła w klasę robotniczą, ale nie tak nie przeraża przywódców ZSSR jak podwyżka cen. Decyzja Rady Najwyższej w pewnym stopniu odzwierciedla nastroje wyborców, przede wszystkim jednak świadczy o braku jasnej i zdecydowanej strategii ekonomicznej. W 1985 r., kiedy Gorbaczow przejął Związek Sowiecki, jego politykę wyrażały trzy słowa: *glasnost'*, *pieriestrojka*, *uskorienije*. Półtora roku temu *uskorienije* (przyspieszenie) wyszło z użycia. Zwolennik *uskorienija* akademik Aganbegian został odsunięty na boczny tor. Jego miejsce zajął Leonid Ałałkin, zwolennik powolnych i stopniowych reform. W pierwszych latach *pieriestrojki* najbardziej przenikliwi i niezależni ekonomiści uprzedzali, że przepaści nie przeskakuje się dwoma susami. Gorbaczow postanowił — mówię o stanie na dziś — przeskoczyć ją małymi kroczkami. Na razie rezultaty są również katastrofalne co przy poprzedniej taktyce. W republikach krzepną ruchy narodowe. W Armenii i Gruzji postanowiono — na wszelki wypadek? — nie organizować żadnych pochodów 7 października. W Kiszyniowie (Mołdawia) demonstranci usiedli na jezdni i nie przepuścili czołgów na pochód. I tak dalej...

A Michaił Gorbaczow spokojniutki. Ścisłej mówiąc — prawie zawsze spokojniutki. 13 października generalny sekretarz zebrał naczelnych redaktorów gazet i czasopism, kierowników agencji prasowych, radia i telewizji — jak zwykł co jakiś czas robić w ramach osobistej kontroli nad środkami informacji. Posiedzenie odbywało się za drzwiami zamkniętymi, ale ten i ów z obecnych opowiedział jego przebieg korespondentom zagranicznym. Michaił Gorbaczow zaczął od krytyki „radykałów”, ekonomisty Nikołaja Szmielewa i historyka Jurija Afanasjewa. Następnie wezwał „na dywanik” — jak się mówi w partyjnym żargonie — naczelnego redaktora *Argumentów i faktów*, i oskarżył pismo o ogłoszenie „błędного artykułu” w numerze 40-tym. Sam Starkow opowiedział o konflikcie z Gorbaczowem korespondentowi *Washington Post* Davidowi Remnikowi

(*International Herald Tribune* z 4-5.XI.89). Na zebraniu Gorbaczow oświadczył, że redaktor *Prawdy* Wiktor Afanasjew odchodzi na emeryturę, a jego miejsce zajmie akademik (w kuluarach władzy sowieckiej przechadzają się już sami akademicy!) Iwan Frolow. Starkowa wezwano do głównego ideologa Wadima Miedwiediewa, który go powiadomił, że kierownictwo nie jest zadowolone z jego gazety. Konkretnie oskarżono go o artykuły o przywilejach nomenklatury, krytykę armii i list w sprawie KGB. Chyba pierwszy raz w historii ZSSR zdarzyło się, że zwolniony przez Politbiuro naczelny redaktor odmówił odejścia ze stanowiska. Jego argument: *Argumenty i fakty* nie są organem KC, tylko biuletynem wszechzwiązkowego stowarzyszenia „Wiedza”. Zarząd tej organizacji może zwolnić Starkowa. Czy to robi, na razie nie wiadomo.

Wróćmy do skandalu. Przede wszystkim należy odnotować, że Frolow, nowy redaktor *Prawdy*, przez ostatnie dwa lata był „pomocnikiem generalnego sekretarza” — jednym z czterech najbliższych jego współpracowników, stanowiących jego prywatny gabinet. Pod jego kierownictwem *Prawda* stała się prywatnym organem ojca *pieriestrojki*. W tym kontekście łatwiej zrozumieć, dlaczego Gorbaczow tak się rozgniewał przy sprawie *Argumentów i faktów*.

Głównym powodem jego niezadowolenia był rezultat ankiety, rozpisanej wśród czytelników i ogłoszonej w 40-tym numerze pisma (7-13.X.89). Piętnaście tysięcy czytelników nadesłało odpowiedź na pytanie „kto z deputowanych ludowych zachował się na zjeździe dobrze, a kto nie bardzo?”. Odpowiedzi przesłano do ośrodka badań opinii publicznej, który obliczył, że najpopularniejszy jest Andriej Sacharow, a następnie ekonomista Gawrił Popow, Boris Jelcyn i historyk Jurij Afanasjew. Nazwisko generalnego sekretarza nie znalazło się w pierwszej dziesiątce, przyjął więc publikację jak kamień obrazy i policzek wymierzony w Jego Wysokość. W numerze 42 (21-27.X.89) pismo ogłosiło „poprawkę”, jeszcze jedną ankietę, przygotowaną już przez ośrodek badań socjologicznych Akademii Nauk Społecznych przy KC KPZS. Tym razem wyniki były konstruktywne. 66% indagowanych „wyraziło poparcie dla M.S. Gorbaczowa... Procent N.I. Ryżkowa także był dość wysoki”.

Olimpijski gniew niewątpliwie był spowodowany obrazą. Wydaje mi się jednak, że nie była to jego jedyna pożywka. *Argumenty i fakty* są niespodziewanym plodem *glasnosti*. Pismo, którego nikt do rąk nie brał, zmieniło się w ciągu kilku lat w publikację o najwyższych nakładzie w ZSSR i chyba nawet świecie. Dnia 1 października 1989 nakład *Argumentów i faktów* wynosił 26 milionów egzemplarzy. W 1990 roku redaktor Starkow spodziewa się 30-tu milionów. Gazeta liczy osiem stroniczek, artykuły są na ogół bardzo krótkie, informacja przeważa nad dydaktyką, dużo wywiadów i listów czytelników. Cena — 5 kopiejek. Jest oczywiste, że Gorbaczow chciałby mieć tę potężną tubę w swoich rękach. Zabierając głos w redakcji *Prawdy* generalny sekretarz uprzedził, że „nie należy przekształcać gazety, jakiegokolwiek gazety... w czyjeś lenno”.

Nakreślił nowe zadania, stojące dziś przed środkami informacji: „Zwyciężyć negatywne zjawiska, które pojawiły się ostatnimi czasy w środkach masowego przekazu... bronić naszych socjalistycznych wartości, szerzyć idee *periestrojki*, umacniać pozytywne, postępowe tendencje”. Władysław Starkow tak zinterpretował słowa Gorbaczowa w rozmowie z amerykańskim dziennikarzem: „Pisać tylko pozytywnie. Zamknąć się”.

Michaił Gorbaczow oświadczył w redakcji *Prawdy* spokojnie i z przekonaniem, tak jakby w kraju wszystko toczyło się spokojnie i gładko, że „podrzucają nam takie idee, które zapraszają nas, byśmy nieomalże cofnęli się 70 lat wstecz... A przecież zrobiono bardzo dużo, nawet mierząc najsurowszą miarą. Dokonano ogromnego skoku ku zdobyciom współczesnej cywilizacji ludzkiej...” To samo wyraził też krócej: „Nasza historyczna droga jest unikalnym osiągnięciem współczesności”.

Usiłując rozumieć, dlaczego wódz *periestrojki* jest taki spokojny, należy na pewno zwrócić uwagę na organizację, która zorganizowała kampanię reklamową o takim rozmachu i natężeniu, że wypada się zastanowić, czy nie przyłożyli do niej ręki amerykańscy zawodowcy. Mam na myśli KGB. Nie ma dnia, żeby w jakiejś gazecie albo czasopiśmie, telewizji albo radiu nie wystąpił pracownik „organów” — od przewodniczącego począwszy — i nie opowiadał o swojej działalności ku chwale ojczyzny.

Wśród „błędów” *Argumentów i faktów* wymieniono list o KGB. Podpis pod nim nikomu niczego nie mówi: W. Kłokow, Moskwa. List zaczyna się tak: „O roli i wadze KGB w państwie wymownie świadczy zdanie Kosygina z czasów, kiedy przygotowywano obalenie Chruszczowa. W odpowiedzi na pytanie o jego stanowisko Kosygin odparł: 'A z kim trzyma KGB?' Kosygin rozumiał, że poparcie KGB jest głównym i niezbędnym warunkiem powodzenia takich akcji”. Następnie W. Kłokow stwierdza: „Jednak do tej pory, mimo *glasnosti* i *periestrojki*, KGB jest zakazaną strefą i zachowało właściwie wszystkie swoje dawne funkcje, zadania, organizację i przede wszystkim możliwości. Możliwości te zaś są takie, że — co już nieraz pokazała praktyka — wystarczy wydać odpowiedni rozkaz, a w krótkim czasie wszystkie wyniki i osiągnięcia kolejnego przywódcy, a w danym przypadku *periestrojki*, mogą zostać zlikwidowane, a cały kraj poddany całkowitej kontroli”. W. Kłokow pyta: „A jeśli w przyszłości jakiś polityczny przywódca postanowi wrócić do 'socjalizmu' Stalina i Breżniewa?” I dalej: „Po co zachowuje się te możliwości (i strukturę) aż do dzisiejszych czasów, mimo demokratyzacji wszystkich dziedzin życia społeczeństwa sowieckiego?”

Można oczywiście uważać, że właśnie zachowanie struktur i niezmienną gotowość KGB do ujęcia kraju w karby stuprocentowej kontroli na pierwsze skinienie wodza zapewnia mu spokój. To jednak tylko przypuszczenie (choć oparte na doświadczeniu historycznym). Faktem natomiast jest wspomniana wyżej kampania reklamowa. Korzysta ona z wszystkich możliwych kanałów. Krewnym

Raoula Wallenberga, którzy przyjechali do Moskwy, wręczono „przypadkowo odkryte” w zapomnianych archiwach dokumenty szwedzkiego dyplomaty, porwanego podstępnie w 1945 roku i przepadłego na wieki. Przewodniczący KGB uroczystie oznajmia, że rozwiązano departament V, zajmujący się „dywersją ideologiczną”. Wszyscy byli dysydenci, którzy z łaski V Departamentu odsiedzieli rozmaite wyroki, odetchnęli z ulgą. Dzień później okazało się jednak, że departamentu nie rozwiązano, a tylko go przemianowano: będzie się nazywał departamentem ochrony konstytucji, jak w RFN. *Moskowskije nowosti* z 10.XI.89 opublikowały notatkę pod trwożliwym tytułem „Amerykanie na Łubiance”. Okazało się jednak, że nie ma się o co bać: amerykańscy prawnicy udali się do siedziby KGB przy Placu Dzierżyńskiego tylko na wycieczkę. „Amerykańskim gościom — pisze dziennikarz — opisano strukturę i funkcje KGB itd., itp.” Dnia 30 października Stowarzyszenie „Memorial” zorganizowało z okazji Dnia Więźnia Politycznego ZSSR „łubiański łańcuch”: setki moskwičan ze świecami w ręku okrążyły gmach, o którym już w latach 20-tych gorzko żartowano, że jest najwyższy w Moskwie: człowiek siedzi w piwnicy, a w perspektywie ma Sołowki. Czekiści pozwolili na demonstrację. Pobito manifestantów nieco dalej, na Placu Puszkina.

Do reklamowych tricków KGB należy film, nakręcony przez specjalistów z agencji prasowej „Nowosti”. Udało mi się go obejrzeć: film zaproponowano za ogromne pieniądze zachodnim telewizjom. Wiem, że Francuzi — na razie — odmówili kupna, chociaż chamstwo i niezdarność stawiają go w swojej kategorii na czolowym miejscu. Przewodnik, pułkownik KGB, oprowadza po gabinetach, salach posiedzeń, celach tak, jakby pokazywał hotel kategorii „S”. Szczytowym punktem wycieczki jest kuchnia łubiańskiego więzienia. Pułkownik pyta, czy może skosztować kaszy perłowej, ugotowanej nie wiedzieć dla kogo, bo więźniów nie widać. Kasza tak mu smakuje, że zwraca się do kucharki: „moja żona nie umie ugotować kaszy tak sypkiej” — i prosi o dokładkę. W takim przypadku, myśli widz, można zmienić żonę albo iść się żywić na Łubiankę.

Można wynioskować, że Gorbaczow uważa KGB za gwaranta spokoju, w razie konieczności. Drugim źródłem jego optymizmu i wiary w przyszłość jest zapewne nadzieja na całkowite zrozumienie i pomoc Zachodu. Przytoczę kilka cytatów, ilustrujących stan umysłów w cytadeli kapitalizmu, Stanach Zjednoczonych. Korespondent *Sowietskoj Rossiji* (15.XI.89) zrobił wywiad z „autorytatywnym amerykańskim politologiem” Johnem Mrozem. Sowietcy czytelnicy dowiedzieli się od niego, że: „Większość niezależnych amerykańskich specjalistów skłonna jest uważać, że istniejąca obecnie w ZSSR struktura federalna powinna zostać zachowana”. John Mroz zadaje retoryczne pytanie: „Czy np. republiki nadbałtyckie mogą być gospodarczo samodzielne? Przeczyłoby to oczywiście wszystkim globalnym tendencjom...” Amerykański sekretarz Stanu

James Baker oświadczył: „Zdestabilizowanie Europy Wschodniej albo Związku Sowieckiego nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych” (*International Herald Tribune* z 9.XI.89). Zbigniew Brzeziński, którego tak serdecznie nienawidził Kreml, zgodził się w wywiadzie udzielonym *Prawdzie* 9.XI.89, że Europa potrzebuje stabilnej struktury i opowiedział się za przetrwaniem dwóch bloków. Może to — zdaniem Brzezińskiego — dać Związkowi Sowieckiemu gwarancje, że zmiany wewnętrzne w krajach środkowej Europy (to najwidoczniej ten sam rejon, który James Baker nazywa Europą wschodnią — A.K.) nie doprowadzą do zmian w polityce zagranicznej, które mogłyby wykorzystał Stany Zjednoczone.

Po zdobyciu władzy w 1917 roku Lenin mówił, że rewolucja była cudem. Podsumowując pierwszą pięcioletkę w roku 1932, Stalin pytał: czyż to nie cud? Gorbaczow też mógłby zakrzyknąć „cud!” w obliczu postawy Zachodu, byłego wroga, a obecnie gwaranta imperium. Mógłby to powiedzieć tym bardziej, że z przyzwolenia władzy cud stał się najsilniejszym opium dla ludu. Dużo czytałem o rozmaitych cudach, zdarzających się w różnych częściach ZSSR, o lądowaniu Marsjan (o tym zawiadomiła Agencja Telegraficzna ZSSR) i różnych cudotwórcach, ale wszystko to należało — tak mi się przynajmniej zdawało — do dziedziny literatury. Aż obejrzałem wideokasetę z nagraniem audycji centralnej telewizji sowieckiej o seansie psychoterapeuty i cudotwórcy Aleksieja Kaszpirowskiego.

Cuda, jak wiadomo, zdarzają się wszędzie. Cudotwórcy, np. amerykańscy „tele-ewangeliści”, występują także w telewizji. Są to jednak zawsze cuda prywatne, chałupnicze. Seans Kaszpirowskiego był cudem państwowym, ponieważ telewizja jest instytucją państwową. Kaszpirowski nie jest jeden. Towarzyszą mu Dżuna Dawitaszwili, która przez wiele lat leczyła Breżniewa, i Ałan Czumak. Widziałem jednak tylko Kaszpirowskiego. Zrobił na mnie ogromne wrażenie. W pierwszej części audycji występowali uleczeni pacjenci czarnoksiężnika. Zachwyty czytelników łatwo zrozumieć (cudotwórca mówił, że ogląda go 200 milionów ludzi. Zważywszy, że wg spisu z 1987 r. ludność ZSSR liczyła 282.689 tys. ludzi, nie patrzyły na Kaszpirowskiego tylko niemowlęta). Uleczeni opowiadali o swoich chorobach, o braku szpitali, lekarzy i lekarstw, o jedynej nadziei na cud. I oto stał się cud i wyzdrowieli. Kaszpirowski wyjaśnił, że leczy wszystkich z wszystkich chorób i że nie potrzeba mu żadnej wiary. Można go słuchać z zamkniętymi oczami albo z otwartymi. „Lepiej z zamkniętymi”, dodał.

„Coraz żywsze zainteresowanie dla cudów — pisze w *Moskowskich nowostach* Jewgienija Albac — to nie jakiś banalny fakt z życia tramwaju. Jest to fakt znaczący... Przez wszystkie te lata z różnych trybun powtarzano, że głównym zadaniem *pieriestrojki* i zarazem jej główną siłą jest przebudzenie ze śpiączki politycznej jak najszerzych warstw ludności. Wybory pokazały, że to się udało. Minęło kilka miesięcy i miliony ludzi, siedząc przed telewizorem, poddało się woli jednego człowieka i zamknęło oczy...” Dzienni-

karka trafnie — moim zdaniem — tłumaczy zainteresowanie państwa cudotwórcami: „W sytuacji bliskiej wybuchu o ilej lepiej jest, aby ludzie wyprowadzeni w równowagi totalnym deficytem siedzieli przed telewizorami, zamiast wychodzić na ulice z transparentami. Jeśli nie z naganami” (*Moskowskije nowosti* z 29.X.89).

Siła Aleksieja Kaszpirowskiego polega na tym, że niczego nie tłumaczy. Widz uczestniczy w jego seansie — w jego gabinecie, w sali, w której pokazuje cuda, przed ekranem telewizora — i odżykuje zdrowie. Michaił Gorbaczow musi (z urzędu) wytłumaczyć, skąd czerpie swe cudotwórcze możliwości. W niespodziewanym wywiadzie, jakiego udzielił na Placu Czerwonym zaraz po paradzie, oznajmił, że „na tym bardzo trudnym etapie *pieriestrojki*, kiedy wiszą nad nami jak miecz Damoklesa — pozwolę sobie na to wyrażenie, chociaż jest okrutne — nierozwiązane problemy związane z żywnością i ze stanem rynku... najważniejsze jest jedno: nie zapomnieć o najważniejszym, że porwali się właśnie na tę drogę. Hasło było proste i prosto na nie głosząc: Jesteśmy za lenińskim socjalizmem!” (*Prawda* z 8.XI.89).

Kiedyś uczono w Związku Sowieckim dzieci: dwa światy, dwa systemy. Teraz pozostał zdaje się tylko jeden świat, ale w jego sowieckiej części działają dwa systemy. Dwa systemy cudów: zwykłe cuda Kaszpirowskiego i jego pobratymców-czarnoksiężników oraz ideologiczne cuda Gorbaczowa. Pierwszy może się obejść bez drugiego, ale drugiemu, jak się zdaje, bez pierwszego nie uda się przetrwać.

Adam KRUCZEK

10.XI.1989

Rewolucja po niemiecku

Jeśli lato należało do Polski, to jesień należy do Niemców. Powiedziałem to w warszawskiej telewizji, a nazajutrz podobno kierownik ośrodka informacji NRD-owskiej nad Wisłą zaoponował. Powiedział, że nie ma kryzysu reżimu i doktryny. A za trzy dni wydarzenia nad Szprewą zmiotły ze sceny politycznej i Honeckera i jego najwierniejszych pretorianów: Mittagą i Herrmana. Ale to nie wystarczyło dla uspokojenia zrewoltowanych mas. Strach przed wybuchem emocji zmusił następcę Honeckera, 52-letniego Egona Krenza, do dalszych koncesji. Pozbył się prawie całego Politbiura swego poprzednika, przemeblował gruntownie skład rządu, obalił

przywódcę związków zawodowych, poszedł na ugodę z podporządkowanymi dotąd komunistom czterema partiami satelickimi. Społeczeństwu obiecał załatwienie sprawy podróży na Zachód.

Nowy reżim rozluźnił zupełnie cenzurę. Pozwolił intelektualistom na publiczne głoszenie rozmaitych herezji. Krenz pojechał do Moskwy i odwołał wszystkie uprzedzenia swego poprzednika wobec *periestrojki*. Odtąd operuje wciąż jeszcze wysoko notowanym w uczuciach i umysłach Niemców prestiżem i autorytetem Gorbaczowa. Zaraz potem udał się nad Wisłę i zapewnił Mazowieckiego, Jaruzelskiego i Rakowskiego o swej lojalności wobec polskich reform.

A tymczasem NRD-owskie trzęsienie ziemi trwa. Rozkład systemu, który do niedawna uchodził za najbardziej ustabilizowany, odbywa się na dwóch płaszczyznach: w exodusie młodej generacji — przeważnie kwalifikowanych robotników, inżynierów, rzemieślników, trochę mniej chłopów i urzędników, niewielu intelektualistów oraz w masowych wiecach na ulicach i placach całej NRD. W obydwu wypadkach jest to głosowanie nogami. Jedno i drugie niebezpieczne dla kontynuacji władzy komunistycznej. Pierwsze prowadzi do dalszego deficytu sił roboczych, których nie można — jak dotychczas — zastąpić ani Kubańczykami, ani Wietnamczykami, ani nawet Polakami. Drugi ruch, to permanentne demonstracje na ulicach wielu miast Niemiec Wschodnich — ruch ludowy, choć ani proletariacki, ani populistyczny — raczej szeroko rozgałęziony ruch społeczny. Początki sięgają drugiej połowy lat sześćdziesiątych, kiedy zaczęły powstawać załążki grup pacyfistycznych. Skupiły się one wokół niektórych duchownych ewangelickich. Po tragedii w Czarnobylu rozwinął się wydatnie prąd ekologiczny. Z czasem doszły do tego tendencje socjaldemokratyczne lub rewizjonistyczne.

Procesy te przyspieszyła polityka *periestrojki*, która w Niemczech Wschodnich wywołała pewnego rodzaju euforię. Podstawowym błędem Honeckera było to, że postanowił zwalczać kult *periestrojki* i Gorbaczowa, nazywanego piśmienniczo „Gorbi” zarówno nad Szprewą jak i nad Renem. Gdyby szef partii SED pozwolił na przedruki z prasy sowieckiej i nie tępił wszystkich sowieckich dyskusji, to zachwyt „gorbaczowszczyzną” byłby szybko minął, gdyż Niemcy stwierdziliby, że w podstawowych sprawach towarzysze sowieccy niezbyt daleko odbiegają od ich własnej biurokracji.

Honecker uparł się przy swoim ideale, tj. mieszance dyscypliny koszarowej z umiarkowanym nacjonalizmem niemieckim w stylu Fryderyka i Bismarcka w połączeniu z Lutrem i Marksem. Wierzył też, że pielęgnowanie stosunków z Bonn i stała pomoc materialna Republiki Federalnej wraz z tolerowaniem przejmowania wszystkich trzech programów telewizyjnych z Niemiec Zachodnich zneutralizują ciągoty dezintegracyjne i grupowe. Honecker czekał z utęsknieniem na upadek Gorbaczowa i jego kursu. Stawiał na sowieckich dogmatyków i kiedy „Gorbi” był na urlopie, z otuchą przyjął wizytę Jegora Ligaczowa. Ten zaś uczynił wszystko, aby

zbulwersować Gorbaczowa i uspić definitywnie czujność Honeckera.

Grupa Gorbaczowa postanowiła działać tym bardziej, że na ostatnich posiedzeniach Paktu Warszawskiego i Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej zarysowały się kontury nowego sojuszu przeciwników reform moskiewskich na linii Berlin Wschodni — Praga — Bukareszt — Sofia. We wschodnim Berlinie i po zachodniej stronie muru zaczęli się pojawiać dziennikarze i doradcy z Kremla w tajemniczej misji wywęszenia, czy istnieją możliwości uknucia walki frakcyjnej. Ostatecznie udało się rozbić dotychczasową jedność w Politbiurze. Sam następcą tronu, Egon Krenz, dał się przekonać, że musi podjąć walkę o władzę. Na stronę spiskowców przeszedł nawet stary ideolog partii, Hager.

NRD-owskie polityczne trzęsienie ziemi trwa nadal i nic nie wskazuje na to, aby miało się rychło skończyć. Upadł rząd Willy Stophy, Politbiuro jest rozbite, zmieniają się regionalne układy partyjne, rozlatują kierownictwa partii satelickich, nadchodzi dzień rozprawy na górze parlamentu, czyli Izby Ludowej. Wydano projekt ustawy o uregulowaniu podróży za granicę, tj. głównie ruchu do RFN i Berlina Zachodniego.

Tymczasem potok uchodźców płynie i przybrał formy ogromnej rzeki ludzkiej, porywającej wartką falą wielotysięczne rzesze młodych Niemców z NRD. Jeśli to potrwa dłużej, to skutki exodusu dadzą się mocno we znaki gospodarce i służbom komunalnym tego kraju. Już dziś w niektórych działach władze zmuszone są do organizowania obsługi zastępczej przy pomocy wojska. Luki, która powstaje w tak nikłym bilansie demograficznym republiki, nie da się chyba zastąpić.

Nowy szef reżimu NRD-owskiego pozbywa się balastu, gdzie tylko może. Pozwala w dalszym ciągu na masowe wiece w miastach. Zezwolił na postępujący paraliż cenzury i na otwarcie wentylów w postaci ostrej krytyki prasowej. Takich głosów w stylu *glasnosti* w NRD dotychczas zupełnie nie było. Ale to wszystko zdaje się nie wystarczać dla uspokojenia nastrojów. Reżim Krenza pragnie pójść drogą Gomułki, albo jak kto chce — szlakiem Gorbaczowa, aby przy pomocy odwilży czy wschodnioniemieckiego wariantu *periestrojki* zachować kierowniczą rolę partii.

Najpierw wydawało się, że społeczeństwo NRD da się w ten sposób zaspokoić. Ale ostatnie dni — począwszy od niesłychanej swym ogromem i znaczeniem demonstracji w Berlinie Wschodnim — wykazały, że tak nie jest. Na czoło żądań społecznych wysuwają się dwa podstawowe postulaty: rozpisanie wolnych wyborów i prawne zagwarantowanie wszystkich zapowiedzianych reform w dziedzinie wolności obywatelskich i przemian instytucjonalnych. Nie dajmy się oszukać — mówią działacze opozycyjni — i zdaje się, że władza będzie musiała ustąpić.

Bohdan OSADCZUK

10 listopada 1989 r.

KRONIKA NIEMIECKA

W wyniku 9-tej rundy rozmów między pełnomocnikami rządów RFN i PRL, Horstem Teltechnikem i Mieczysławem Pszonem (który zastąpił na tym stanowisku E. Kuczę z PZPR) ustalono, że planowana od wielu miesięcy podróż kanclerza Kohla do Polski rozpocznie się 8 listopada br. Na tydzień przed rozpoczęciem wizyty doszło do dodatkowych komplikacji związanych z planowanym przez Kohla pobytem na Górze św. Anny. Ostatecznie kanclerz uda się do Krzyżowej (Kreisau) w woj. wałbrzyskim, gdzie weźmie udział w odprowadzaniu i niemiecku mszy św. Towarzyszyć mu będzie premier Mazowiecki. Na początku października ambasadę RFN w Warszawie opuściła pierwsza grupa 630 obywateli NRD. Decyzję w sprawie wyjazdu na Zachód rząd polski podjął w porozumieniu z Berlinem Wsch. W stolicy Polski przebywa ciągle nowa grupa licząca od 200 do 1000 obywateli NRD. Wielu przybyło przez zieloną granicę. Rząd premiera Mazowieckiego zajął w tej sprawie jednoznaczne stanowisko — „nikogo nie wydamy”. Wkrótce nadeszły jednak informacje o przypadkach zatrzymań i wydaleni co najmniej 600 obywateli NRD (nie licząc dzieci). Min. Skubiszewski lawiruje między postanowieniami KBWE a dobrosąsiedzkimi stosunkami z komunistami w Berlinie Wsch. 7 października Niemcy Wschodnie obchodzą 40-lecie istnienia. Paradę wojskową w Berlinie Wschodnim obok Honeckera i Gorbaczowa przyjmowali także Jaruzelski, Rakowski i Skubiszewski. W tym samym czasie policja brutalnie tłumiła niezależne demonstracje. Zatrzymanym kazano rozbierać się do naga, wielu pobito. Demonstranci protestowali przeciwko sfałszowaniu wyników wyborów lokalnych w maju. Serdecznie witano też Gorbaczowa. Już wkrótce masowe demonstracje objęły praktycznie rzecz biorąc całe Niemcy Wsch. Zaczęło się od Lipska, gdzie w kolejne poniedziałki demonstrowało na ulicach 150, 200 i 300 tys. osób. Polscy handlarze nadal masowo odwiedzają Berlin Zach. Rekord padł w pierwszym tygodniu października, kiedy to do miasta przybyło aż 63.000 handlarzy. Władze miasta (SPD-AL) twierdzą, że handel jest zabroniony, ale... tolerowany. Przybysze z kraju handlują nie tylko na terenach wielkiego targu w centrum, lecz również na ulicach i bramach w okolicznych dzielnicach. Zjawisko to stało się głównym tematem lokalnej prasy i telewizji. Pojęcia „Polak” i „szmugler” zbliżają się ku sobie coraz bardziej. We Frankfurcie nad Menem odbyły się kolejne, 41 Międzynarodowe Targi Książki. Imprezie patronowała tym razem Francja, a to z racji dwusetnej rocznicy rewolucji. Jak zwykle, nie zabrakło także wydawnictw emigracyjnych. Polskie wydawnictwa oficjalnie prezentowała centrala Ars Polona. Na przełomie pierwszej i drugiej dekady października z wizytą do Polski udał się przewodniczący zachodnioniemieckich demokratów, H.J. Vogel. Przeprowadził on rozmowy m.in. z T. Mazowieckim, K. Skubiszewskim, bp. Dąbrowskim i L. Wałęsą. SPD zrywa powoli z praktykowaną przez lata zasadą rozmawiania jedynie z rządzącymi. Lepiej późno niż wcale. W Warszawie mają być otwarte przedstawicielstwa zachodnioniemieckich fundacji partii CDU — im. Adenauera i SPD - Friedricha Eberta. W Bonn podpisane zostało polsko-zachodnioniemieckie porozumienie o współpracy naukowo-technicznej. Jest ono jedną z dziesięciu umów, jakie podczas wizyty w Warszawie mają podpisać Kohl i Mazowiecki. Porozumienie obejmuje

czterdzieści tematów, głównie z zakresu badań nad ochroną środowiska, a także nowych technologii w górnictwie i rolnictwie. W Warszawie gościła przewodnicząca Bundestagu, Rita Süßmuth (CDU), która zaplanowaną na listopad wizytę Kohla nazwała historyczną, podkreślając, że jest ona kamieniem milowym do nowego okresu wzajemnych kontaktów. Rekord ucieczek obywateli NRD drogą przez Węgry i Austrię pobity został w dniach 14/15.10.br., kiedy to do RFN przybyło ponad 3 tys. uciekinierów. 18.10.br. ustąpił ze stanowiska szefa partii SED i przewodniczącego Rady Państwa NRD i przewodniczącego Narodowej Rady Obrony, 77-letni Erich Honecker. Następcą został jego wychowanek z FDJ, najmłodszy członek BP KC SED, Egon Krenz (55 lat). Krenz opowiedział się za polityką reform. „Jabłko dojrzewa” — zauważył podczas wizyty na Kremlu. Był także w Warszawie, gdzie wyraził radość z możliwości poznania Mazowieckiego. „Polskie doświadczenia przydać się mogą i w NRD” — powiedział Krenz. Prawdziwych reform domaga się coraz silniejsza opozycja na czele z ruchem „Nowe Forum”. Pod jego programem podpisało się już ponad 200 tys. osób. Fala masowych demonstracji przetacza się nadal przez miasta NRD: Lipsk, Rostock, Poczdam, Frankfurt nad Odrą, Schwerin, Plauen, Neubrandenburg, Magdeburg, Drezno, Berlin Wsch. i wiele innych. Do największej w historii kraju demonstracji doszło w Berlinie Wsch. 4.11.br. kiedy to na ulice wyszło milion demonstrantów. Władze zezwoliły na manifestację. NRD-owskie media zmieniły — jak na komendę — profil. Ustały bezpośrednie ataki na RFN, usunięto też wielu dotychczasowych funkcjonariuszy. Czystki objęły zarówno BP KC SED, jak i komitety wojewódzkie SED. Opozycja domaga się wolnych wyborów, rezygnacji SED z monopolu na władzę, dostępu do środków masowego przekazu, ukarania winnych brutalnej akcji policji w dniach 7-8.10.br., prawa do wolnego podróżowania dla każdego i legalizacji wszystkich niezależnych ugrupowań. W drugiej połowie października rozpoczęły się w Berlinie Zach. największe w historii miasta Dni Kultury Polskiej pt. „W sercu Europy — 50 lat później”. Organizatorem jest miejscowa Akademia Sztuki, jednym z głównych inicjatorów polski kompozytor prof. Witold Szalonek. W programie „Dni”, które potrwają do lutego 1990, znalazły się m.in. koncerty chórów i zespołów muzyki kameralnej z Akademii Muzycznej w Warszawie i Katowicach, przegląd najwybitniejszych osiągnięć polskiego kina i znaczących etiud powstałych w Łódzkiej Szkole Filmowej (Wajda, Kieślowski, Zanussi i inni). Otwarta została również wystawa plakatów Andrzeja Pągowskiego oraz wystawa prac studentów Akademii Sztuk Pięknych z Warszawy. Pod koniec października odbyło się w Kolonii kilkudniowe sympozjum poświęcone polskiej kulturze, sztuce i gospodarce, zorganizowane przez tamtejszą Izbę Przemysłową przy współpracy Papieskiej Rady d/s Kultury, miejscowego duszpasterstwa i działaczy zachodnioniemieckiej gospodarki. Wśród przybytych z kraju gości znaleźli się między innymi Jan Józef Lipski, Jacek Woźniakowski, Jerzy Holzer, Władysław Bartoszewski, Tadeusz Syryjczyk. W sympozjum wziął także udział w charakterze słuchacza, prezydent RFN, Richard von Weizsäcker. Mówiono nie tylko o dzielących oba narody problemach, ale i o ewentualnej pomocy RFN dla Polski. Strona polska starała się zainteresować zachodniego partnera kwestią inwestowania w kraju. Jak pisze *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, zachodnioniemieccy przedsiębiorcy, którzy śladem apelu przewodniczącego „S” udali się do Gdańska, by uzyskać konkretne informacje na temat współpracy z polskimi przedsiębiorstwami, nie znaleźli niczego i nikogo, kto mógłby im przedstawić poważne oferty. Występując na imprezie z okazji 40-lecia istnienia Ziomkostw, kanclerz Kohl powiedział, że RFN nie wysuwa żadnych

roszczeń terytorialnych pod adresem Polski, zarówno teraz, jak i w przyszłości. Podstawą polityki RFN jest przestrzeganie litery i ducha układu z Polską z roku 1970, mimo że nie został jeszcze podpisany układ pokojowy. ■ 3 miliardy marek wynosić będą gwarancje kredytowe rządu w Bonn, na jakie władze PRL mogą liczyć w najbliższych trzech latach, ale nie dla siebie, lecz dla firm, których działalność rokować będzie sukces. O szansach poszczególnych firm rozstrzygać ma wspólna polsko-niemiecka komisja. RFN umorzył też w połowie miliardowy kredyt z roku 1975. Pozostała połowa spleciona ma być w złotówkach począwszy od 1999 roku na rzecz instytucji pielęgnowanych kulturze niemiecką w Polsce. Deutsche Bank po otwarciu swego przedstawicielstwa w Budapeszcie czeka na podobną zgodę w Warszawie. ■ Jak twierdzi ambasada NRD w stolicy Polski „kilkuset obywateli PRL wystąpiło z wnioskiem o prawo do zamieszkania w NRD na stałe. Atrakcyjne mają być w Niemczech Wsch. możliwości zatrudnienia i otrzymania mieszkania. ■ Główną przyczyną ucieczek dla większości obywateli NRD jest brak szans na reformy, marne zaopatrzenie, niezadowalające zarobki. W ciągu niespełna dwóch miesięcy przez Węgry uciekło ponad 40 tys. osób. W ciągu tylko dwóch dni listopada, po otwarciu przez władze w Pradze granicy z RFN dla uciekinierów z Niemiec Wsch., na Zachód przyjechało 15 tys. osób. ■ W dniach 8-20.10.br. w Berlinie Wsch. opozycyjne ugrupowanie „Demokracja Teraz” (*Demokratie jetzt*) zorganizowało w tamtejszym kościele św. Bartłomieja sympozjum pt. „Zmiany widzenia. Polacy i Niemcy, polityka i poezja”. Imprezie towarzyszyła przez cały czas wystawa fotograficzna Anny Beaty Bohdziewicz na temat przemian w Polsce '80-'89. Gośćmi z Polski byli m.in. Leszek Szaruga, który mówił o funkcji prasy i literatury niezależnej w Polsce, Wojciech Wieczorek z *Więzi* i Andrzej Krzemieński z *Polityki*. Enerdowscy opozycjoniści bardzo żałują, że „polscy przyjaciele z 'Solidarności'” w ogóle się nimi nie interesują. „Społeczeństwo NRD musi samo znaleźć drogę ku reformom” — oświadczył L. Wałęsa. ■ Lista bestsellerów polskiej księgarni Stodleck's w Berlinie Zach. zestawiona przez W. Drozdka za trzeci kwartał br.: 1. Norman Davies — „Boże igrzysko”, Znak, Kraków 1989; 2. Maria Turlejska — „Te pokolenia żałobami czarne”, Aneks, Londyn 1989; 3. Tomasz Jastrun — „W złotej klatce”, Veto, Berlin Zach. 1989; 4. Kazimierz Braun — „Pomnik”, Instytut Literacki, Paryż 1989; 5. Eric Laurent — „Moskwa na Wall Street”, Polonia, Londyn 1989.

Grzegorz ZIĘTKIEWICZ

Kronika kulturalna

Książki słowiańskie w bibliotekach angielskich

W lecie 1940, gdy Polacy pojawili się masowo w W. Brytanii, sytuacja na odcinku polskiego słowa drukowanego wydawała im się wręcz beznadziejna. Zaczynać trzeba było prawie od zera bez podstawowych tekstów do przedruków, bez drukarni zaopatrzonych w polskie czcionki. Dlatego można wierzyć red. Grydzewskiemu, gdy opowiadał o szoku, jakim było odkrycie w katalogach biblioteki British Museum nieprawdopodobnego bogactwa książek polskich. Inny wierny czytelnik „Britiszu”, Stanisław Mackiewicz (Cat) „chronił się (do Czytelnicy) od coraz cięższych trosk dnia powszedniego” i uważał kolekcję polską za idealny warsztat — a British Museum za „jedną z największych bibliotek polskich na świecie”. Po wstępnym okresie euforii ujawniły się jednak dotkliwie luki w zakresie najpotrzebniejszych mu książek z Dwudziestolecia. Luki te są już w wysokim stopniu wypełnione dzięki staraniom odpowiedzialnej za kolekcję polską dr Hanni Świdorskiej.

Okazuje się, że książki polskie gromadzono od początków Biblioteki z darów¹ lub na skutek dezyderatów emigrantów polistopadowych a wreszcie, bardziej systematycznie, z zakupów w niemieckim antykwariacie Adolfa Aschera (z filią w Petersburgu), pośredniczącym w nabywaniu książek z zaboru pruskiego i rosyjskiego. W połowie XIX w. Thomas Watts, prawa ręka właściciego twórcy narodowej biblioteki brytyjskiej, Włocha Antonia Panizziego, sformułował zasadę gromadzenia zbiorów: „Powinna ona (tj. Biblioteka British Museum) łączyć najlepszą w świecie kolekcję dzieł z zakresu literatury angielskiej z najlepszą poza obszarem Niemiec

1. Hanna Świdorska: *Polish Collections in the British Library*, London 1989, The British Library, s. 12. (Informator z serii obecnie publikowanej; na str. 2 informacje o *the foundation stone under the future Polish Collection*, tj. o 80-ciu tomach ofiarowanych w r. 1832 przez ks. A.J. Czartoryskiego).

kolekcją niemiecką, hiszpańską itd. w każdym języku, od polskiego do portugalskiego". Określenie „literatura” ogarniało w praktyce wszelkie wartościowe książki z zakresu nauk humanistycznych i społecznych przy stałym poszerzaniu zakresu zainteresowań. Za burzę wypadła natomiast medycyna, nauki przyrodnicze, technologia itd. Nie bez znamienych wyjątków: Biblioteka ceni sobie wysoko *hortus sanitatis* Falimirza *O ziołach i mocy ich* (1534) czy *Hippica* Krzysztofa Drohostajskiego (1603).

W r. 1885 powiedziano, że British Museum „trwa bezgłośnie w służbie narodowi”. Nie oddaje to całej prawdy, bo zarówno zbiory muzealne jak biblioteczne służą całemu światu. Rozmiary „Polish Collection” są jednak trudne do określenia, gdyż nowe nabytki toną w ogólnym katalogu, a na domiar złego nie należą do niej polonica w językach obcych, wędrujące automatycznie do kolekcji francuskiej, niemieckiej itp. Kustosz kolekcji polskiej może co najwyżej zalecać zakup tytułów, które ze względu na treść czy narodowość autora należą do polskiego dziedzictwa kulturalnego i powinny się w zbiorach British Museum znajdować.

Z obliczeń dr Świdarskiej w wydanym w br. informatorze wynika, że druków w jęz. polskim wydanych przed r. 1800 Biblioteka posiada 2.231, w tym 4 inkunabuły, 292 — z XVI w., 880 — z XVII w. i 1.055 z XVIII w. Warto dodać, że nie jest to kolekcja zamknięta, martwa — uzupełniły ją ostatnio liczne cenne druki pochodzące z wymiany, darów i zakupów. Brak danych statystycznych z XIX i XX w. — bez ryzyka pomyłki oblicza je jednak można na 100.000. Wpływy z r. 1988 dają pewną orientację w tym względzie, gdyż pozyskano 1262 druki zwarte, kompletowano 17 dzienników i tygodników, 130 czasopism i 306 continuandów (tj. wydawnictw seryjnych). Dodać do tego należy druki polskie i polonica napływające z Copyright Office, a więc większość wydawnictw emigracyjnych z terenu W. Brytanii.

Od początku istnienia Biblioteki wcielano do zbiorów nie tylko książki i periodyki, ale i druki pomniejsze, tzw. dokumenty życia społecznego składające się na dokumentację epoki. Są to materiały pozornie bez wartości, ale Biblioteka wychodzi z założenia, że po latach mogą się przeobrazić w bezcenne świadectwa, jak to się dzieje np. ze skrawkami pergaminów wlepianych do okładek starodruków.

W w. XIX, gdy druki emigracyjne nie mogły figurować w katalogach i na półkach bibliotek polskich w Kraju, British Museum gromadziło i udostępniało wydawnictwa paryskie, brukselskie czy genewskie, tak jak czyni obecnie z wydawnictwami „poza cenzurą”, nie znając instytucji „resów”, do dziś dostępnych czytelnikom bibliotek krajowych tylko za specjalnym pozwoleniem.

Po r. 1914, gdy zarysował się nowy układ stosunków, a zmiany granic i wahania kursu złotego komplikowały sytuację, kolekcja polska nie mogła uzupełniać się drogą normalnych zakupów. Dopiero w latach 1930-tych powstało w Bibliotece Narodowej

w Warszawie Biuro Wymiany Wydawnictw i tylko Fundusz Kultury Narodowej i dbające o udostępnianie wydawnictw własnych towarzystwa naukowe starały się o zaopatrywanie British Museum i innych wielkich bibliotek. Przypomnieć także warto, że niemieckie naloty bombowe na Londyn nie oszczędziły Biblioteki, a dział czasopism polskich poniósł szczególnie dotkliwe straty.

Szeroko pojęte zadania księżnicy, przemianowanej na British Library i przygotowującej się do przenosin do budującego się już gmachu (jak Biblioteka Narodowa w Warszawie) nastęrczają wiele problemów przy ich realizacji. Na wiele sposobów ilustrują je referaty opracowane z okazji *British Library Colloquium on Slavonic and East European Studies*, London, 27-28.IV.1989². Obrazują one stan obecny i aktualne problemy kolekcji rosyjskiej, polskiej, czeskosłowackiej, jugosłowiańskiej i „ze względów praktycznych” połączonej pod wspólnym kierownictwem kolekcji rumuńskiej i węgierskiej. Uzupełniają je referaty J.E.O. Screena z Biblioteki Studiów Słowiańskich Uniw. Londyńskiego oraz Gregory Walkera o slavicach w bibliotekach Oxfordu. Brak, niestety, wypowiedzi z Cambridge, Birminghamu, Leicester i Glasgow, choć ośrodki te były reprezentowane na kolokwium.

Z lektury referatów wynika, że w bibliotekach brytyjskich znajduje się ponad dwa miliony druków zwartych i kilkaset tysięcy tytułów czasopism słowiańskich rozproszonych po bibliotekach i instytucjach naukowych na obszarze Zjednoczonego Królestwa. Nie oznacza to jednak, że są łatwo i powszechnie dostępne. Korzystanie obwarowane jest z reguły albo posiadaniem karty wstępu, albo legitymacją stwierdzającą związek z instytucją, której służy dana biblioteka. Co więcej — co uzasadnia istnienie bibliotek emigracyjnych — druki dostępne są tylko na miejscu w czytelnich, dysponujących zazwyczaj ograniczoną ilością miejsc.

Od kilkudziesięciu lat czy, jak mawiał znajomy bibliotekarz oxfordzki, „od Sarajewa” wzrosło zainteresowanie zbiorami słowiańskimi i potrzeba ich ewidencji i rozbudowy. Okazało się jednak, że sprawa nie da się załatwić przyznaniem kredytów na zakup książek. Za ich selekcją i gromadzeniem stać musi bibliotekarz, łączący znajomość fachu z opanowaniem języka, dawnych i bieżących bibliografii, źródeł zakupu z orientacją w sytuacji i problemach danego kraju, możliwościach nawiązania wymiany i potrzebach czytelników, a nadto przyszłych historyków. Dział polski w „Britiszu” utrzymuje obecnie kontakty wymienne z 40-toma instytucjami polskimi i uzyskuje w ten sposób znaczny procent nowych nabytków. Dalszymi

2. *British Library Colloquium on Slavonic and East European Studies*, 27-28 April 1989, The British Library. (Maszynopis powielany, kilkanaście paginacji. Red. Michael MacLaren-Turner. Zawiera m.in.: Hanna Świdarska: *Developing the British Library Polish Collection*; J.E.O. Screen: *The School of Slavonic and East European Studies Library — Aims and Problems in a Federal University*; Gregory Walker: *Soviet and East European Studies in Oxford Libraries*).

ich źródłami są zakupy, dary i szczególnie trudne i skomplikowane sposoby pozyskiwania druków „podziemnych”, nie pojawiających się w katalogach i oficjalnych bibliografiach bieżących, a gorliwie konfiskowanych przez specyficznych znawców tej kategorii dokumentów życia społecznego i politycznego — cenzorów i celników.

Stosunkowo niedawno dyrekcja British Library uznała za wskazane gromadzenie dokumentacji ilustrującej aktualną sytuację poszczególnych krajów i narodowości. Znalazło to wyraz w inauguracyjnym Colloquium wprowadzeniu dra M. Mc Cauleya z Biblioteki Studiów Słowiańskich Uniw. Londyńskiego. Kolekcja polska wyprzedziła w tym względzie inne: już w r. 1984 dr Hanna Świdorska mogła zorganizować opartą o wydawnictwa „poza cenzurą” wystawę „Works of George Orwell in the languages in Eastern Europe”, a następnie pokazy wydawnictw bibliofilskich z polskich niezależnych oficyn. Stan posiadania w zakresie druków podziemnych wyrażał się w lutym 1989 r. 293 tytułami książek i broszur, 324 tytułami czasopism i pokaznym zbiorem tzw. druków akcydensowych: ulotek, plakatów itp.

Kłopoty z racjonalną rozbudową kolekcji słowiańskich w British Library nasuwają wyraźne analogie z doświadczeniami polskich bibliotek emigracyjnych. Zawodzą podstawowe źródła informacji o nowych książkach. Zarówno *Przewodnik bibliograficzny* jak *Nowe książki* przynoszą spóźnione o co najmniej kilka miesięcy opisy wydawnictw z pominięciem niezależnych, większości katolickich i, oczywiście, emigracyjnych. Dowiedzieć się o nich można raczej z wykazów książek nadesłanych do *Kultury* czy *Zeszytów Literackich* oraz powielanego kwartalnika *Books in Polish and relating to Poland*, wydawanego przez Bibliotekę Polską w Londynie i rejestrującego nowe nabytki bez względu na miejsce druku. Starania o pozyskanie w drodze kupna lub wymiany rozbijają się o trudność zasadniczą, tj. błyskawiczne znikanie z półek księgarskich ważniejszych tytułów, a częste podwyżki cen i wahania w kursie złotego przy przeliczeniach na inne waluty utrudniają preliminowanie zakupów. Książki „drugiego obiegu” nastrożają specyficzne problemy, takie jak konfiskaty i brak bezpośredniego kontaktu z podziemnymi wydawcami i kolporterami. Pozostają dary — źródło nabytków zarówno cenne jak kapryśne. W gorszej od polskiej sytuacji jest kolekcja rosyjska, od niedawna dopiero podejmująca próby gromadzenia „samizdatów”. Dodać do tego należy ogromny procent defektów, książek z niezadrukowanymi stronicami, brakiem całych arkuszy — a jak je reklamować, zwłaszcza w wydawnictwach „drugiego obiegu”, gdy wydawcy z reguły dla bezpieczeństwa zatają tropy adresu? Dalszy problem to rozsypujące się przy pierwszym kontakcie egzemplarze, tandetne okładki, błady lub przeczerńiony druk itp.

Przyszłość rysuje się w czarnych barwach nie tylko dlatego, że należy się liczyć z poważną zwyżką cen, ale i z powodu mnożenia się inicjatyw wydawniczych i uproszczonych form druku przy

zastosowaniu nowych technik i form kolportażu — nawet jawnego, ale wymagającego bezpośredniej znajomości rynku i szybkiego zakupu. W tych warunkach szczególnego znaczenia (podobnie jak w bibliotekach emigracyjnych) nabierają dary, pozwalające na pozyskiwanie wydawnictw o niskich nakładach, „na prawach rękopisu”, „poza cenzurą” itd. Są to problemy wspólne wszystkim kolekcjom słowiańskim i wschodnioeuropejskim — dobrze że są dostrzegane i doceniane przez dyrekcje nie tylko British Library, ale i innych bibliotek gromadzących polskie książki i czasopisma.

Dwie spośród nich wysuwają się w Londynie na plan pierwszy: Biblioteka Szkoły Studiów Słowiańskich Uniw. Londyńskiego i London School of Economics and Political Science, obsługujące jednak tylko wykładowców i słuchaczy. Księgozbiór pierwszej obejmuje ok. 277.000 książek ustawionych na 5.400 metrach półek z wolnym dostępem dla czytelników. Łączy je z British Library dobre zorganizowana współpraca w Slavonic Union Catalogue, możliwość szybkiego sporządzania fotokopii itp. Wspólną bolączką są zaległości w katalogowaniu i trudność wyszukania bibliotekarzy nie tylko znających języki słowiańskie, ale ponadto orientujących się w aktualnej sytuacji poszczególnych krajów, co np. w przypadku Jugosławii nastrożać chyba więcej trudności niż w dziele polskim. Toteż podziwiać należy, że np. Szkoła Studiów Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich przezornie kontynuowała w latach 1972-1985 gromadzenie książek albańskich, choć w programie wykładów nie miało to odpowiednika — a przecież okazało się ostatnio przydatne. Potwierdziło to doświadczenie L.S. Loevensona, kierownika biblioteki w latach 1940-1956, który gdy mu zarzucano że dopływ książek przekracza możliwości ich katalogowania i włączenia do zbiorów odpowiadał: „Ja zbieram, niech katalogują je moi następcy”. Co w garści — to pewne!

Wreszcie Oxford, gdzie sięgają po polonica zarówno młodzi Anglicy opracowujący tematy polskie, jak i liczni *visiting scholars*, stypendyści oraz rusycyści, których adresem jest St. Anthony's College Russian Centre. Bodleian Library — jak informuje Gregory Walker — dysponuje ok. 180.000 książek słowiańskich i ok. 7.000 wydawnictw seryjnych, w tym 2.500 systematycznie uzupełnianych. Swoistą specjalnością biblioteki jest staranne gromadzenie publikacji z *peripheral republics of USSR*, w tym ok. 20.000 tytułów „w językach Azji Sowieckiej i Kaukazu”. Wiąże się z nimi kolekcja książek dotyczących tych obszarów. Z Bodleianą współpracuje i sąsiaduje Taylor Institution Library, instytucja niezmiernie żywa i łatwo dostępna, dysponująca 49.000 książek w wolnym dostępie do półek. W zbiorach zarówno Taylorian jak i St. Anthony's przeważają książki i czasopisma nowe i najnowsze. Stąd popularność obu tych instytucji u sławistów studiujących w Oxfordzie. O potrzebie dokumentarnej rejestracji zmian zachodzących w Europie Wschodniej bez stosowania cenzury i zrozumieniu specyficznej sytuacji działających tam na miejscu bibliotek świadczy fakt, że Bodleian Library

gromadzi od wielu lat, systematycznie, książki i pisma w 35-ciu językach azjatyckich i kaukaskich, a więc Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Uzbekistanu i Kazachstanu, w setkach tytułów. Kolekcja polska w British Library nastawiona jest podobnie od lat 1960-tych. Nie liczby jednak decydują o znaczeniu kolekcji, ale umiejętność wyszukania i pozyskania odpowiednich materiałów, co dr Hanna Swiderska osiąga z imponującymi rezultatami.

Zarówno Londyn jak Oxford są obecnie niezmiernie ważnymi i żywotnymi ośrodkami badań nad problemami Europy Wschodniej. Najlepiej rysuje się sytuacja w dziedzinie sowietologii oraz spraw polskich i czeskosłowackich, gdyż dotyczące ich materiały sięgają dalej i wstecz i są bardziej systematycznie uzupełniane.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Feijó (Portugalia)
3.VI.1989

Nagrody

Nagroda bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Z okazji czterdziestej rocznicy istnienia Bawarska Akademia Sztuk Pięknych ufundowała w ubiegłym roku międzynarodową nagrodę dla emigrantów. Jury tej nagrody postanowiło przyznać tegoroczne wyróżnienie dwóm najważniejszym europejskim pismom emigracyjnym, polskiej *Kulturze* i czeskim *Svedectvom*. „Współ z tymi pismami pragnęliśmy uhonorować ich założycieli i wydawców”. Nagroda wynosi łącznie 25.000 DM. Wręczenie nagród odbędzie się w czwartek 8 lutego 1990 o godz. 19 w Akademii. Laudatio *Kulturze* wygłosi Tadeusz Nowakowski, laudatio *Svedectvu* Ota Filip.

Nagrody im. Kościelskich

28.10.br. na dorocznym zebraniu w Genewie jury nagrody im. Kościelskich przyznało trzy nagrody literackie w wysokości po Frs 3.000 — otrzymali je pp. Włodzimierz Bolecki za całokształt twórczości krytyczno-literackiej, Jerzy Pilch za zbiór opowiadań pt. „Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej” oraz Krzysztof pt. Rutkowski za esej krytyczny „Braterstwo albo śmierć: zabijanie Mickiewicza w Kole Bożym”.

Nagrody Pen-Clubu

Nagrody te przyznawane są osobom popularyzującym dzieła literackie. 16.10.br. nagrodzono kilku twórców: za przekłady poezji polskiej na język obcy Kenneth Mackenzie (tłumaczenie „Pana Tadeusza” na angielski); Genadij Ajgi (antologia poezji polskiej w języku czuwackim); Stanisław Barańczak za przekłady poezji obcej na język polski; Eligia Bąkowska i Jerzy Schwakopf za przekłady prozy obcej na język polski; nagrodę im. komandora Kazimierza Szczęsnego przyznano Zdzisławowi Najderowi za pracę o Conradzie; nagrodę edytorską otrzymała Anna Staniewska, a nagrodę za wybitne zasługi dla piśmiennictwa polskiego przyznano Jerzemu Giedroyciowi.

Nagrody im. Jerzego Łojka

6.10.br. jury nagrody im. Jerzego Łojka uhonorowało (medal i dyplomy) następujące prace: Jan Brzoza, *Polski rok 1919*, wyd. I, „Przedświt”, Warszawa 1987; wyd. II, Londyn 1988; Marek Ney-Krwawicz, *Struktura i funkcjonowanie centralnego aparatu dowodzenia Szluby Zwycięstwa Polsce — Związku Walki Zbrojnej — Armii Krajowej w latach 1939-1945* (praca w druku); Karol Liszewski, *Wojna polsko-sowiecka 1939 r.*, wyd. I, Londyn 1986; wyd. II, „Pokolenie”, Warszawa 1988.

Ponadto postanowiono wyróżnić: Wydawnictwo „Spotkania” za wieloletnią pracę wydawniczą, a zwłaszcza za podjęcie tematyki mniejszości narodowych w Polsce oraz problemu Kościoła katolickiego na obszarze ZSSR; Wiesława Chrzanowskiego za pracę *Stronictwo Narodowe w latach 1945-1947 na terenie Kraju - Zarys działalności* (praca w druku); Jerzego Węgierskiego za pracę *W lwowskiej Armii Krajowej*, Warszawa 1989.

DRUKARNIA POLSKA

KONTRAST

Breitensteinstrasse 33
D - 8209 Schlossberg-Rosenheim
☎ 08031/7777

wykonuje: Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich, głównie w polskim i rosyjskim. Solidne wykonanie — ceny umiarkowane! Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, odezwy, ulotki, blankiety, karty święteczne i wizytowe oraz wszelkie inne prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Ci, co odeszli

Emanuel Mateusz Rostworowski (1923-1989)

Przedczesne odejście ludzi wybitnych ukazuje w całej ostrości wagę dokonanego przez nich dzieła. Tak też historyk Emanuel Rostworowski opuszczając nas w 67-mym roku życia wchodzi do panteonu polskiej kultury i nauki.

Syn Karola Huberta, brat poety Jana i historyka sztuki, autora słynnych wystaw Marka — rozpoczął studia historyczne na tajnym Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1942, mając za mistrza Władysława Konopczyńskiego, któremu pozostał wierny i wtedy, gdy ten niezłomny uczony stał się przedmiotem represji reżymu i gdy tylu kolegów i uczniów odeń się odwróciło. Pod jego kierunkiem napisał swą pierwszą pracę o stosunku Francji do pierwszego rozbioru: inaugurowała ona szereg artykułów, rozpraw, monografii i syntez, poświęconych dziejom XVIII wieku w Polsce, w Europie i w świecie.

Podobnie jak Askenazy, Feldman czy Konopczyński, był „archiwozercą”, mistrzem kwerendy, nieraz bardzo utrudnionej (np. gdy chodziło o archiwa rodzinne), co mu pozwalało dokonać szeregu rektyfikacji i odkryć, mogących się wydawać „szczegółowymi”, mających jednak pierwszorzędą rolę dla syntezy. Wspomnę tylko rozstrzygnięcie długo dyskutowanej kwestii, kim był autor słynnej anonimowej broszury z roku 1800, „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?”. Przypisywano ją różnym głośnym osobistościom; Rostworowski tymczasem udowodnił, że był nim mało znany pisarz polityczny Józef Pawlikowski, którego myśli zapłodniły ideologię całego XIX wieku. Wiele podobnych odkryć znalazło się w rewelacyjnej książce „Fakty i legendy XVIII wieku” (1963). Mądrze zainteresowany problemami metody historycznej, opanował nowoczesne techniki badawcze, m.in. tzw. „ilościowe”, czemu dał wyraz np. w rozprawie „Zdrowie i niezdrowie polskich magnatów XVI-XVIII w.” (1969), wchodząc na trudny teren statystyki czasów minionych.

Stosownie do postulatu wysuwanego ongiś przez Feliksa Konecznego, „pracował długo i intensywnie w analizie historycznej, żeby otworzyć sobie drogę do syntezy”, tj. do samodzielnych przemyśleń i uogólnień, do oryginalnej wizji dziejów powszechnych. Autor gruntownych, nowatorskich prac o Konstytucji 3 Maja, o stosunkach polsko-francuskich i polsko-szwajcarskich czy też o roli Prus w polityce międzynarodowej XVIII w., przedstawił jako owoc swych przemyśleń obraz dziejów świata „Historia powszechna, wiek XVIII” (1977). Książka ta realizuje najostrzejsze wymogi współczesnej nauki historycznej, zrywając z „europocentryzmem” i ograniczeniem historii do niektórych jej aspektów. Jest to ujęcie idealnie całościowe, obejmujące nie tylko polityczną, społeczną i gospodarczą stronę dziejów (rewelacyjny rozdział o demografii) ale i wszystkie dziedziny kultury duchowej i materialnej, religie ówczesnego świata, filozofię i myśl polityczną, literaturę, sztuki plastyczne i architekturę, muzykę, nauki przyrodnicze i technikę. Jest obecnie rzeczą niezmiernie rzadką, by jeden autor (a to jest warunkiem prawdziwej syntezy) podjął się zadania tak ogromnego; zważywszy zaś, że Rostworowski wbudował organicznie wydarzenia Europy Środkowej i Wschodniej w obraz dziejów świata, rzecz można, iż jest to książka unikalna. Gdyby ukazała się w jednym z języków „zachodnich”, stałaby się dziełem klasycznym, o światowym rozgłosie.

W r. 1964 wybitny organizator nauki historycznej w Polsce, Tadeusz Manteuffel, powierzył Rostworowskiemu nietatwe zadanie, naczelną redakcję *Polskiego Słownika Biograficznego*. To pomnikowe wydawnictwo przeżywało wówczas głęboki kryzys skutkiem zbytnej dyspozycyjności poprzedniego redaktora wobec reżymu. W ciągu 25 lat postawił je Rostworowski na najwyższym poziomie, tocząc uporczywe boje z cenzurą. Nawet w latach 70-tych zdołał skutecznie stawić czoła jej „zapisom” i tylko w bardzo nielicznych przypadkach (np. biogram Kazimierza Moczarskiego) „organy” nie dopuściły tekstu do druku. Boje te dały mu doświadczenie w dążeniach do regeneracji nauki polskiej zarówno w ramach Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego jak i przy opracowaniu w r. 1988 projektu restytuowania Polskiej Akademii Umiejętności. Projekt ten został przez ówczesne władze odrzucony, zaś odnowienie PAU starano się sprowadzić do nadania jej nazwy Oddziałowi PAN w Krakowie.

Praca w PSB skierowała Rostworowskiego ku rozszerzeniu jego pisarstwa na okres zaborów i problematykę niepodległościową. Uczynił to w sposób wysoce oryginalny, przedstawiając „mikrohistorię” swojej rodziny od czwartego pokolenia (Rostworowscy, Moszyńscy, Popielowie, Dunin-Borkowscy). W książce „Popioły i korzenie” (1985), niemożliwej do napisania bez jego talentu, taktu i subtelnej ironii, zobrazował on, jak to tęsknoty, cierpienia, walki i namietne spory Polaków o sens powstań zbrojnych odzwierciedliły się w losach tych czterech rodzin. W tej pasjonującej książce zawarł Rostworowski swoją odpowiedź na jakże często stawiane pytanie,

czy bez powstań przetrwalibyśmy jako naród i czy byliśmy narodem szaleńców. Stawiając bardziej precyzyjnie to zagadnienie stwierdza on, że bez powstań byłibyśmy innym narodem, bez Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, bez wielkiej literatury emigracyjnej, na której wychowało się kilka pokoleń. Istotne jest pytanie, gdzie tkwią korzenie dzisiejszego narodu: „W każdym razie nie staliśmy się tym innym narodem i nasze korzenie nie tkwią w glinie jakiejś szczytnowiczalej, może polskojęzycznej w szkole i w urzędzie, rozległej — może za Bug i Niemen sięgającej — 'Priwislinji'. Korzenie te tkwią natomiast nie tylko w popiołach powstańczych, lecz i w poznańskiej samorządnej gospodarczości i w autonomii galicyjskiej. Tam, gdzie Polacy mieli możliwość pożytecznie i z godnością działać, tam nie byli szaleńcami” (s. 196).

Nauka była dla Rostworowskiego drogą do mądrości. Był to człowiek nie tylko głęboko mądry, ale i niezwykle dobry. Czarujący w obejściu, nawet jak gdyby trochę nieśmiały, miał dobrotliwe wyrozumienie dla ludzkich słabości. Ale gdy trzeba było, umiał podnieść głos w obronie prawdy i dobrego obyczaju. I głos ten będzie odtąd rozbrzmiewał coraz donośniej i coraz szerzej.

Tadeusz ZAWADZKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 7504 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Książki

Pusta noc

Pusta noc to według zwyczaju mazurskiego noc czuwania nad zmarłym — wyjaśnia Erwin Kruk w swej najnowszej książce¹, która w chwili mego wyjazdu z Polski we wrześniu była dostępna tylko w księgarni PIW-u przy ulicy Foksal w Warszawie. Nieco wcześniej wydane zostały w tej samej oficynie „Gady” Mirosława Sokołowskiego², autora jednej, jedynej książki, którą pisał tuż przed śmiercią i nie zdążył ukończyć. Te dwa teksty, tak różne pod wieloma względami, łączy nie tylko ich autobiograficzny charakter, lecz przede wszystkim przejmujące poczucie obcości. Dramat ten, od dawna obecny w literaturze, zdominował świadomość człowieka naszej cywilizacji. Jak pamiętamy, został on wszechstronnie opisany i skomentowany w głośnym na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych „Outsiderze”. Przyczyny wyostrego poczucia obcości są zarówno natury egzystencjalnej, jak i obyczajowej, społecznej i politycznej. Problem ten istnieje w polskiej literaturze przynajmniej od 30-tu lat, chociaż na pełnym jego obrazie odcisnęła się skaza autocenzury, która czasem — jak trafnie zauważa Erwin Kruk — wywołuje niechęć do pisania, „odczuwaną wewnątrz płochliwość, aby zanadto się nie odsłonić”. Bywa jednak i tak, że pisze się w przyptywie nagle odczuwanej potrzeby rozdartej jaźni. Tak piszą ludzie umierający z samotności i niezrozumienia, a jednocześnie buntujący się przeciw odraźniającej, wywołującej wręcz fizyczny wstręt codzienności. W taki właśnie sposób wydobywał z siebie krzyk rozpaczny Mirosław Sokołowski, dwudziestokilkuletni narkoman pogrążony beznadziejnie w nałogu, ale tak też w pewnym sensie tworzył rozlewny, pełen lirycznych wspomnień, autentycznych dokumentów

1. Erwin Kruk: „Kronika z Mazur”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989.

2. Mirosław Sokołowski: „Gady”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989.

i autorefleksji tren poświęcony Mazurom Erwin Kruk, nawiązując w „Kronice z Mazur” do wcześniejszych powieści i wierszy, zwłaszcza do „Pustej nocy”, wydanej w roku 1976.

Znany pisarz średniego pokolenia z Olsztyna, przywołujący w swej twórczości ginącą krainę swoich narodzin, i tym razem wraca do niej pamięcią, by ocalić od zapomnienia świat skazany w dosłownym tego słowa znaczeniu na zniszczenie przez ludzi odpowiedzialnych za historię PRL. Zdziesiątkowana została mazurska społeczność i zniszczone mazurskie krajobrazy. Do Mazur wkroczyła cywilizacja w prymitywnym socjalistycznym wydaniu. Wyrzuceni z ojcowizny Mazurzy rozproszyli się po świecie. Usiłowali się bronić, próbowali założyć Mazurskie Zrzeszenie Kulturalne, stali petycje do władz. W memoriale przesłanym w 1956 roku na ręce Władysława Gomułki, a podpisanym przez grono wiernych synów Warmii i Mazur, m.in. przez Bohdana Wilamowskiego, czytamy:

„Dzieje ludu Warmii i Mazur obfite są w cierpienia i tragizm. Często na barki Warmiaków i Mazurów kładły się krzywda, nędza i ból. Do dziś nie zrzuciliśmy ich z siebie. Ciągle jeszcze dźwigamy ten ciężar. Utykamy, upadamy u kresu sił. Wiele wokół nas niechęci, krzywd i gwałtów. (...) Warmiacy i Mazurzy chcą nie tylko chleba, lecz gorąco pragną pełnej wolności. Pragną szacunku dla swojej, ukształtowanej w ciągu siedmiu wieków 'inności' i swobody pielęgnowania swoich tradycji. Pragną także, by łączenie rozbitych na skutek działań wojennych rodzin nie było, jak dawniej, hazardem politycznym, lecz zostało potraktowane w sposób humanitarny i szybko doprowadzone do końca. Nadszedł wreszcie czas, by się wyprostować i zrzucić z siebie krzywdy i cierpienia”.

Takie są fakty, które z kronikarską skrupulatnością odnotowuje Kruk. Pojawia się też w tej książce nieznaną do tej pory w jego twórczości dystans do rysowanego z pamięci świata, podkreślony przez zastosowanie 3-ej osoby l.poj. „On” jest tym dawniejszym, z czasów gdy wszelkimi siłami wraść w otaczającą rzeczywistość i pazurami chwycił swój los, uparcie modelując go na miarę swoich wyobrażeń i ambicji, gdy zatem porzucił szkołę zawodową i z trudem dostał się do liceum. „On” — sierota, zmuszony do mieszkania w domu dziecka, a potem w internacie, coraz ostrzej odczuwający swą inność i samotność. Ale „On” jest też tym pisarzem sprzed kilkunastu lat; autora „Pustej nocy” niewiele już łączy z autorem „Kroniki z Mazur”.

„...Trzymając książkę spoglądał nieuważnie na ciągi zdań i zdało mu się, że ten, kto je napisał, nie mógł być nim, ale człowiekiem obcym, o innym doświadczeniu”.

Bo gdy ktoś jest świadkiem czyjegoś umierania i gdy dobrowolnie godzi się na czuwanie przy zmarłym, i gdy ten zmarły to jego naród, to wewnątrz jego staje się wypalone, a chęć do życia nadwątlona. Takim jest autor „Kroniki” — zmęczony i zgorzkniały, tylko jeszcze pod dziecięcymi powiekami chroniący dawnego siebie. Doświadczenia nawarstwiają się — zdobywane za granicą podczas

wizyt u krewnych z NRD i RFN, których łączą tylko wspomnienia, a terażniejszość wyraźnie dzieli i atomizuje, i w mieście, w którym władze, koledzy i znajomi najchętniej by się pozbyli takich ludzi, jak on, uparcie przypominających swój mazurski rodowód. A jest ich coraz mniej — albo wyjeżdżają, albo odchodzą na zawsze, jak np. profesor Bohdan Wilamowski, żarliwy obrońca kulturalnej autonomii Warmii i Mazur, prezes *in spe* ciągle nie zarejestrowanego Mazurskiego Zrzeszenia Kulturalnego, którego parodią stało się Towarzystwo „Pojezierze” (nieprzypadkowo nie w jego wydawnictwie ukazała się książka Kruka).

Doświadczenia więc nawarstwiają się i przytłaczają — oprócz wspomnień, oprócz pielęgnowania pamięci pozostaje „mozolne cerowanie drących się dni”. Zwolniona narracja, fragmentami nazbyt nawet rozgadana, oddaje rytm nieciekawej współczesności, odmierzany przez ostatnie kilka lat wezwaniami do Urzędu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

„...Odпочyając, długo nastuchiwał ciszy, w której zniknęła jego kraina i w której kołatało się wciąż jego życie. Odsuwał nieawistną wrzawę, szukając uspokojenia we własnej duszy. Mimo swoich słabości, których był świadom, zbierał w ten sposób siły, aby obrócić spojrzenie ku niepewnym dniom, które pojawiają się przed nim. Ale na razie był zmęczony. To zmęczenie powstrzymało też rękę kronikarza” — kończy się, a może urywa, nostalgiczny tren. I jak na tren przystało, tytuł podkreśla retrospektywny charakter tej osobliwej kroniki, która jest kroniką z Mazur, a nie kroniką Mazur, bo kraina ta przeszła już smugę pamięci.

Książkę Mirosława Sokołowskiego wydawca poleca jako „wiarogodny dokument zjawiska narkomanii w Polsce” i ma niewątpliwie rację, bowiem na ten temat do niedawna jeszcze panowało w kraju milczenie lub starano się to coraz groźniejsze społeczne zjawisko bagatelizować. Jednak przede wszystkim jest ona wstrząsającym dokumentem psychologicznym, zarówno w warstwie treści, jak i języka, i dzięki temu staje się dziełem prawie literackim, na pewno o wiele bardziej wartościowym niż niektóre produkty tzw. rewolucji artystycznej w prozie, lansowanej od lat przez Henryka Berezę z uporem godnym lepszej sprawy.

Lektura „Gadów” odsłania ludzką tragedię, która osiąga dno nieszczęścia, bo trudno o coś bardziej przerażającego niż życie narkomana, ograniczone do krótkich momentów „ćpania”, nieco dłuższych chwil odprężenia, jeszcze dłuższych chwil męczącej „ssawy” i mozolnego „organizowania towaru pod Bajzlem” lub produkowania „kompotu”. Słów i zwrotów zaczerpniętych ze slangu narkomanów można przytaczać całe strony. Jest to język nie tyle wulgarny, co poniżający, odbiera bowiem człowiekowi resztki jego godności, spycha na najniższe piętro zwierzęcej roślinności. Ćpun żyje, żeby ćpać, a gdy grozi mu katastrofa braku kompotu lub gdy przeczuwa nadchodzący rozstrój organizmu, ostatnim wysiłkiem zdobywa się na

„złoty strzał”. Ćpunem pogardzają ludzie, którzy nie wpadli w nałóg, są nawet tacy, co ich tępią, niszczą, katują fizycznie i moralnie. Ćpun szuka więc towarzystwa takich jak on lub wciąga w nałóg małolátów. Gdy zachowuje resztki świadomości, stara się tego nie robić; ale przejmujące poczucie samotności bywa czasem silniejsze od moralnych skrpułów. Tragedię autora pogłębia nieszczęście jego narzeczonej, piętnastoletniej dziewczyny, która po kilku miesiącach coraz ostrzejszego ćpania umiera od za dużej dawki narkotyku. Dzieje się to prawie na oczach Mirka, ale atrofia woli nie pozwala mu zapobiec katastrofie, mimo że Agnieszka była dla niego najbliższą osobą.

I tak się koło obcości zamyka wokół narkomana. Niektórzy próbują się z niego wydostać, decydując się na indywidualne lub grupowe wychodzenie z nałogu. Rzadko jednak komuś się to udaje. Próbuje tego i autor. Najpierw razem z Agnieszką. Wyjeżdżają nad morze, zaszywają się w pustkowiu i stopniowo zmniejszają dawkę aż do zera, ratując się tylko proszkami oszałamiającymi i przeciwbólowymi. Opis ich fizycznego cierpienia to jeden w najbardziej przejmujących fragmentów książki. Cierpienie bez granic doprowadza do szaleństwa, do panicznego poszukiwania ratunku najpierw w alkoholu. Wreszcie w kompcie, który przyjmują jak wybawienie. I potem jeszcze jedna wielka próba, już po tragedii z Agnieszką: ostatkiem woli i rozsądku autor udaje się do szpitala. Na skierowanie oczekuje zresztą dość długo i to jest czas najgorszy. Po miesiącu leczenia udaje się do ośrodka narkomanów „na odwyku”. Nie wytrzymuje, wraca po tygodniu i wtedy w przyływie skrajnej rozpacz zaczyna gorączkowo spisywać wrażenia z ostatnich kilku miesięcy bezowocnej walki z nałogiem. Relacja Mirka urywa się przed pójściem do szpitala. Nie zdążył opisać rodzącej się nadziei i krańcowej rozpacz po nieudanej próbie. Resztę jego życia poznajemy w wielkim skrócie z epilogu, który dopisała matka.

Mirek Sokołowski opowiedział o szczytowym stadium swojego nałogu, nie potrafił jednak zanalizować przyczyn, które go do tego nieszczęścia doprowadziły. Znajdujemy w książce tylko intuicyjne przeczucia i fakt ten wzmacnia autentyczność relacji, bo czy narkoman może dokładnie uświadomić sobie, dlaczego sięgnął po kompot i potem nie potrafił już powstrzymać się przed jego wstrzykiwaniem? Gdyby to potrafił, pewnie nie wpadłby w nałóg, który przecież nie jest jego przeznaczeniem. Ale niektórzy ludzie, rozdarci wewnętrznie, psychicznie rozchwiani i nieodporni, nieudacznicy i pechowcy, wszyscy ci, których świadomość nie wytrzymuje naporu codzienności — nie umieją się przed nałogiem obronić. I ta ich słabość, przez wielu ludzi nie rozumiana i wobec tego napiętnowana, staje się obcością, która pogłębia tylko kompleks nieprzystosowania i mając ułudą wolności, prowadzi do śmierci.

Książka Mirosława Sokołowskiego jest relacją człowieka już umarłego, dla którego oczekiwana śmierć była wybawieniem.

Bogdan ROGATKO

Nadesłane nowości wydawnicze

- ASH (Timothy Garton). *Niemieckość NRD*. Z niemieckiego przeł. Anna Szafrank. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £4, \$US 10).
- VENCLOVA (Tomas). *Rozmowa w zimie*. Wiersze. Tłum. Stanisław Barańczak, Wiktor Woroszyński. Str. 75 i 5 nlb. (Wyd. Zeszyty Literackie, Cena FF.72, \$US 15).
- KARPIŃSKI (Jakub). *Nie być w myśleniu posłusznym*. *Ossowscy, socjologia, filozofia*. Str. 195 i 5 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).
- KRAJEWSKI (Andrzej). *Region USA. Działacze „Solidarności” o kraju, emigracji, o sobie*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £5, \$US 11).
- CHOYNOWSKI (Mieczysław). *Samotność i wyobraźnia*. Str. 178. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- KRZYŻANOWSKI (Marian). *Trzy przygody profesora Bojawiem*. Str. 75 i 5 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- KAWKA (Jerzy Aleksander). *Śnieg. Powieść współczesna*. Str. 304 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- RYMKIEWICZ (Jarosław Marek). *Baket*. Drugi tom cyklu *Wilno i wilnianie w XIX stuleciu*. Str. 234 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £6,50, \$US 13).
- BRANDYS (Kazimierz). *Wariacje pocztowe*. Wyd. III uzupełnione. Str. 155 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £4,50, \$US 10).
- ISTNER (Filip). *To już*. Poezje. Str. 108 i 8 nlb. (Wyd. Relacje, Sztokholm 1989).
- MIREWICZ (Jerzy, ks.). *Problemy emigracji*. Str. 372 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- FLAN (Bożena Anna, nazaretanka). *Owoc granatu*. Wiersze. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).
- Posłania Najświętszej Maryi Panny z Medjugorie*. Tłum. z chorwackiego Joanna Otega. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).
- CHRYPIŃSKI (Wincenty). *Kościół a rząd i społeczeństwo w powojennej Polsce*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn 1989).
- KOBYLIŃSKI (Anatol). *Sześć lat podziemnej poczty w Polsce (1982-1988)*. Str. 315. (Wyd. Muzeum Polskie w Rapperswil, 1988).
- DZWONKOWSKI (Roman). *Polska opieka religijna we Francji 1909-1939*. Str. 334 i 22 nlb. (Wyd. Pallotinum, Warszawa 1988).
- JASIEŃCICA (Paweł). *Pamiętnik*. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989).
- Każń profesorów lwowskich, lipiec 1941*. Studia, relacje i dokumenty zebrane i opracowane przez Zygmunta Alberta. Str. 382 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytet Wrocławski, Wrocław 1989, cena zł 3.500).
- Niemcy wobec konfliktu narodowościowego na Górnym Śląsku po I wojnie światowej*. Materiały z sesji naukowej pt. „Górny Śląsk celem rewizjonizmu niemieckiego 1918-1919” pod redakcją Andrzeja Szefera. Str. 225 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1989, cena zł 1.100).

SPROSTOWANIE

W *Nadesłanych nowościach wydawniczych* (Kultura nr 9/504) zrobiliśmy błąd w imieniu autora książki „Kontrola zewnętrznych transakcji gospodarczych”. Nazywa się on Józef Świdrowski, a nie Karol. Przepraszamy.

Polemiki

O języku polskim w Kościele na Białorusi

List p. Macieja Siekierskiego do Redakcji *Kultury* (nr 7/8, 1989) nawiązujący do mojego artykułu pt. „Zagrożenia Kościoła Katolickiego na Białorusi i Ukrainie” (a nie na Litwie, jak zostało podane w spisie treści i wewnątrz numeru — *Kultura* 4/1989) — daje mi okazję do pewnych uzupełnień i wyjaśnień, które, jak się okazuje, są konieczne. P.M. Siekierski odbiega bowiem daleko w interpretacji tego, co napisałem, od treści mojego tekstu. Jeśli bowiem krytycznie oceniam wprowadzanie przez niektórych księży języka białoruskiego do liturgii, ponieważ dzieje się to wbrew woli ludzi, to nigdzie nie napisałem, że krytycznie oceniam tych księży, którzy, jak to formuluje Autor listu, „nie posługują się w swej pracy wyłącznie językiem polskim”. W pracy tej bowiem, to znaczy w kontaktach duszpasterskich, różnych pouczeniach związanych z udzielaniem sakramentów, spowiedziach, rozmowach z młodszym pokoleniem itd. — wszyscy księża posługują się często językiem miejscowym, to znaczy tzw. prostym (zwanym też trestianką), rosyjskim (najczęściej, bo wszyscy go rozumieją) lub ukraińskim, w zależności od terenu i kategorii wiernych, z którymi się spotykają. Jest to konieczne. W moim ostatnim artykule, podobnie jak w wielu innych na ten temat, pisałem *tylko* o oficjalnym języku liturgii. Jedynie bowiem wprowadzenie do niej innego niż polski język jest powodem skarg ze strony parafian, sprzeciwów oraz przykrych i szkodliwych dla życia religijnego konfliktów.*

* Konflikty te na tle języka w Kościele na Białorusi nie są, niestety, niczym nowym. Miały one charakter szczególnie dramatyczny w drugiej połowie XIX w., gdy władze carskie postanowiły wprowadzić do kościołów język rosyjski przez rytuał w tym języku, tzw. „Triebnik”. Oto opis obrony języka polskiego i w istniejącej do dziś parafii Mosarz: „Ks. Szyryn, uprzednio proboszcz w Pohościu (lat 60) przeniesiony do bogatej Mosarskiej parafii, skusił się na zwiększoną pensję, jaką rząd wypłacał 'triebnikowcom’

Przekonać się o tym można w takich parafiach, jak Wiszniewo i Miory, a więc na miejscu, słuchając skarg ludzi. W pierwszej, gdzie liturgia od lat jest wyłącznie po białorusku, pada określenie „Ksiądz odbił ludzi od kościoła”. O jego słuszności mógłby świadczyć następujący fakt. Gdy pod koniec ub. roku (1988) w czasie nieobecności miejscowego proboszcza zaczął go zastępować sąsiad i rozpoczął odprawiać msze św. oraz głosić kazania po polsku, do kościoła przyszła wielokrotnie większa liczba ludzi.

W Miorach, gdzie jest odprawiana jedna msza św. w języku białoruskim, przede wszystkim dla młodzieży, parafianie prosili, by jej nie wprowadzał, ponieważ oni są Polakami. Odpowiedź księdza brzmiała: „Tu nie ma Polaków, tu są Białorusini”. Formalnie biorąc jest to w wielkiej mierze prawda, bo ogromna część ludności została wbrew woli zapisana jako Białorusini. Ale czy Kościół katolicki jest od umacniania tego rodzaju spisów ludności? Czy o to chodzi w duszpasterstwie?

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie mam nic przeciwko językowi białoruskiemu, ukraińskiemu czy rosyjskiemu w kościele w sytuacji podyktowanej rzeczywistą potrzebą. Z przyjemnością słuchałem kazań w języku rosyjskim w jednej czy drugiej parafii na poświęceniu odzyskanego Kościoła na Białorusi, widząc, że ludzie reagują na to większym zainteresowaniem, zwłaszcza młodzi i prawosławni, uczestniczący w uroczystości. Ale, na miłość Boską, czy nie należy w tej sprawie liczyć się z tym, czego sobie życzy przytłaczająca większość zainteresowanych, czy też po prostu wszyscy? Czy należy ich na siłę uszczęśliwiać innym językiem nabożeństw i kazań niż ten, którego sobie życzą i o który proszą?

Ks. Jan Matusiewicz, którego wymienia p. Siekierski, ma oczywiście rację, gdy mówi, że język białoruski i rosyjski (choć chodzi tu raczej o gwargę białoruską, niż język białoruski) jest „znacznie lepiej niż polski rozumiany przez większość młodych parafian”. Przecież na Białorusi nie było po wojnie ani jednej szkoły polskiej. Ale jak się to ma do ich życia religijnego? Bo przecież o to przede wszystkim chodzi. Otóż ci sami ludzie, starsi i młodszy, nie modlą się w języku białoruskim ani rosyjskim.

W 1987 r. byłem w Borunach na ślubie u zaprzyjaźnionej od lat rodziny, błogosławionym przez ks. Matusiewicza. Ceremonia

Gdy proboszcz po sumie zaśpiewał 'Świętyj Boże, Świętyj Kriepkij' — wszyscy parafianie natychmiast wyszli z kościoła, kobiety stanęły w dwa szeregi przy ścieżynie wiodącej z zakrystii do plebanii. Gdy się ukazał ks. Szyryn, niektóre podeszły doń i otoczyły niby rozpytując o zmiany w nabożeństwie. Tymczasem pozostałe rozpoczęły obrzucanie jajami (zgnitymi). Podobno chłopcy przebrani za baby użyli trochę kamieni. Ks. Szyryn przechorował tę 'jajecznicę', ale więcej nie wprowadzał nowości moskiewskich. Podobnie awantury były w Święcianach i innych parafiach”. Ks. Tadeusz Rogala-Zawadzki. *Wspomnienia z życia Ks. Franciszka Rogali-Zawadzkiego (1829-1915), ostatniego zakonnika wileńskiej diecezji ze starej generacji. Wilno 1916, s. 49.*

odbywała się w języku rosyjskim (poza jedną modlitwą w języku polskim). Było to z pewnością słuszne, gdy chodzi o słowa przysięgi małżeńskiej i pouczenia kapłańskie. Język ten młodzi najlepiej rozumieli. Ale gdy celebrians rozpoczął „Ojciec nasz” po rosyjsku, nikt poza nim samym ust nie otworzył i zapanowała cisza. Ludzie tam przecież nie odmawiają pacierza w tym języku.

Absolutnie nie sugeruję, jak mi to przypisuje Autor listu, „nie-szczerości przekonani” ks. W. Czerniawskiemu. Przeciwnie, znając go od wielu lat uważam, i tak było zawsze, że działa bardzo szczerze, tylko do tego stopnia emocjonalnie, że aż bezkrytycznie. Nigdzie też nie napisałem, że jest to działalność agenturalna, a jedynie, że cieszy się ona (to znaczy eliminowanie języka polskiego z kościoła) dyskretnym poparciem władz państwowych. To duża różnica. Dlatego określenie p. Siekierskiego jest zupełnie niezgodne z tym, co piszę i uważam je za krzywdzące dla mnie. Że poparcie, o którym wspominałem, istnieje, świadczy choćby wymieniony przeze mnie film *Katolickieskaja cerkow w SSSR*, propagowany przez władze, który w dodatnim świetle przedstawia działalność ks. Czerniawskiego. Nie jest też tajemnicą, że w niejednym wypadku młodzi księża, przed paru laty przynajmniej, otrzymywali zgodę władz na objęcie parafii pod warunkiem, że w miarę możliwości będą wprowadzać do kościoła język rosyjski na miejsce polskiego. Ponieważ księża wskazywali na brak ksiąg liturgicznych w tym języku, więc poprzestano na zapewnieniu o języku rosyjskim w kazaniach. Ze strony księży było to całkiem szczerze, gdyż kazania w tym języku są wskazane np. na cmentarzach dokąd przychodzą ludzie dalecy od Kościoła.

Autor listu cytuje opinię Księdza Czerniawskiego, „że Kościół na Białorusi można uratować przed zalewem wschodniego komunizmu tylko przez wprowadzenie języka powszechnie zrozumiałego dla większości miejscowych katolików”. To bardzo słuszne, choć o prawda komunizm już bankrutuje. Tylko o jaki tu język chodzi? Najbardziej rozumiałym na Białorusi stał się obecnie język rosyjski, na co wskazują sami Białorusini, wołając o upadku języka białoruskiego. Ale przecież nie chodzi o to, by język rosyjski zapanował w Kościele, choć i dla niego musi się tam w jakiś sposób znaleźć miejsce ze względu na napływową i miejscową ludność rosyjską lub rosyjskojęzyczną, zwracając się coraz częściej do Kościoła. A język białoruski? Otóż w liturgii obrządku łacińskiego jest on czymś zupełnie nowym. Dlatego formularze mszy św. w tym języku, którymi posługuje się np. ks. Czerniawski, ulegają zmianom, choć tymczasowo zatwierdzony już został *Poriadek swiatoj Imszi* (Pondan 1988 Wiszniewo). Dlatego dla jego parafian, słuchających nowych formuł, jest on pełen zaskakujących i dziwnie dla nich brzmiących w kościele terminów religijnych. Odbierają je jako drażniące i prowokujące dlatego, iż dotyczą one najbardziej dla nich świętych spraw, pojęć i odczuć.

Tym bardziej, że nie rozumieją potrzeby zastępowania nimi od

tak dawna im znanych, rozumiałych i uczuciowo bliskich słów liturgii w języku polskim.

Niczym gorszym od polskiej nie jest pewnie np. formuła liturgiczna przed komunią św., używana w Wiszniewie czy gdzie indziej: „*Woś Jagnie Bożaja! Woś toj chto odpuskaje griachi światu. Szczasliwije pakłakinije na wiaczery Jagniuju*”. Ale rzecz w tym, że ogół ludzi nie życzy jej sobie w tej chwili i uważa jej wprowadzenie za nawracanie ich na nowy obrządek. Czy jest to najpilniejsze zadanie Kościoła i czy w ten sposób przeciwstawia się on skutecznie zagrożeniu, o którym była mowa? Nowa liturgia w języku białoruskim jest przecież o wiele mniej zrozumiała dla tamtejszej ludności niż polska, którą znają od dawna i dobrze rozumieją. Natomiast literacki język białoruski jest nieznanym ogółowi katolików. W liturgii jest więc absolutną nowością.

Zarówno w dyskusji, jak w działaniach praktycznych, o których tu mowa, należy brać pod uwagę podstawowy fakt, że cała religijność na Białorusi, oficjalna w Kościele i prywatna w domu, opiera się na języku polskim. Są to zarówno stare i nowsze nabożeństwa, modlitwy i pieśni, będące bezcennym dorobkiem duchowym wielu pokoleń, posiadającym wielki ładunek emocjonalny, duszpastersko wprost niezastąpiony. W języku białoruskim to wszystko nie istnieje. Zwykła eliminacja języka polskiego z kościołów oznaczałaby po prostu rujnowanie religijności, obronionej w tym właśnie języku w okresie najcięższych prześladowań. Czy zamiast ocalenia Kościoła nie byłoby to ciosem o nieobliczalnych konsekwencjach? W 1976 r. ks. Czerniawski powiedział mi:

„Jeśli się natychmiast nie przejdzie na język białoruski, to za dziesięć lat Kościół na Białorusi umrze śmiercią naturalną”. Minęło od tej chwili 13 lat i Kościół nie tylko nie umarł, ale żywotowo odradza się i to właśnie w oparciu o język polski. W ciągu ostatnich dwóch lat, 1988/1989, dzięki staraniom samych wiernych otwarto na Białorusi ok. 40 parafii, w tym kilka za granicą Traktatu Ryskiego (Borysów, Bobrujsk, Homel, Rosica, być może i inne).

Paweł LIDA

P.S. Ks. Jan Matusiewicz, o którym p. M. Siekierski pisze, że przygotowanie do kapłaństwa otrzymał w Kielcach, otrzymał je w rzeczywistości w prawosławnym seminarium duchownym, do którego wstąpił, nie mogąc dostać się z powodu sprzeciwu władz państwowych do seminarium duchownego katolickiego. Podobno przez pewien czas pracował także jako *świaszczennik* prawosławny.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

23.8.89

Reaktywowano zamknięte w 1974 roku katolickie wydawnictwo „Verum”. Dyrektorem tego wydawnictwa jest Andrzej Micewski. „Verum” zamierza wydawać miesięcznik katolicki, który będzie miał asystenta kościelnego. Ks. Prymas Glemp udzielił temu wydawnictwu swojego poparcia.

18.09.89.

Zmarła w Warszawie w wieku 64 lat Aleksandra Ślaska, wybitna polska aktorka teatralna i filmowa.

21.9.89.

Prezydium Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej PZPR przywróciło prof. Adamowi Schaffowi prawa członka PZPR z zaliczeniem stażu partyjnego. Prezydium uznało, że wydalenie go z partii naruszało swobodę dyskusji w partii.

3.10.89

W Warszawie odbyło się posiedzenie Zarządu Głównego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, nowej partii politycznej, powstałej we wrześniu br. Prezesem został prof. Wiesław Chrzanowski, a wiceprezesami pp. Antoni Maciarczyk i Marek Jurek.

9.10.89

Dalszy cyrk w Gdańsku. W kościele św. Brygidy odbyła się uroczysta msza z okazji udekorowania Lecha Wałęsy i kanonika Henryka Jankowskiego orderem Orła Białego, przyznanego im przez „Kapitułę tego orderu, działającą na emigracji”, to znaczy przez p. Juliusza Nowinę-Sokolnickiego, który wiele lat temu ogłosił się prezydentem Rzeczypospolitej, rozdając na prawo i lewo najwyższe przedwojenne odznaczenia wojskowe i cywilne. Komunikat pochodzi od PAP-u. Najśmieszniejsze jest to, że po zorientowaniu się, kim jest „Prezydent Sokolnicki”, Wałęsa wraz z kanonikiem Jankowskim zwrócili się do prezydenta R.P. na wygnaniu, śp. Kazimierza Sabbata, z prośbą o „zatwierdzenie” tego odznaczenia i poprzednio nadanych im awansów.

14.10.89.

W Irkucku odbyła się polsko-sowiecka konferencja naukowa poświęcona udziałowi Polaków w badaniu Syberii i Zabajkalia. Zostało zawarte porozumienie między Polską Akademią Nauk a syberyjskim oddziałem Akademii Nauk ZSSR na temat udostępnienia polskim uczonym zbiorów archiwalnych. W Państwowym Archiwum w Irkucku znajdują się bowiem dokumenty związane z polskimi zesłańcami na Syberię. Pochodzą one z lat 1870-1913.

15.10.89

Złe obyczaje polskich wydawców. Ostatnio wydawnictwo „Alfa” z ostawionym p. Wysokińskim na czele wydało książkę Marka Hłaski pt. „Nawrócony w Jaffie”. W tej sprawie „Alfa” nie skomunikowała się z wydawcami, natomiast podała, że copyright należy do tajemniczego Andrzeja Czyżowskiego. Następnie, w wywiadzie z wdową po generale Andersie, p. Ireną Anders, który ukazał się w Nrze 78 *Biuletynu* Polskiego Ośrodka Społeczno-

Kulturalnego w Londynie, p. Andersowa zapytana, co może powiedzieć o projekcie wydania przez władze w Polsce książki Generała pt. „Bez ostatniego rozdziału”, odpowiedziała:

Istotnie, w kwietniu tego roku zwrócono się do mnie z prośbą o wyrażenie zgody na wydanie tej książki w kraju. Chciałabym, aby ukazała się ona w Polsce, a tym samym aby mogło ją przeczytać jak najwięcej ludzi — po to została napisana.

Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy zostało wydrukowanych w krajowym *Tygodniku Kulturalnym* 49 odcinków będących fragmentami tej książki. Zostały one opublikowane bez mojej wiedzy, a poza tym pominięto istotne fakty. Skąd mogę mieć pewność, że z drukiem książki nie będzie podobnej, cenzorskiej historii? Decyzji ostatecznej jeszcze nie podjęłam. Na dzień dzisiejszy jestem jedynie pewna tego, że gdyby doszło do ewentualnego druku, to wydawcą powinno być wyłącznie któreś z wydawnictw katolickich. ■ Od dawna poruszamy sprawę gangsterskich metod polskich wydawców, ale bez najmniejszego rezultatu. Nie interesuje się tym ani ZAiKS, ani Związek Pisarzy, ani PEN-Club — natomiast mówi się stale o konieczności współpracy na odcinku kulturalnym między Krajem a emigracją. Może p. Grzegorz Boguta, kierownik NOW-ej, obecnie doradca Ministra Kultury, zajmie się wreszcie tą sprawą. ■ Do większości bibliotek uniwersyteckich w Polsce wysyłamy *Kulturę* i nasze wydawnictwa. Robimy to na ich prośbę. Okazuje się, że w szeregu bibliotek *Kultura* i nasze książki umieszczane są w prohibitach i nie wprowadzane do katalogów — jak np. w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego. Do czasu zlikwidowania tych relikwów okresu stalinowskiego nie będziemy wysyłały *Kultury* do tych bibliotek. ■ Zmarł w Waszyngtonie w wieku 48 lat Mirosław Dzielski, fizyk-teoretyk i filozof, propagator myśli liberalno-chrześcijańskiej, publicysta i wydawca pism: *Merkuryusz krakowski* i *Światowy* oraz *I3*, członek Prymasowskiej Rady Społecznej, założyciel i prezes Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 99 lat Marszałek Michał Rola-Żymierski, oficer Legionów w I wojnie światowej, uczestnik wojny polsko-sowieckiej, skazany w latach 30-tych za nadużycia i wydalony z wojska; po II wojnie światowej stał się współtwórcą Ludowego Wojska Polskiego, którego został mianowany dowódcą i marszałkiem.

16.10.89

Redaktor Dariusz Fikus, dawny współpracownik *Polityki*, został mianowany szefem wydawnictwa i dziennika *Rzeczpospolita*.

17.10.89

Odbyła się na Uniwersytecie Wrocławskim sesja naukowa poświęcona twórczości Stanisława Vincenza z okazji stulecia jego urodzin. W sesji wzięli udział uczeni z Polski, Izraela, Ukrainy, Węgier i Szwajcarii. Sesję otworzyło, po powitaniu przez prorektora uniwersytetu, przemówienie gościa honorowego, Monsignora Iwana Martyniaka, nowomianowanego biskupa Ukraińców w Polsce. Mons. Martyniak koncelebrował też uroczystą mszę św. w obrządku bizantyjsko-katolickim za spójność duszy pisarza. ■ W Argentynie zginął w wypadku samochodowym w wieku 85 lat Piotr Pawluczuk, artysta malarz.

20.10.89

Zmarł w Warszawie w wieku 64 lat Jerzy Wittlin, pisarz, wydawca, dziennikarz, tłumacz. ■ Zakończyły się trwające od 16.10. br. Dni Kultury Ukraińskiej w Polsce. W grupie literatów ukraińskich byli m.in. Dymytrio Pawlyczko, sekretarz Zarządu Związku Pisarzy Ukrainy, Mykoła Wingranowski — poeta i prozaik, Pawło Mowczan — poeta, tłumacz i działacz „Ruchu”, oraz poetki Hanna Czubacz i Halina Turętyk.

29.10.89

Na miejsce Towarzystwa „Polonia”, które postanowiło się rozwiązać, ma powstać „Światopol” — Światowy Związek Polaków, nawiązujący do tradycji organizacji istniejących przed II wojną światową.

1.11.89

Piotr Nowina-Konopka, rzecznik prasowy Lecha Wałęsy i jego mąż zaufania, został powołany przez generała Jaruzelskiego na stanowisko ministra stanu. Ma się zajmować kontaktami Prezydenta z parlamentem oraz siłami społecznymi i politycznymi w Polsce. Jest to traktowane jako rozgrywka Wałęsy z Gieremkiem.

2.11.89

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Stefan Staszewski, który odegrał dużą rolę w czasie października 1956 r. jako I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR. W 1968 r. wystąpił z partii.

5.11.89

W posiedzeniu Komitetu Wykonawczego RWPG wziął udział wicepremier, Leszek Balcerowicz. Postulował utrzymanie dostaw sowieckich surowców w przyszłej pięcioletce przynajmniej na dotychczasowym poziomie oraz przesunięcie spłaty długu rublowego i dolarowego, który wynosi półtora miliarda dolarów. Poruszył również sprawę odszkodowania dla obywateli polskich z tytułu deportacji, pracy przymusowej i wywłaszczeń po 17 września 1939 roku. ■ Język ukraiński został uznany za język państwowy Ukraińskiej Sowieckiej Republiki. ■ W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie zlikwidowano departament III (kontrola instytucji i partii), departament IV (kontrola związków i stowarzyszeń wyznaniowych), departament V (operacyjna ochrona przemysłu), departament VI (ochrona rolnictwa) oraz biuro studiów S.B. Rozwiązano jednostki zajmujące się przeglądaniem korespondencji międzynarodowej i tzw. radio kontrwywiadu. Powołano trzy nowe departamenty: ochrony konstytucyjnego porządku państwa, ochrony gospodarki oraz departament studiów i analiz.

8.11.89

Rada Krajowa PRON-u postanowiła zakończyć działalność i rozwiązać tę organizację. ■ Generał Zbigniew Pudysz, wiceminister spraw wewnętrznych, został wpisany na listę adwokatów toruńskiej Izby Adwokackiej.

ZACHÓD — EMIGRACJA

7.7.89

Prezesem Związku Polaków w Argentynie został wybrany ponownie konsul Jan Kobylański.

20.09.89.

Z inicjatywy prof. Michała Masłowskiego i Komitetu Organizacyjnego Université de Nancy II odbyła się w Nancy międzynarodowa konferencja pn. „Ku paradygmatawi Europy Środkowej. Postawy religijne i zachowania społeczne”. Dyskutowano na niej zagadnienia socjologiczne, religijne, historyczno-polityczne, literackie, przy tym poświęcono sporo uwagi tematyce żydowskiej. Większość referatów była związana z francuskim środowiskiem akademickim (Grenoble III, Lille Charles de Gaulle, Nancy II, Paris I, IV, VII, INALCO, C.N.R.S.). Przyjechali badacze z Polski (Marek Beylin, Mirosława Grabowska, Leszek Hensel), Szwajcarii (Alfred Sproede), Szwecji (Lars Kleberg), Węgier (Bela Bors-Kalman), Wielkiej Brytanii (Nina Taylor). Byli także obecni przedstawiciele emigracji czeskiej (Karol Bartoszek, Antonin Liehm) i polskiej (Ewa Bieńkowska). Francuski minister *de l'aménagement du territoire et des reconversions*, Jacques Cherèque, przybył na konferencję i przedstawił francuską propozycję pomocy dla Polski.

7.11.89

Na Uniwersytecie Genewskim odbyło się pożegnanie odchodzącego na emeryturę Bronisława Baczki, który od 1973 roku kierował katedrą historii życia umysłowego i historii dziejopisarstwa. Faktycznymi organizatorami spotkania byli studenci. W imieniu przyjaciół, rektor Uniwersytetu wręczył Bronisławowi Baczce książkę pamiątkową: „Lumières, utopies, révolution: espérance de la démocratie” wydaną przez wydawnictwo Droz (s. 334), w której obok autorów szwajcarskich, francuskich, włoskich i polskich (z kraju i z emigracji) znalazło się również kilkunastu studentów. Drugą książkę przygotowaną wyłącznie przez Polaków zaanonsował prof. St. Amsterdamski, przybyły na uroczystość z Warszawy. Przywiózł także list od Ministra Edukacji Narodowej, prof. H. Samsonowicza, z gratulacjami dla jubilata i jednoczesnym zaproszeniem, po 21 latach jakie minęły od wyrzucenia B. Baczki z Uniwersytetu Warszawskiego w 1968 roku, na wykłady do Polski.

10.11.89.

W Centre du Dialogue w Paryżu w ciągu listopada miały miejsce imprezy: 10.11.br. wieczór autorski Andrzeja Mariana Brauna, wiceprezwoźniczącego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich; 17.10.br. spotkanie z Andrzejem Sewerynem z okazji wejścia na ekrany filmu pt. „La Révolution française”, w którym Seweryn gra rolę Robespierre'a; 24.11.br. odczyt Marka Łatyńskiego, dyrektora polskiej sekcji RWE, pt. „Sytuacja w Polsce widziana z Monachium”.

KRONIKA KANADYJSKA

Rzecznik centralnej organizacji Niemców kanadyjskich oświadczył, że domagać się będzie specjalnych przywilejów dla przybyszów z NRD, tj. przyznania im statusu uchodźców. Zaznaczył, iż wprawdzie nie są nimi formalnie gdyż automatycznie uzyskują obywatelstwo RFN, ale znaczna ich część pragnie emigrować do Kanady (według prowizorycznych danych około 5 tys.).

■ Badanie zaległych 124 tys. wniosków uchodźców, rozpoczęte 1 stycznia br., posuwa się żółwim krokiem. Do sierpnia br. przesłuchano zaledwie tysiąc osób i około 10% odmówiono prawa pozostania, a 44 osobom, które nie zostały uznane za uchodźców, przyznano prawo pobytu ze względów humanitarnych. Procedura badania jest kosztowna i — zdaniem wielu osób — zbędna. Kosztowna nie tylko z uwagi na zatrudniony przy niej personel, ale i z powodu przymusowego bezrobocia oczekujących i konieczności udzielenia im zasiłków. Przebieg dotychczasowej procedury świadczy, że ci „nielegalni uchodźcy” pozostaną jako legalni imigranci i że cała ta procedura jest dowodem li tylko błędnej polityki imigracyjnej. W b. roku ilość imigrantów przekroczy 200.000, a przewidywano tylko 160.000 (są to dane prowizoryczne).

■ Zygmunt Skorzyński, dyrektor Zakładu Socjologii Kultury Uniwersytetu Warszawskiego, wygłosił 14 września br. w Montrealu, gdzie przebywał na zaproszenie Polskiego Instytutu Naukowego, odczyt pt. „Jak doszło do utworzenia rządu Mazowieckiego i czego należy się po tym rzędzie spodziewać”.

■ W okresie od września do grudnia br. mają miejsce w Toronto w ramach stulecia imigracji Ukraińców konferencje naukowe. Problematykę „Doświadczenie ukraińskie w Kanadzie. Pierwsze stulecie 1891-1991” przedstawili profesorowie Jarosław Petryszyn, John Lehr, Oleh Gerus i Frances Swyripa. Dotyczy to ogólnego procesu osiadania imigrantów, osadnictwa rolnego do 1914 r., procesów powstawania organizacji i zakresu ich działania, organizacji terenowych i roli kobiet ukraińskich.

■ Delegacja polska na 54-tym rocznym kongresie PEN Clubu, który odbywał się w Toronto i Montrealu (w Toronto w języku angielskim, a w Montrealu w języku francuskim) liczyła dwóch przedstawicieli: Artura Międzyrzeckiego i Tadeusza Konwickiego. 23 września Tadeusz Konwicki zaprezentował na jednym z wieczorów fragment swego utworu, 25 września wziął udział w zespołowej dyskusji pt. „Pisarz, wolność i władza” oraz uczestniczył w Montrealu w dyskusji zespołowej na temat: „Wolność a wzrost teokracji”.

W dyskusji tej uczestniczyli m.in. pisarze z Iranu, Izraela, Libanu i Kanady.

■ 34 Walny Zjazd Delegatów Związku Polaków w Kanadzie miał przebieg burzliwy, w wyniku którego wybrano całkowicie nowy skład władz. Odpadli nie tylko członkowie ustępującego Zarządu Głównego z prezesem na czele, ale również starzy działacze. Do Zarządu Głównego z przesyłkami na czele, Toronto z prezesem, Stanisławem Godziszem z Grimsby. Władze zostały odmłodzone wiekiem oraz okresem pobytu w Kanadzie, gdyż w ich skład weszli imigranci fali solidarnościowej. ■ Zmarł w Toronto w wieku 88 lat ks. Stanisław Puchniak, ze zgromadzenia oo. Oblatów, jeden z pierwszych księży polskich urodzonych i wychowanych w Kanadzie. Zastąpił się społeczności polonijnej, organizując w 1945 r. parafialną kasę kredytowo-pożyczkową, która wyrosła na największą tego typu instytucję finansową Polonii w Kanadzie.

B.H.

KRONIKA SZWEDZKA

Historyczne wydarzenia w Polsce i w trzech państwach bałtyckich, a ostatnio także przemiany na Węgrzech, zdominowały *massmedia*. Bliskość geograficzna Polski i Nadbałtyki (Estonia i część Lotwy były kiedyś prowincją szwedzką) tłumaczy tak żywe zainteresowanie. Myślą przewodnią komentarzy jest twierdzenie, że katastrofalna sytuacja ekonomiczna Polski przy zachowaniu przez komunistów kontroli nad wojskiem i policją stwarza nowemu rządowi zadania ponad siły. Możliwość reformy ocenia się tu z ostrożnym optymizmem. Jeżeli chodzi o państwa bałtyckie, panuje obawa, że zbyt gwałtownie usiłują przeprowadzić reformy, zwłaszcza jeżeli chodzi o autonomię, co może spowodować reakcje Moskwy zagrażające bezpieczeństwu całego tego obszaru. Stworzenie gospodarki rynkowej zamiast centralnie kierowanej napotyka na ogromne trudności. *Massmedia* pisząc o pomocy ekonomicznej dla Polski uważają, że pomoc Zachodu nie może zastąpić zasadniczych reform, a jedynie uczynić proces wyjścia z kryzysu mniej bolesnym.

■ Premier Ingvar Carlsson będąc na zaproszenie nowego polskiego rządu w dniach 13 i 14 października z wizytą w Polsce — jako w ogóle pierwszy szef obecnego rządu — udzielił Polsce pomocy finansowej w wysokości 300 milionów koron na ratowanie środowiska. Przewidziana jest również pomoc szwedzkich ekspertów w zakresie ekonomii, finansów, handlu zagranicznego i rynku pracy. Carlsson, który był w Krakowie kilkanaście lat temu, był przeżarty spustoszeniem spowodowanym zatruciem środowiska, głównie przez Nową Hutę. W wywiadzie dla prasy szwedzkiej powiedział, że natychmiastowe rozwiązanie tego problemu jest konieczne dla ratowania Krakowa i życia ludzkiego. TV pokazała przerażający film produkcji szwedzkiej o strasznym stanie środowiska na Śląsku i w Krakowie, w którym notuje się największą na świecie śmiertelność niemowląt.

■ W dwustronicowym wywiadzie, jakiego kardynał Józef Glemp udzielił *Expressen* (2 listopada), powiedział na temat polskiego antysemityzmu, że „gdyby nie było 'antypolskości' wśród Żydów nie istniałby antysemityzm”. Następnie prymas Glemp powrócił do swego ostawionego kazania z 26 sierpnia br., oświadczając: „Antysemityzm jest wynalazkiem amerykańskich Żydów i ich antypolskiej kampanii”. Na zapytanie, co zagraża najbardziej rozwojowi powstającej w Polsce demokracji, kardynał odpowiada: „Nasza ekonomiczna nędza!”. *Pytanie*: „Czy jesteście zadowoleni z rządów 'Solidarności'?”. *Odpowiedź*: „Pamiętać należy, że jest to rząd koalicyjny, może popełnia on błędy, ale nie krytykujemy go”. *Pytanie*: „Mówi się, że premier Mazowiecki nie należy do najbliższych przyjaciół prymasa. Jakie są wobec tego osobiste z nim stosunki?”. *Odpowiedź*: „Czuję jak gdybym go znał od 20 lat. Mieliśmy zawsze ogromnie przyjazne stosunki”. Zaraz pada następne pytanie: „Czy jest on lepszym przyjacielem od generała Jaruzelskiego?”. „Trudno odpowiedzieć... Nie, nie odpowiem na to pytanie”. „Czy dla Polski byłoby korzystne istnienie stronnictwa katolickiego?”. „Bezsprzecznie, byłoby to logiczne i naturalne...”. ■ Minister kultury, Izabella Cywińska, bawiła w dniach od 25 do 30 października w Sztokholmie na zaproszenie szwedzkiego ministra kultury, Bengta Karlssona. Zawarte zostały umowy dotyczące ożywienia współpracy kulturalnej między obydwojma krajami. M.in. 15 młodych działaczy kultury przyjedzie do Szwecji, żeby zapoznać się z funkcjonowaniem samorządowej działalności kulturalnej w ustroju demokratycznym. ■ Dowiadujemy się o powołaniu w Sztokholmie Rady Programowej z Marią Borowską na czele.

Zadaniem tej rady będzie sugerowanie powiązanemu z ambasadą PRL Instytutowi Polskiemu programu rozpowszechniania w Szwecji wiedzy o polskiej kulturze i nawiązywanie kontaktów ze znaczącymi instytucjami kultury szwedzkiej. ■ Od jesieni br. miały miejsce w Szwecji liczne imprezy polskie lub polsko-szwedzkie: w ramach Międzynarodowego Forum Kultury wyświetlono szereg nagrodzonych filmów polskich, m.in. Leszczyńskiego, Bajona, Barańskiego i Bera. Filmy prezentował prof. Zbigniew Zapasiewicz, który mówił także o OPON-ie, ośrodku polskich organizacji niepodległościowych. ■ W ostatnich dniach września br. przebywał z cyklem wykładów na uniwersytetach w Uppsali i Sztokholmie jeden z najwybitniejszych badaczy imigracji w Australii, profesor socjologii przy Australian University, Jerzy Zubrzycki. ■ Od 14 września do początku listopada odbywał się w Sztokholmie dwumiesięczny festiwal S. I. Witkiewicza, zorganizowany przez Teatr Giljotin. Wystawiano sztuki „Nowe wyzwolenie”, „Pragmatyści” i „Sonata Belzebuba”. W sympozjum otwierającym festiwal wzięli udział m.in. reżyser Dag Hedman, rektor Wyższej Szkoły Teatralnej w Sztokholmie Keve Hjelm, docent Lech Sokor z Warszawy i docent uniwersytetu w Uppsali, dr Andrzej Uggla. ■ W dniach 25-28 września Royal Academy of Letters, History and Antiquities zorganizowało w Bastad polsko-szwedzkie sympozjum naukowe, poświęcone badaniom teorii literatury oraz kontaktom literackim. Ze strony polskiej m.in. udział wzięli prof. Maria Janion, prof. Alina Witkowska i dr Jan Zieliński, wszyscy z Instytutu Badań Literackich w Warszawie. Ze strony szwedzkiej m.in. prof. Louise Vinge z Lund, prof. Nils Ake Nilsson ze Sztokholmu i docent Andrzej Uggla z Uppsali. ■ Docent dr Zenon Ciesielski, skandynawista z uniwersytetu w Gdańsku, miał 16 października wykład w Towarzystwie Przyjaciół Kultury paryskiej na temat „O polskiej i szwedzkiej kulturze — próba porównania”. Ciesielski przemawiał także na uniwersytetach w Uppsali i Linköping. Jest on honorowym profesorem uniwersytetu w Umea, a za szerzenie w Polsce wiedzy o Szwecji odznaczony został wysokim orderem Nordstjärnan. ■ W Towarzystwie Przyjaciół Kultury odbył się 16 listopada wieczór gawęd: Norberta Żaby ilustrowany jego przezroczkami o Bliskim Wschodzie i Piotra Żrałka o Dalekim Wschodzie. ■ W połowie października Artur Międzyrzeczki miał wykłady na uniwersytecie sztokholmskim i w Instytucie Polskim; mówił o literaturze polskiej i czytał fragmenty swoich utworów. ■ Wg *Nowin*, kilkudziesięcymiesięcznego czasopisma zbliżonego do państwowego Urzędu Imigracyjnego, w ub. roku 19.000 osób ubiegało się o azyl w Szwecji. Wśród nich było wielu uchodźców torturowanych w krajach pochodzenia. 80% starających się uzyskało azyl. Była to liczba rekordowa. W tym roku będzie jeszcze większa. Stwarza to poważne problemy, przekraczające nie tylko możliwości finansowe Szwecji, ale także w przyszłości sytuację na rynku pracy i przede wszystkim mieszkaniową. Najnowsi uchodźcy umieszczeni zostaną w prymitywnych warunkach, tj. w namiotach, a biorąc pod uwagę klimat jest to właściwie niedopuszczalne. Zdaniem Państwowego Urzędu Imigracyjnego każda gmina może i powinna przyjąć i udzielić mieszkań przynajmniej 30 uchodźcom. Z 10 gmin, odmawiających dotychczas przyjmowania uchodźców, 8 wreszcie wyraziło zgodę. Dwie gminy, Vellinge i Sjöbo, upierają się w dalszym ciągu. Zwłaszcza głośna stała się gmina Sjöbo, która wykazała wyraźną ksenofobię. ■ 2 listopada rząd uchwalił nowe przepisy, utrudniające udzielanie azylu głównie osobom przybywającym tu bez paszportu i legitymacji tożsamości. Dotyczy to przede wszystkim uchodźców z Etiopii, Iranu i Iraku. Z natychmiastową odmową i deportacją spotkać się mogą obecnie osoby z Polski i Węgier, ubiegające się o azyl. Rząd uważa, że w tych krajach nie

istnieje już ryzyko prześladowań. ■ O niezwykle zainteresowaniu i zrozumieniu sytuacji w Polsce świadczy poświęcenie Polsce przez TV całego tygodnia, począwszy od 6 listopada. W codziennych, prawie dwugodzinnych audycjach, szeroko już zawczasu rozreklamowanych, przedstawia się rozwój wypadków począwszy od 1980 roku, czyli powstania „Solidarności”. W komentarzu redakcji TV, przedrukowanym przez całą prasę, mówi się m.in.: „Polska, nasz sąsiad. Jesteśmy świadkami pokojowej rewolucji. Intensywnego, celowego dążenia do przejścia z centralistycznego państwa komunistycznego do ustroju pluralistycznego, rynkowego i parlamentarnej demokracji. Przeżywamy dni, które dadzą Polakom wolność”. Mówiąc o kryzysie, który ogarnął cały komunistyczny blok sowiecki i o historycznych zmianach w Europie środkowo-wschodniej, TV i prasa podkreślają, że ten historyczny proces „zrywania z sowiecką dominacją rozpoczął się w Polsce w roku 1980 i Polska stała się również pierwszym krajem Europy wschodniej, w którym uformowano rząd niekomunistyczny”.

Norbert ŻABA

5 listopada 1989

AUKCJA POLSKIEJ SZTUKI I ANTYKÓW — CZĘŚĆ I ze zbiorów śp. dra Józefa A. Malejki z Nowego Jorku

Duży zespół obrazów, akwalel i rysunków wybitnych polskich artystów XIX wieku. Polskie memorabilia wojskowe, szable, orderzy, medale, monety i banknoty. Stare polskie srebra, listy i dokumenty królewskie.

Stare polskie ryciny — widoki miast i portrety.

Aukcja dnia 20 stycznia 1990 r. o godz. 4:00 pm.

Wystawa wszystkich przedmiotów 19 stycznia oraz w dniu aukcji. Adres: 177 Kent Street, Greenpoint, Brooklyn, NY 11222. Ilustrowany katalog w cenie \$8.00 oraz wszelkie informacje otrzymać można u Z. Michael Legutko, Lipert Gallery, 147 Milton Street, Brooklyn, NY 11222, tel. (718) 383 4429

Aukcja — Część II — malarstwo nowoczesne — planowana jest w maju 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od kilku lat pracuję dla rozgłośni zagranicznych nadających w języku polskim — najpierw w Kanadzie, obecnie w Stanach Zjednoczonych. I od kilku lat usiłuję w rozmowach z Polakami tłumaczyć podstawowe założenia działalności takich rozgłośni jak kanadyjska Radio Canada International, amerykańska Voice of America, brytyjska British Broadcasting International czy francuska Radio France International, jak również różnice między tymi rozgłościami, ich mandatem i zadaniami, a zadaniami i mandatem rozgłośni Wolna Europa. W kręgach znajomych i przyjaciół moje wysiłki owocują, ale w skali Polonii czy Polaków w kraju zrozumienie podstawowych założeń działalności tych rozgłośni nadal pozostawia wiele do życzenia. Przykładem chociażby opublikowany niedawno w pańskim miesięczniku list p. Albrechta z Monachium.

P. Albrecht pisze — „Stąd (z Głosu Ameryki) też czerpałem wiadomości o konflikcie wokół klasztoru sióstr karmelitanek w Oświęcimiu”. Pragnę wyrazić żal, że — sądząc po zawartości listu — tak niewiele wiadomości p. Albrecht zdołał zacerpnąć. W swoim liście p. Albrecht konsekwentnie przypisuje „Głosowi Ameryki” informacje, które radiostacja przekazała, ale których nie jest autorem. Tak jak i pozostałe nadające programy po polsku radiostacje, „Głos Ameryki” nie mówi w zasadzie „własnym głosem”, lecz przekazuje poglądy, opinie, komentarze i wypowiedzi innych: reporterów prasy amerykańskiej lub zachodnioeuropejskiej, komentatorów, ekspertów, polityków czy po prostu osób, których opinia może — zdaniem radiostacji — zainteresować słuchaczy w Polsce. Różnie się na świecie mówiło o sprawie klasztoru w Oświęcimiu i różne na ten temat opinie przekazał „Głos Ameryki”. Zawsze starannie informując o źródle uzyskanej informacji, o osobie wyrażającej daną opinię.

Zgodnie z zasadami funkcjonowania radiostacji, „Głos Ameryki” prezentuje własną — w pewnym sensie — opinię tylko w „komentarzach odzwierciedlających poglądy rządu Stanów Zjednoczonych”, co jest zawsze starannie podkreślane i sygnalizowane. Za te poglądy można ewentualnie radiostację (ale też nie pracowników poszczególnych sekcji językowych, którzy komentarze tłumaczą) krytykować. Pragnę zauważyć, że takiego komentarza w sprawie klasztoru w Oświęcimiu w programie polskojęzycznym radiostacja, o ile wiem, nie nadała.

Nie udało mi się także potwierdzić informacji p. Albrechta o nadaniu przez „Głos Ameryki” listów anonimowych słuchaczy w sprawie klasztoru. Byłoby to o tyle dziwne, że radiostacja z reguły nie cytuje listów od słuchaczy dotyczących zagadnień politycznych, społecznych i gospodarczych. Takie ograniczenia nakładają na pracowników wszystkich sekcji językowych zasady funkcjonowania rozgłośni. Wątpliwy walor ma także stwierdzenie p. Albrechta, że — cytuję — „Głos Ameryki” wspominał krótko o wypowiedzi Jana Pawła II, który miał oświadczyć, że „Żydzi zdradzili Boga”, który w związku z tym przestał ich uważać za naród wybrany”. Stwierdzenie Ojca Świętego — jak to podkreślił w swoim programie „Głos Ameryki” — cytowali działacze żydowscy, uważając je za kolejny, niezależny od sprawy

klasztoru przejaw niewrażliwości Watykanu na stanowisko Żydów. Słowa Papieża zostały wyjęte z homilii nie odnoszącej się do sprawy klasztoru i dopiero p. Albrecht umiejętnie połączył dwa zagadnienia w jedno.

Klientom komunistycznej (czy jakiegokolwiek innej, także antykomunistycznej) propagandy trudno jest przyzwyczaić się do faktu, że istnieją środki przekazu, które w miarę ludzkich możliwości przekazują jedynie poglądy innych, uważanych za kompetentne osób (starannie informując o źródłach) i pozostawiają odbiorcy zadanie przemyślenia sprawy — nie tylko „co jest mówione”, ale także „kto mówi” i dlaczego. Zadanie, przynajmniej trudne, ale trzeba mu sprostać, jeśli chce się wyjść z zaścianka na demokratyczną arenę, na której obowiązuje zasada „szanuj poglądy, których nie podzielam”. A nie podzielać i krytykować cudze poglądy — święte prawo p. Albrechta. Nie jest jednak jego prawem przypisywać je komuś, kto je tylko przekazuje. A już tym bardziej czynić to w sposób wielce selektywny, wybierając do listu te, które pasowały do lansowanej tezy, nawet jeżeli nie miały z nią wiele wspólnego.

Z poważaniem

Jacek KOZAK

Mons en Baroeul 7.10.1989

Wielce szanowny Panie Redaktorze,

Ponieważ mój szkic „Tajemnica Stawiska” (*Kultura* 1989, nr 1-2) wywołał silną falę tyleż pozytywnych, co i negatywnych reakcji, trudno nie ustosunkować się do tego zjawiska. Liczba listów i komentarzy ustnych, które do mnie dotarły jest tak duża, iż pozwala na typologię zarzutów.

I. „Sprawa Dzienników nigdy nie istniała”

Oczywiście istniała! Paradoksalnie potwierdzają to polemiczne listy pracowników Muzeum (P. Mitzner, H. Sikorska), stwierdzające, iż w momencie mojej tam bytności nie były one jeszcze „przejęte” (wg Mitznera — od Sz. Piotrowskiego; wg Sikorskiej — od pełnomocnika Ministerstwa Kultury). Ciekawa to skądinąd i wiele znacząca rozbieżność! O ówczesnej sytuacji „Dzienników” P. Mitzner pisze wyraźnie: „nie znaliśmy go wówczas, nie byliśmy nawet pewni, czy znajduje się na Stawisku”, dodając, że istnienie ich partii wojennej stało się jawne przypadkowo, właśnie podczas mojej kwerendy na Stawisku. H. Sikorska uzupełnia ten obraz: „Bóg jeden raczy wiedzieć, w których rękach spoczywa ich pozostała część”. Dokładnie ten stan rejestrował mój szkic. I trudno o lepszy dowód, że nie przypadkiem niepokoiłem się losem spuścizny Iwazzkiewicza.

Przesłane obecnie wyjaśnienia komunikują sytuację z dnia dzisiejszego: odnalezione i „przejęte” fragmenty znajdują się na Stawisku zastrzeżone przez rodzinę Iwazzkiewicza, los reszty jest nieznan. Z kolei odnalezione urywki „Książki moich wspomnień” zostały niedawno opublikowane w „Kronice Warszawy”. I to również ciekawy epilog, dla mnie ważny o tyle, iż dowodzi, że *Anno Domini* 1986, gdy ostatni raz byłem na Stawisku, wiedzieć tego nie mogłem. A pamiętajmy, że do publicznej wiadomości istnienia „Dzienników” Iwazzkiewicza nie podano nigdy!

2. „*Obraz Muzeum jest krzywdzący*”

To na ogół opinia pracowników tej instytucji. I tu relacja P. Mitznera mimowolnie znów potwierdza mój opis, konstatując ówczesny (i bodaj dzisiejszy!) stan wieloletniej „organizacji”. Co to w praktyce oznacza, każdy Polak w kraju wie doskonale. Trudno więc zupełnie serio brać protesty urzędników tej instytucji. Znamy takie listy na co dzień z prasy: protestują „obsmarowani” kierownicy sklepów mięsnych, urzędów pocztowych, spółdzielni mieszkaniowych, administracji, zakładów ubezpieczeń, biur i hoteli. Odrobinę poczucia humoru! Tak właśnie wyglądamy. A protestować musimy, bo tego wymaga komunistyczny rytuał, „dobre imię” naszego zakładu pracy.

Nie od rzeczy będzie też przypomnieć, że szkic mój przynosił porównanie Stawiska z lat, gdy mieszkał tam jeszcze Iwaskiewicz, z okresem, gdy jego dom przerodził się w rodzaj biura, zakładu dokumentacji w stanie permanentnej inwentaryzacji. Już samo to zestawienie rodzi rodzaj mimowolnej ironii, nawet bez satyrycznych predykcji obserwatora.

3. „*Tekst szkaluje i przynosi oszczerce pomówienia*”

Jeśli już ustaliliśmy, że nie jest pomówieniem rekonstruowanym przeze mnie obraz muzeum, ani ówczesna, nieznaną sytuacja „Dzienników”, wtedy uznać trzeba, iż sfera „szkalowania” odnosić się może wyłącznie do ogólnie znanej sprawy homoseksualizmu pisarza (o czym skądinąd nadmieniałem mimochodem). Nie wiem, czy podobna fala protestów podniosła się po opublikowaniu przez J. Walca w *Kulturze* *Niezależnej* szkicu o Iwaskiewiczu, czy równie gromkie krzyki rozległy się po ukazaniu się pierwszego tomu encyklopedycznej „Literatury polskiej po 1939 roku”? Myślę, że można tylko zaapelować o normalność. Tego typu informacje, nieraz szalenie istotne w odbiorze dzieła danego twórcy, przynosi niemal każda encyklopedia literacka na Zachodzie, nie stanowiąc bynajmniej źródła niezdrowej ekscytacji. Skądinąd swój list piszę w kilka dni po opublikowaniu przez *Times* i *Newsweek* listy ponad trzydziestu kongresmenów amerykańskich znanych z praktyk homoseksualnych i w dzień po pierwszym ślubie homoseksualnej pary w Danii. W kraju wciąż jeszcze obserwujemy obłędne biegi wokół pomników narodowych wieszczów — Pirożyńskich z młotkami. Tylko, że wcześniej obróciły się karty epok.

4. „*Epatowanie niezdrową pikanterią*”

Poza wyżej podniesioną (absolutnie czwartorzędną) kwestią trudno dopatrzeć się w moim tekście elementów „ekscytacji”. Zapewne niektóre cytaty odślaniają pewne zakamarki duszy pisarza, ale też dotyczą sfery spraw publicznych, politycznych zaślepień lub obłąkań twórcy. Prędzej czy później jego rozważania staną się własnością ogółu i po raz nie wiadomo który w historii literatury okaże się, że wcześniejsze opublikowanie materiału zrodziłoby tylko normalne dyskusje, a nie ogólnonarodowe egzorcyzmy.

Oczywiście osobną sprawą jest kwestia prywatności spraw rodzinnych pisarza. Nie podnosiłem ich inaczej, jak suponując, iż „zaginięcie” „Dzienników” musi mieć z nimi bezpośredni związek. Obecna wiadomość o zablokowaniu tego utworu wyłącznie potwierdza to domniemanie. I praktycznie na tym kończy się sprawa, gdyż prawem rodziny jest strzeżenie swej intymności. Należało to jednak podać do ogólnej wiadomości, jak miało to

miejsce w wypadku „Dzienników” Dąbrowskiej, a nie czekać aż do dzisiaj (10 lat!) i dziwić się, że ktoś się w końcu o ten tekst zapytał. Jeśli warto się jeszcze o coś upomnieć, to o określenie objętości materiału, przedziału lat, które obejmuje oraz ogłoszenie, na ile lat materiały zostają wzięte pod klucz. Ale też może warto rozważyć możliwość opublikowania okrojonej wersji „Dzienników”. I tylko o to chodziło.

Na marginesie warto dodać, że już wkrótce nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego ukaże się wojenna partia „Dzienników” Iwaskiewicza. Oczywiście pracownicy muzeum nie mają nic wspólnego z tym wydaniem.

5. „*Wybór optyki nieprzychylny dla pisarza*”

Tego typu zarzut jest wyłącznie funkcją jednostronnej lektury, starannie pomijającej fakt, iż tekst mój obok uwag krytycznych przynosił liczne akcenty podnoszące zalety i zasługi pisarza. Jak każdy wybitny twórca, Iwaskiewicz obdarzony był zapewne „osobowością podwójną”, wieloraką, niejednoznaczną. I to właśnie było jednym z wątków „Tajemnicy Stawiska”. Poszukiwanie jednowymiarowych konturów pomnika, lektura „jednym okiem” może wyłącznie zatrzeć obraz tej „drugiej strony”.

6. *Reakcje typu inwektywnego*

Te, choć przykre, przychodzi spokojnie złożyć na karb dziwności i zagadek duszy ludzkiej, która nieraz dziwnie bywa zaimpregnowana na rzeczywisty sens i znaczenie czytanego tekstu, wyłamując z niego wyłącznie okrucy „sensacji”, spychając go we freudyzm. A przed gębą, jak wiemy od Gombrowicza, obronić się nie sposób.

Łączę wyrazy szacunku

Stanisław NOWICKI

PS. Wypowiedzi dziecięco naiwne, nie potrafiące oddzielić beletrystycznego „opakowania” od autentyku, pomijam zdziwionym milczeniem. Za listy konkretne, merytoryczne (choćby polemiczne) dziękuję, podobnie jak za wyrazy sympatii.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 10-tym *Kultury* z br. ukazała się na str. 151 informacja, że Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku utworzył Fundusz Nagród im. Jerzego Łojka i nagradzane będą prace naukowe czy literackie dotyczące walki zbrojnej z okupacją komunistyczną w latach 1944-1945. Do informacji tej zakradła się jedna, lecz poważna literówka. *Terminus ad quem* nie jest rok 1945, lecz 1955.

Dodać chciałbym, że po raz pierwszy nagroda będzie przyznana 11 listopada 1990 roku. Dotychczas Instytut J. Piłsudskiego zebrał 3.015 dolarów na Fundusz Nagród im. Jerzego Łojka.

Z poważaniem

Jerzy PRUS
Dyrektor

Adam Michnik artykuł „Powrót Corvalana” (*Gazeta Wyborcza* nr 112) kończy zdaniem: „A teraz czekamy na powrót Władimira Bukowskiego do ZSSR”. Natychmiast chciałoby się zadać p. Michnikowi pytanie, dlaczego Władimir Bukowski miałby wracać do ZSSR? Można by odpowiedzieć przytaczając słowa p. Michnika na temat przemian w ZSSR: „Bo dogorywała breżniewowska dyktatura, a wraz z nią radziecka gospodarka. Pojawiła się gorbaczowska odwilż”. Zdanie to świetnie sugeruje, że w ZSSR była kiedyś dyktatura, ale już jej nie ma. Być może ZSSR jest już prawie demokracją.

Władimir Bukowski pisze: „Jednak sowieccy przywódcy nie zamierzają popełnić politycznego samobójstwa. Pozostali bez innego wyjścia niż obalenie obecnej odwilży, zniszczą narastającą rewolucję w kraju zgodnie z najlepszymi tradycjami stalinowskimi, powrócą do zimnowojennych technik i użyją międzynarodowego napięcia do powstrzymania wewnętrznych niepokojów”. (*The Washington Quarterly*, zima 1989). Dziś Władimir Bukowski zapowiada, że wprowadzenie stanu wojennego w ZSSR jest tylko sprawą czasu. Można przytoczyć również jego uwagi dotyczące Polski: „Jestem bardzo sceptyczny co do 'polskiego kompromisu', ponieważ żadna ze stron nie ma jasnej idei, jak rozwiązać kryzys ekonomiczny. W tej sytuacji kryzys polityczny mściwie powróci. Jeśli 'Solidarność' ma nadzieję na znaczną pomoc Zachodu przy rozwiązywaniu problemów przebudowy socjalistycznej gospodarki, rozczaruje się wielokrotnie”.

Zrozumiałe jest zatem, że Władimir Bukowski nie wybiera się do ZSSR i p. Michnik może długo na to czekać. Pozostaje zatem pytanie, jaki jest sens dawania podobnych rad? Nie ma ucieczki przed logiką: albo p. Michnik nie czytuje wypowiedzi Władimira Bukowskiego, albo nie rozumiał ich.

Piotr SKRZYNECKI

Londyn, 17.10.1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule Piotra Wandycza „Czy emigracja jest jeszcze potrzebna” w październikowym numerze *Kultury* znalazło się stwierdzenie, że publikowanie w kraju „stoi w sprzeczności z uchwałami Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie”.

Pragnę donieść, że w roku 1957, po Październiku, Walne Zebranie naszego Związku powzięło następującą uchwałę:

„Walne zebranie stoi na stanowisku, że o publikowaniu w Kraju decydować winno sumienie pisarza jako wolnego człowieka dążącego poza Krajem do wyzwolenia ojczyzny, gdy jest to w jego przekonaniu służba kulturze polskiej, nie poddająca go w zależność od aparatu totalistycznego nadal działającego w Kraju”.

Uchwała ta nadal obowiązuje.

Uprzejmie proszę o opublikowanie tego listu w *Kulturze*.

Z poważaniem,

za Zarząd Związku Pisarzy Polskich
na Obczyźnie
Danuta KRZEMIENIECKA
sekretarka

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1989

Spis autorów

ABRAMOWICZ Marek, AGOPSOWICZ Monika, ALBRECHT Andrzej, AMICHAJ Jehuda, (amp), ANDRZEJ Magdalena, A.P., ASCHERSON Neal, ATK. — BAKAL Piotr, BĄKOWSKI Adam, BERLINCZYK, BESANÇON Alain, B.H., BIENIASZ Stanisław, BIEREZIN Jacek, BOCHEŃSKI Józef M., BOLANOWSKI Wojciech, BRANDYS Kazimierz, BRAUN Kazimierz, BRODSKIJ Josif, BRONSKI M., BRZEZIŃSKI Zbigniew, BUDNY Michał, BUJAK Zbigniew. — CHARŁAMP Witold, CHILECKI Andrzej Jarosław, CHYLIŃSKA Kamila, CIOŁKOSZOWA Lidia, CZABAŃSKI Krzysztof, CZAPSKI Józef. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DAROWSKI Jan, DARSKI Józef, DICKINSON Emily, DOBOSZ Andrzej, DRONICZ Stanisław, DZIEWIĘCKA Małgorzata. — FALENCZYK Marian ks., FELDHUZEN Maciej, FILIPOWICZ Kornel, FOLEK Tadeusz, FRAJLICH Anna. — GARLIŃSKI Józef, GAWEŁ Stanisław, GAWLIKOWSKI Krzysztof, GIEŁŻYŃSKI Wojciech, GIERTYCH Maciej, GLEMP Józef kardynał, GŁOWACKA Renata, GŁOWACKI Janusz, GOERLICH Joachim Georg, GORBANIEWSKA Natalia, GORCZYŃSKA Renata, GRELA Franciszek, GROTKWAŚNIEWSKI Jerzy, GROTOVICZ Wiktor, GRUPIŃSKI Rafał, GUZ Jacek. — HAVEL Vaclav, HEJMO Konrad OP, HELLER Michał, HERBERT Zbigniew, HERLINGGRUDZIŃSKI Gustaw, (de) HERNANDEZ-PALUCH Maria, HEYDENKORN Benedykt, HURWIC Józef. — IŁLAKOWICZ Kazimiera, ISTNER Filip. — JAGIEŁŁO Krystyna, JANKOWSKI Maciej, JANOWSKI Tomasz, JANOWSKI Zbigniew, JANUSZEWSKI Radosław, JASTRUN Tomasz,

JERZ Tomasz, JERZEWSKI Andrzej, JURYŚ Julia. — KACZMAREK Robert „Mateusz”, KASPRZYK Krzysztof, KATZ HEWETSON Janina, KEMPFI Andrzej, KESLER Henryk, KLAKSON, KŁOSOWSKA Nika, KOBA Roman, KOMISJA INTERWENCYJNA „S”, KONSORCJUM WYDAWNICTW NIEZALEŻNYCH, KOPCZYŃSKI Krzysztof, KORASZEWSKI Andrzej, KORCZAK Jerzy, KOSSOWSKA Stefania, KOSTRZEWA Robert, KOWAL Anna, KOZAK Jacek, KRASUCKI Piotr, KRONHOLD Jerzy, KRUCZEK Adam, KRYNICKI Ryszard, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUCZYŃSKA Halina, KUCZYŃSKI Waldemar, KULCZYCKI Jerzy, KURECKA Maria, KURDYBELSKI Józef, KUŚMIEREK Józef. — LAMENTOWICZ Wojtek, LASOTA Piotr, L.D.P., LEDÓCHOWSKA Krystyna, LENAR Anna, LENCZOWSKI John, LEONARD, LEOPOLITA, LESKI Krzysztof, LEWANDOWSKI Józef, LIDA Paweł, LIPSKA Ewa, L.S., LIZAKOWSKI Adam. — ŁATYŃSKI Marek. — MACHNIEWICZ Jacek K., MACIEJOWSKA Alicja, MAKSIMOW Władimir, MAMON Agata, MAREK Krystyna, METROPOLITA MSTYSŁAW, MICHALSKI Marek, MIKA Elżbieta, MIKOS Dariusz, MIŁOSZ Czesław, (ks.) MIREWICZ Jerzy T.J., MISIAK Elżbieta, MITZNER Piotr, MOND Jerzy, MONDRY Janusz, MROŻEK Sławomir, MRUCZEK, MYLAWSKI Leonid, M.Z. — NAWROCKI Grzegorz, NAZWISKO ZNANE REDAKCJI, NEY Władysław, NIEPOKORNA Wanda, NIEZALEŻNE FORUM KULTURY, NIEZALEŻNE STYPENDIUM DLA STUDENTÓW SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH W POLSCE, NOWAK Jan, NOWAK Tadeusz, NOWAKOWSKI Marek, NOWICKI Stanisław. — OLEJNICZAK E., OKRĘGOWA RADA ADWOKACKA W SZCZECINIE, ORLIŃSKI Jan, OSADCZUK Bohdan. — PACZOWSKA Maria, PACZOWSKI Bohdan, PANUFNIK Andrzej, PEDZIWIOL Aureliusz Marek, PELIKAN, PIETRKIEWICZ Jerzy, PISARENKO Olgierd, PODLASKI Jan, POLESKI Maciej, POMIAN Andrzej, POMIAN Grażyna, POMORSKI Andrzej, POPRAWA Adam, POSPIEZAŁSKI Antoni, PRUS Jerzy, PRYZSTAWA Jerzy. — RACZYŃSKI Edward, RAKOWSKI Mieczysław F., REDAKCJA, REDAKTOR, RILKE Rainer Maria, RODOWICZ Maria, ROGATKO Bogdan, ROMASZEWSKI Zbigniew, RUSZKOWSKI Mikołaj. — SALONI Zygmunt, SIEKIERSKI Maciej, SIEMASZKO Z.S., SKALSKI Ernest, SKOCZYŁAS Jerzy, SKRZYŃECKI Piotr, ŚLASKA Ewa Maria, SOCHOŃ Jan, SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA, SPINELLI Barbara, STADFORS Zofia, STANKIEWICZ Artur, STANKIEWICZ Zygmunt, STARCZEWSKA Krystyna, STEPAN Olgierd M.,

SWIANIEWICZ Stanisław, SZANIAWSKI Klemens, SZARUGA Leszek, SZCZEPOWSKA-SZYCHOWA Irena, SZCZYPIORSKI Andrzej, SZEREMETIEW Romuald, SZPOTAŃSKI Janusz, SZULCZYŃSKI Andrzej, SZYMKIEWICZ Jarosław, SZYSZMAN Szymon. — ŚMIEJA Florian, ŚWIDERSKA Hanna. — TABIN Marek, TERLECKI Antanas, TOR, TRAKL Georg, TRZNADEL Jacek, TYNNA Czesław. — UNGER Leopold, URBAN Jerzy. — VENCLOVA Tomas, VENULET Jan, VINCENZ Andrzej. — WAŁĘSA Lech, WANDYCZ Piotr, WARSZAWSKI Dawid, WITT Piotr, WŁADIMOW Georgij, WOLICKI Krzysztof, WYSKIEL Jerzy, WYSZKOWSKI Krzysztof. — ZAMORSKI Kazimierz, ZAWADZKI Tomasz, ZARZĄD ZW. PISARZY POLSKICH NA OBCYZYŃNIE, ZESPÓŁ PROMOCJI WYBORCZEJ KOMITETU OBYWATELSKIEGO „SOLIDARNOŚĆ”, ZIELIŃSKI Marek, ZIĘTKIEWICZ Grzegorz, ZIMAND Roman, ZINOWIEW Aleksander. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E., ŻÓŁTOWSKA Ewelina M., ŻUCHOWSKI Jan.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

- (amp): *Kronika austriacka* (6/501, 9/504).
 A.P.: *Pomówmy o pierestrojce* (5/500).
 ATK (tłumacz) ob. Zbigniew Brzeziński.
 BESANÇON Alain: *Widziane z oddali* (3/489), z francuskiego przełożyła Julia Juryś.
 B.H.: *Kronika kanadyjska* (1/496-2/497, 4/499, 5/500, 9/504, 10/505, 12/507).
 BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Agonia komunizmu* (5/500), przełożył z angielskiego ATK.
 — *Postkomunizm i dążenia narodowościowe: próba sił* (12/507), przełożyła z angielskiego Krystyna Ledóchowska.
 CHYLIŃSKA Kamila: *Czterdzieści lat — nierocznicowa rocznica* (7/502-8/503).
 DZIEWIĘCKA Małgorzata: *Z innego punktu widzenia* (7/502-8/503).
 FELDHUZEN Maciej: *Brazylia: rząd, robotnicy, Kościół* (6/501).
 GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (18) (3/498).
 — *List z Londynu* (19) (7/502-8/503).
 GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Mit pomocy Zachodu a polskie realia* (9/504).
 — *O polskim „kompromisie historycznym”* (3/498).
 — *Sześć tygodni pekińskiej wiosny* (7/502-8/503).

- GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (7/502-8/503).
- O. HEJMO Konrad, OP: *Wołanie o prawdziwą suwerenność* (1/496-2/497).
- JURYŚ JULIA (tłumacz, ob. Alain Besançon).
- KACZMAREK Robert „Mateusz”: *Sily zbrojne ZSSR w obliczu rewolucji* (4/499).
- KORCZAK Jerzy: *Lęki przed wolnością* (6/501).
- LEDÓCHOWSKA Krystyna (tłumacz) ob. Zbigniew Brzeziński.
- L.S.: *Europa i narody* (11/506).
- MAREK Krystyna: *O konsekwencjach prawnych Katynia* (6/501).
- MIŁOSZ Czesław: *O konflikcie polsko-litewskim* (5/500).
- MONDRY Janusz: *Otwarcie na Japonię* (12/507).
- PELIKAN: *Polski rozkład jazdy* (9/504).
- POMIAN Grażyna — TABIN Marek: *Emigracja z socjalizmu* (Ankieta Kultury: Dlaczego jestem na Zachodzie) (4/499).
- ROMASZEWSKI Zbigniew: *Minimalizm radykalny* (3/498).
- SKALSKI Ernest: *Czarna dziura* (1/496-2/497).
- STANKIEWICZ Artur: *Martwa wiza* (9/504).
- UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli:*
- *Arka bez Noego* (9/504).
 - *Hamlet bez Ofelii* (1/496-2/497).
 - *Kwadratury i kanty Okrągłego Stołu* (5/500).
 - *Świat na skraju przepaści* (3/498).
 - *Tak jak Lenin tylko w odwrotnym kierunku* (11/506).
- URBAN Jerzy: *List do Stanisława Kani* (6/501).
- WANDYCZ Piotr: *Czy emigracja jest jeszcze potrzebna* (10/505).
- Wydarzenia miesiąca* (1/496-2/497, 3/498, 4/499, 5/500, 6/501, 7/502-8/503, 9/504, 10/505, 11/506, 12/507).
- Wypowiedzi Lecha Wałęsy* (7/502-8/503).
- ŻABA Norbert: *Kronika szwedzka* (1/496-2/497, 5/500, 12/507).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BRAUN Kazimierz: *Poza marginesem* (11/506).
- DOBOSZ Andrzej: *O słowach starych i nowych* (12/507).
- *Wielkanoc w lipcu?* (11/506).
- HERBERT Zbigniew: *Delta* (5/500).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (3/498, 10/505, 12/507).
- KASPRZYK Krzysztof: *Poznać, odczuć i zrozumieć* (9/504).
- KRASUCKI Piotr: *Jak braliśmy władzę* (3/498).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BOLANOWSKI Wojciech: *Dzień, który będę wspominać* (1/496-2/497).
- FILIPOWICZ Kornel: *Wizyta w domu malarza Z.* (5/500).
- GŁOWACKI Janusz: *Pole garncarza* (6/501).
- GRELA Franciszek: *Wrzesień 1939, Starobielsk* (6/501).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Krótką spowiedź egzorcysty* (5/500).
- *Siena i okolice* (7/502-8/503).
- KEMPMI Andrzej: *Zdrowisko nad Niemnem* (9/504).
- MIŁOSZ Czesław: *Koniec Wielkiego Xięstwa* (O Józefie Mackiewicz) (5/500).
- *Ksawery, Jane i inni* (7/502-8/503).
 - *Skróty* (6/501).
- MROŻEK Sławomir: *Krótkie słuchowisko* (12/507).
- *Na pierwszego września 1989* (11/506).
- NOWAKOWSKI Marek: *Bożydar* (7/502-8/503).
- NOWICKI Stanisław: *Niewykonane fotografie* (12/507).
- *„Teno”. Dwie kartki* (6/501).
- SLASKA Ewa Maria: *Odwiedziny. Sen* (9/504).

Utwory poetyckie

- AMICHAJ Jehuda: *Bóg lituje się nad małymi dziećmi* (9/504), przełożył z hebrajskiego Ryszard Krynicki.
- *W środku jabłka* (9/504), przełożył z hebrajskiego Ryszard Krynicki.
- BAKAL Piotr: *Nad Narwią* (4/499).
- BAKOWSKI Adam: *Popiół i wino* (11/506).
- BIEREZIN Jacek: *List pisany nocą* (4/499).
- *Przepisane ze słownika języka polskiego* (6/501).
- DAROWSKI Jan: *Gracje* (5/500).
- *Nie mów, że ja* (5/500).
- DICKINSON Emily: *Posłowie* (1/496-2/497), przełożyła Kazimiera Iłakowicz.
- FRAJLICH Anna: *Choroba* (6/501).
- GUZ Jacek: *Ptaku nie drzyj* (9/504).
- HERBERT Zbigniew: *Śmierć lwa* (5/500).
- IŁAKOWICZ Kazimiera (tłumacz), ob. Emily Dickinson.
- ISTNER Filip: *To już* (1/496-2/497).

- JASTRUN Tomasz: *Mickiewicz* (4/499).
 — *Ostatni atak husarii* (4/499).
 — *Umierający mój anioł* (4/499).
 KRONHOLD Jerzy: *Martwa natura* (9/504).
 — *Piotr Skarga 1988* (9/504).
 KRYNICKI Ryszard (tłumacz) ob. Jehuda Amichaj.
 KURECKA Maria: *Zmierch* (1/496-2/497).
 LIPSKA Ewa: *Bez wyjścia* (6/501).
 — *Cha, cha, kochałem Cię staruszeko* (6/501).
 — *Fatum* (6/501).
 — *Oko jastrzębia* (6/501).
 LIZAKOWSKI Adam: *Piekieło* (9/504).
 — *Psalm złodziei czereśni* (9/504).
 — *Spowiedź chuligana* (9/504).
 MAMON Agata: *Widok z okna* (1/496-2/497).
 MITZNER Piotr: *Jonasz* (9/504).
 NOWAK Tadeusz: *Jedenasty pacierz diabelski-imperialny* (1/496-2/497).
 — *Siódmy pacierz azjatycki* (1/496-2/497).
 POPRAWA Adam: *16 listopada 1988, jesień* (11/506).
 RILKE Rainer Maria: *Trzy wiersze* (12/507), przełożył z niemieckiego Janusz Szpotański.
 SOCHOŃ Jan: *Gdy noc opada...* (11/506).
 — *Jestem księdzem...* (11/506).
 STRZEMBOSZ Maciej: *Z Pratinasa* (6/501).
 SZPOTAŃSKI Janusz (tłumacz), ob. Rainer Maria Rilke i Georg Trakl.
 TRAKL Georg: *Dusza jesieni* (12/507), przełożył z niemieckiego Janusz Szpotański.
 — *Kruki* (12/507), przełożył z niemieckiego Janusz Szpotański.
 — *Zmierch zimowy* (12/507), przełożył z niemieckiego Janusz Szpotański.

Sprawy krajowe

- Archiwum wschodnie* (4/499).
 CHARŁAMP Witold: *Dziennik zewnętrzny* (1/496-2/497, 3/498, 5/500, 6/501, 7/502-8/503, 10/505, 12/507).
 GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Wyjście ze ślepego zaulka historii* (12/507).
 GIEŁŻYŃSKI Wojciech: *Trzecioświatyzacja* (4/499).
 GORBANIEWSKA Natalia: *W Polsce — rozproszone notatki* (1/496-2/497).

- JERZ Tomasz: *Na przykład „Gdańsk”* (6/501).
 — *Trzecia fala* (9/504).
 KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Ostatni żart Witkiewicza* (6/501).
 KUCZYŃSKA Halina: *Zagrożenia i szanse* (4/499).
 KUCZYŃSKI Waldemar: *Place, inflacja, plan Marshalla* (6/501).
 LAMENTOWICZ Wojtek: *Dylematy okresu przejściowego* (10/505).
 L.D.P. „NIEPODLEGŁOŚĆ” i „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA”: *Stanowisko w sprawie Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie* (3/498).
 LEOPOLITA: *Trzy brzydkie choroby polskiej opozycji* (9/504).
 MACIEJOWSKA Alicja: *Groby na Suwalszczyźnie* (4/499).
 MIKA Elżbieta: *Krajobraz po lawinie* (1/496-2/497).
 NEY Władysław: *Energia atomowa w kraju* (12/507).
 NIEPOKORNA Wanda: *Los emeryta w Polsce* (12/507).
Oświadczenie Komisji Interwencji i praworządności NSZZ „Solidarność” (9/504).
Oświadczenie niezależnych wydawnictw (3/498).
Oświadczenie niezrzeszonych literatów (3/498).
Oświadczenie Wydawnictwa Pomost (9/504).
 PACZOWSCY Maria i Bohdan (tłumacze) ob. Barbara Spinelli.
 POLESKI Maciej: *W łapach humanistów* (11/506).
 PRZYSTAWA Jerzy: *Atmosfera na Uniwersytecie Wrocławskim* (7/502-8/503).
 SALONI Zygmunt: *Jestem na żołdzie imperialistów* (7/502-8/503).
 SKALSKI Ernest: *Pięć po dwunastej* (4/499).
 — *Uwagi o końcu świata* (10/505).
 SPINELLI Barbara: *Panta rei* (11/506), przełożyli z włoskiego Maria i Bohdan Paczowscy.
 STARCZEWSKA Krystyna: *Zagrożenie polskiej oświaty* (11/506).
 SZCZYPIORSKI Andrzej: *Z „Gazety Wyborczej”* (7/502-8/503).
 WYSKIEL Jerzy: *Trzeba by cały głaz usunąć* (4/499).

Sąsiedzi

- AGOPSOWICZ Monika i KOPCZYŃSKI Krzysztof: *Na wschód od wolności* (11/506).
 (amp): *Kronika czeska i słowacka* (1/496-2/497, 5/500, 7/502-8/503).
 BERLINCZYK: *Niemcy bez Straussa* (4/499).
 BRODSKI Josif i inni: *List do Niezależnego Komitetu Pisarzy „Kwiecień”* (7/502-8/503).
 CHILECKI Andrzej J.: *Kronika niemiecka* (3/498, 4/499, 5/500, 6/501).

- DARSKI Józef: *Kronika białoruska* (1/496-2/497).
 — *Z lektury czasopism białoruskich* (10/505).
 — *Z lektury czasopism ukraińskich* (9/504).
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/496-2/497, 3/498, 4/499, 5/500, 6/501, 7/502-8/503, 9/504, 10/505, 11/506, 12/507).
 M.Z.: *Zakładnicy elektryfikacji* (11/506).
 OSADCZUK Bohdan: *Rewolucja po niemiecku* (12/507).
Polonia sowiecka (1/496-2/497).
 POSPIESZALSKI Antoni: *Kościół katolicki i białoruskie odrodzenie* (10/505).
Pożar w rezerwacie breżniewizmu (1/496-2/497).
 SKOCZYŁAS Jerzy: *W litewskim tyglu* (4/499).
 VENCLOVA Tomas: *List otwarty do Litwinów i Polaków na Litwie* (3/498).
 VINCENZ Andrzej: *Konferencja ukrajinistyczna w Neapolu* (10/505).
 ZIĘTKIEWICZ Grzegorz: *Kronika niemiecka* (12/507).
 ZAGIELL E.: *Kronika litewska* (1/496-2/497).

O religii bez namaszczenia

- ASCHERSON Neal: *Oświęcim* (10/505) przełożył z angielskiego Antoni Pospieszalski.
 JANUSZEWSKI R.: *Rozmowa z O.J.M. Bocheńskim „Priwislenie”* (9/504).
 JERZ Tomasz: *Niedziela w Oświęcimiu* (10/505).
 MSTYSŁAW METROPOLITA: *List do Mieczysława Rakowskiego* (7/502-8/503).
 POSPIESZALSKI Antoni: *Bunt teologów* (5/500).
 — *O chrześcijańskich podziałach i jedności* (7/502-8/503).
 — (tłumacz) ob. Neal Ascherson.
 PRYMASOWSKA RADA SPOŁECZNA, Maciej GIERTYCH, Józef Kardynał GLEMP: *O poszanowaniu światopoglądów* (7/502-8/503).
 ZIELIŃSKI Marek: *Jeszcze o teologii wyzwolenia* (9/504).

Wywiady „Kultury”

- ANDRZEJ Magdalena: *Wywiad telewizyjni niemieckiej z M.F. Rakowskim* (3/498), przełożyła z niemieckiego Magdalena Andrzej.

- CZABAŃSKI Krzysztof: *Rozmowa z Dawidem Warszawskim. „Drugi obieg” — plusy i minusy* (6/501).
 — *Rozmowa z Krzysztofem Wyszowskiem* (7/502-8/503).
 DARSKI Józef: *Rozmowa z Leonidem Mylawskim: — U nas radykalizacja postępuje z godziny na godzinę* (11/506).
 — *Wywiad z Antanasem Terleckim* (4/499).
 GŁOWACKA Renata: *Rozmowa z Krzysztofem Leskim. Dziennik opozycji* (11/506).
 — *Wywiad z Grzegorzem Nawrockim* (1/496-2/497).
 HELLER Michał: *Rozmowa z Władimirem E. Maksimowem* (7/502-8/503).
 JAGIEŁŁO Krystyna: *Rozmowa ze Zbigniewem Romaszewskim. Gdzie jest „Solidarność”?* (5/500).
 JANOWSKI Tomasz: *Ostatni moment na powrót. O „Solidarności” w okresie przejściowym* (1/496-2/497).
 JERZEWSKI Andrzej: *Wytrwali* (Rozmowa z Elżbietą Misiak o strajku w Jastrzębiu) (1/496-2/497).
 KACZMAREK Robert: *Rozmowa z Bernardem Laponche — O wielki program energetyczny* (9/504).
 KOSTRZEWA Robert: *Rozmowa z Johnem Lenczowskim. Od Reagana do Gorbaczowa* (1/496-2/497).
 PEDZIWIOL Aureliusz Marek: *Rozmowa z Józefem Kuśmierkiem o energetyce* (11/506).
 ŚMIEJA Florian: *Wczoraj i dziś literatury emigracyjnej. Rozmowa z Marią Danilewicz Zelińską* (1/496-2/497).

Polemiki — Wolna Trybuna

- GRUPIŃSKI Rafał: *Kolabokracja czy insurekcja?* (1/496-2/497).
 LIDA Paweł: *O języku polskim w kościele na Białorusi* (12/507).
 NOWAK Jan: *Czy warto grać z szulerem* (6/501).
 SZEREMIETIEW Romuald: *Gra z szulerem* (3/498).
 — *Nie grać z szulerem* (11/506).
 WOLICKI Krzysztof: *Żydzi, endecy i kardynałowie* (10/505).

Sprawy i troski

- FOLEK Tadeusz: *Sprawa odszkodowań* (12/507).
 GROTCZAK Wiktor: *Polskojęzyczna rozgłośnia w Kolonii* (1/496-2/497).
 DE HERNANDEZ PALUCH Maria: *Czy koniec paryskiego bruku?* (11/506).
 — *Les restaurants du coeur* (10/505).
 — *Pomoc* (Rozmowa z Ks. Marianem Falencykiem) (12/507).

- HEYDENKORN Benedykt: *Selekcja uchodźców* (4/499).
 KOMITET OBYWATELSKI „SOLIDARNOŚĆ”: *O mniejszości ukraińskiej w Polsce* (7/502-8/503).
 LIDA Paweł: *Zagrożenie Kościoła katolickiego na Białorusi i Litwie* (4/499).
 PACZOWSKI Bohdan: *Tu i tam* (1/496-2/497).
 RODOWICZ Maria: *Biblioteka Polska w Paryżu* (7/502-8/503).
 TYNNA Czesław: *Polacy na Ukrainie* (3/498).

Ci, co odeszli

- BRÓŃSKI M.: *Teodor Parnicki (1908-1988)* (4/499).
 CIOŁKOSZOWA Lidia: *Kazimierz Sabbat* (9/504).
 KŁOSOWSKA Nika: *Witek Zaborski* (5/500).
 KORCZAK Jerzy: *W smudze blasku (Wspomnienie o Leszku Proroku)* (7/502-8/503).
 KOSSOWSKA Stefania: *Feliks Topolski* (11/506).
 MACHNIEWICZ Jacek K.: *Roman Palester* (10/505).
 NOWAKOWSKI Marek: *Andrzej* (10/505).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *Jerzy Niemojowski* (5/500).
 SIEMASZKO Z.S.: *Płk Tadeusz Boguszewski* (3/498).
 SZULCZYŃSKI Andrzej: *Maria Kurecka* (3/498).
 ZAMORSKI Kazimierz: *Ignacy Klibański* (5/500).
 ZAWADZKI Tomasz: *Emanuel M. Rostworowski* (12/507).

Kronika kulturalna

- ABRAMOWICZ Marek — LASOTA Piotr: *O błyskach promieniowania gamma* (6/501).
 BRÓŃSKI M.: *Naipaul, Gombrowicz — literatura* (9/504).
 CZABAŃSKI Krzysztof: *Pina nie ma* (4/499).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Ferdynand Goetel w oczach Warszawy i Londynu* (11/506).
 — *Książki słowiańskie w bibliotekach angielskich* (12/507).
 Doroczne nagrody „Kultury”: Stanisław Swianiewicz — nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego; Wojciech Skalmowski (Maciej Broński) — nagroda literacka im. Zygmunta Hertza; bezimiennie — nagroda przyjaźni i współpracy (1/496-2/497).
 Fundusz stypendialny Prezydenta K. Sabbata (9/504).

- GORCZYŃSKA Renata: *Archipelag New York* (III) (4/499).
 — *Geniusze w balonach ideologii* (5/500).
 — *Marsz, marsz, Dąbrowska...* (3/498).
 — *Następcy Faulknera poszukiwani* (1/496-2/497).
 — *PEN i świat* (7/502-8/503).
 HAVEL Vaclav: *Słowo o słowie* (11/506), przełożyła z niemieckiego Julia Juryś.
 JURIEWA Zoja: *Nota z okazji Księgi pamiątkowej jej poświęconej* (3/498).
 JURYŚ Julia (tłumacz) ob. Vaclav Havel.
 KEMPIŃSKI Andrzej: *Jan Czeczot* (10/505).
 KOSTRZEWA Robert: *Między Wschodem a Zachodem* (5/500).
 NOWAKOWSKI Marek: *Wystąpienie na Niezależnym Forum Kultury* (5/500).
 NOWICKI Stanisław: *Tajemnica Stawiska* (1/496-2/497).
 SKRZYŃSKI Piotr: *Rozmowa z Hanną Świdorską: Warto by pomóc* (9/504).
 SZYMKIEWICZ Jarosław: *Świadectwo obecności* (6/501).
 TOR: *Stanisław Vincenz — Konferencja w La Combe* (3/498).
 WITT Piotr: *Wtajemniczenie według Jana Potockiego* (10/505).
 Wyróżnienie Michała Giedroycia (9/504).
 ŻÓŁTOWSKA Ewelina M.: *Rękopis znaleziony w tezie* (11/506).
- Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze
- BIENIASZ Stanisław: *Hans Lipinsky-Gottersdorf* (1/496-2/497).
 BRÓŃSKI M.: *Mniej światła* (3/498).
 — *Papoaustriana* (1/496-2/497).
 — *Szatańska powieść Ruskiego* (5/500).
 DOBOSZ Andrzej: *O kaszy mannej* (7/502-8/503).
 — *O słownikach biograficznych* (6/501).
 GORCZYŃSKA Renata: *Ciemnowielmożny Simenon* (11/506).
 — *O Leopoldzie Buczkowskim* (10/505).
 HEYDENKORN Benedykt: *Dwie monografie Ukrainy* (6/501).
 — *Sylwetki niektórych imigrantów w Kanadzie* (9/504).
Instytut Literacki w Kraju (1/496-2/497, 5/500, 11/506).
 KATZ HEWETSON Janina: *Karnawał i post czyli o pozornościach wyboru* (5/500).
 — *Polskie czasopismo literackie w Izraelu* (3/498).
 — *Rozmowy na schodach* (11/506).
 LENAR Anna: *Książki na granicy* (1/496-2/497).
 L.S.: *Polski Berlin* (7/502-8/503).

- MRUCZEK: *Czy muszą być cymelia* (1/496-2/497).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/496-2/497, 3/498, 4/499, 5/500, 6/501, 7/502-8/503, 9/504, 10/505, 11/506, 12/507).
 PODLASKI Jan: *Książka dla opozycji* (1/496-2/497).
 POSPIESZALSKI Antoni: *Ojciec Bocheński o sobie i innych* (3/498).
 ROGATKO Bogdan: *Pusta noc* (12/507).
 RUSZKOWSKI Mikołaj: *Rozsypał mi się świat* (4/499).
 — *Zapis wewnętrzny czyli o potrzebie masek* (5/500).
 SWIANIEWICZ Stanisław: *Wznowienie sprawy Katynia* (3/498).
 SZARUGA Leszek: *Książki najgorsze* (10/505).
 — *Nowe opracowania instytutu w Darmstadt* (4/499).
 — *Wydane w podziemiu* (9/504).
 ŚMIEJA Florian: *Dziedzictwo i przyszłość* (5/500).
 ŚWIDERSKA Hanna: *Pisarz pruskiej słowiańskości* (1/496-2/497).
 ZIELIŃSKI Marek: *Marzenie* (11/506).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Agonia komunizmu* (5/500), przeł. ATK.
 — *Postkomunizm i dążenia narodowościowe: próba sił* (12/507), przeł. Krystyna Ledóchowska.
 DICKINSON Emily: *Posłowie* (1/496-2/497), przeł. Kazimiera Iłakowicz.

Z języka francuskiego

- BESANÇON Alain: *Widziane z oddali* (3/498), przeł. Julia Juryś.

Z języka hebrajskiego

- AMICHAJ Jehuda: *Bóg lituje się nad małymi dziećmi* (9/504), przeł. Ryszard Krynicki.
 — *W środku jabłka* (9/504), przeł. Ryszard Krynicki.

Z języka niemieckiego

- ANDRZEJ Magdalena: *Wywiad telewizyjni niemieckiej z M.F. Rakowskim* (3/498), przeł. Magdalena Andrzej.

- HAVEL Vaclav: *Słowo o słowie* (11/506), przeł. Julia Juryś.
 RILKE Rainer Maria: *Trzy wiersze* (12/507), przeł. Janusz Szpotański.
 TRAKL Georg: *Dusza jesieni* (12/507), przeł. Janusz Szpotański.
 — *Kruki* (12/507), przeł. Janusz Szpotański.
 — *Zmierzch zimowy* (12/507), przeł. Janusz Szpotański.

Z języka włoskiego

- SPINELLI Barbara: *Panta rei* (11/506), przeł. Maria i Bohdan Paczowscy.

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1989 (12/507).

Listy do Redakcji

- ALBRECHT Andrzej (10/505). BOCHEŃSKI Józef M. (1/496-2/497). BRANDYS Kazimierz (5/500). BUDNY Michał (10/505). CHILECKI Andrzej J.: *Odpowiedź Czytelnikom* (1/496-2/497). CZAPSKI Józef (11/506). DOBOSZ Andrzej (3/498). DRO-
 NICZ Stanisław (9/504). GAWLIKOWSKI Krzysztof (3/498). GAWEŁ Stanisław (9/504). GOERLICH Joachim Georg (10/505). HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (11/506). DE
 HERNANDEZ PALUCH Maria (7/502-8/503). HURWIC Józef (7/502-8/503). KESLER Henryk (3/498). KORASZEWSKI
 Andrzej (9/504). KOZAK Jacek (12/507). KRYNICKI Ryszard (4/499). KUCZYŃSKA Halina (10/505). KULCZYCKI Jerzy
 (10/505). KURDYBELSKI Józef (6/501). LEONARD (9/504). LEWANDOWSKI Józef (3/498). ŁATYŃSKI Marek (7/502-
 8/503). MACHNIEWICZ Jacek K. (1/496-2/497). MAREK Krystyna (10/505). MICHAŁSKI Marek (7/502-8/503). MIKOS
 Dariusz (3/498). MIŁOSZ Czesław (3/498, 11/506). Ks. MIRE-
 WICZ Jerzy (3/498). MITZNER Piotr (7/502-8/503). NAZWI-
 SKO ZNANE REDAKCJI (9/504). NIEZALEŻNE STY-
 PENDIUM DLA STUDENTÓW SZKÓŁ ARTYSTYCZ-
 NYCH W POLSCE (1/496-2/497). NOWICKI Stanisław
 (12/507). OLEJNICZAK E. (9/504). ORLIŃSKI Jan (3/498).
 PANUFNIK Andrzej (9/504). PISARENKO Olgierd (9/504).
 POMIAN Andrzej (9/504). POMORSKI Andrzej (7/502-8/503).

POSPIESZALSKI Antoni (6/501, 10/505). PRUS Jerzy (3/498, 12/507). PRZYSTAWA Jerzy (9/504, 11/506). REDAKCJA (11/506). RODOWICZ Maria (10/505). SIEKIERSKI Maciej (7/502-8/503). SKRZYNECKI Piotr (12/507). STANKIEWICZ Zygmunt i inni (5/500). STEPAN Olgierd M. (10/505). SZANIAWSKI Klemens (9/504). SZCZĘPOWSKA-SZYCHOWA Irena (7/502-8/503). SZYSZMAN Szymon (7/502-8/503). VENULET Jan (11/506). ZAMORSKI Kazimierz (9/504). ZARZĄD ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCZYŻNIE (12/507). ZIMAND Roman (10/505). ŻUCHOWSKI Jan (3/498).

Odpowiedzi Redakcji (1/496-2/497, 4/499, 7/502-8/503, 10/505).

Różne

Apel Rady Adwokackiej w Szczecinie (9/504).
Humor krajowy — niestety (10/505).
Konkurs im. Toli Korian (6/501).
MIŁOSZ Czesław: Sprostowanie (6/501).
MOND Jerzy: W sprawie stypendium im. Stanisława Lama (1/496-2/497).
Oświadczenie Anny Kowal (6/501).
Oświadczenie członków Konsorcjum wydawnictw niezależnych (5/500).
Oświadczenie w sprawie udziału w Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie (5/500).
REDAKCJA: Po tylu latach... (7/502-8/503).
— Sprostowanie (7/502-8/503).
— Wyjaśnienia (4/499).
REDAKTOR: Potrzeba jasności (4/499).
TRZNADEL Jacek: Apel (6/501).
Wirus antytwórczy (3/498).
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/496-2/497, 3/498, 4/499, 5/500, 6/501, 7/502-8/503, 9/504, 10/505, 11/506, 12/507).
Wpłaty na Fundusz NSZZ „Solidarność” (1/496-2/497, 6/501).
Wpłaty na Fundusz „Żeby Polska była Polską” (1/496-2/497, 3/498, 4/499, 5/500, 6/501, 7/502-8/503, 9/504, 12/507).
Wpłaty różne (1/496-2/497, 3/498, 4/499, 6/501, 7/502-8/503, 9/504, 10/505).
Wpłaty na „Solidarność Walcząca” (3/498, 5/500).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury” w roku 1989

- Tom 446 — Zygmunt Haupt: *Szpica*. Str. 284.
Tom 447 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 87-my). Str. 240.
Tom 448 — Maria Danilewicz Zielińska: *Bibliografia „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” i książek Instytutu Literackiego za lata 1981—1987*. Str. 348.
Tom 449 — Witold Beres i Krzysztof Burnetko: *Tylko nie o polityce*. Str. 128.
Tom 450 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 88-my). Str. 240.
Tom 451 — Kazimierz Braun: *Pomnik*. Str. 112.
Tom 452 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 89-ty). Str. 240.
Tom 453 — Gustaw Herling-Grudziński: *Dziennik pisany nocą 1984-1988*. Str. 394.
Tom 454 — Paweł Smoleński (Tomasz Jerz): *Pokolenie kryzysu*. Str. 136.
Tom 455 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 90-ty). Str. 240.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1989 roku.

Zeszyt 87-my — Piotr Skrzynecki: *Gdy umierał prezydent Raczkiewicz*; Tadeusz Wyrwa: *Prymas Hlond we Francji 1940-1941*; Tadeusz Górski: *Błogosławiony Jerzy Matulewicz, biskup wileński*; Z.S. Siemaszko: *Odpowiadam ks. Górskiemu*; Edmund de Lafrené: *Syberyjski raport*; Wywiad z *Adamem Bieniem*; Helge Tramsen: *Wrażenia z podróży do Katynia w 1943 r.*; *Ostatnia misja Hopkinsa w Moskwie*; Kazimierz Narutowicz: *Relacja o działalności na polu stosunków polsko-litewskich*; Bogdan Stachiewicz: *Gen. W. Stachiewicz a kampania wrześniowa*; T.W. Trejdosiewicz: *Wojna polsko-sowiecka 1939 roku*; T. Wyrwa: *Od Genewy do Jalty*; Emanuel Halicz: *Konserwatyzm polski a niepodległość w XIX wieku*; Jan Ciechanowski: *Brytyjskie gwarancje dla Polski*; Tomasz Łomża: *Historia w kasetach*; Edmund Jakubowski: *O Żmudzinach piszących i opisywanych*; T. Wyrwa: *Ambasador Papée o nastrojach w Watykanie w latach 1945-1946*; A. Skorochodow: *Przygotowania do wojny z Bериą*; Józef Garliński: *Najważniejsza rocznica*; Z.S. Siemaszko: *Jesienna (1988) sesja na polskim wydziale Uniwersytetu w Londynie*.

Zeszyt 88-my — Jerzy Jastrzębowski: *Rozmowy o braciach* (z prof. Romanem Szporlukiem, prof. Piotrem Wandyczem i prof. Frankiem Sysyem); Karol Podgórski: *Drang nach Szczecin*; Jan Nowak: *O proces Bolesława Bieruta i współników*; Kajetan Bieniecki: *Wildhorn*; Jerzy Korczak: *Konspiracja poznańska*; Michał Heller: *Kim był Stalin?*; A.L. Miasnikow: *Agonia Stalina*; Paweł Lida: *Parafie rzymskokatolickie na Białorusi i Ukrainie w 1988 — obsada personalna*; Janusz K. Zawodny: *Wywiady z oficerami kontrtorpedowców Polskiej Marynarki Wojennej w drugiej wojnie światowej* (Romuald Nałęcz-Tymiński, Wilhelm K. Pacewicz, Jerzy P. Tumaniszewicz i Michał Białowski); P. Wandycz: *Nowe książki*; T. Wyrwa: *Wywiad więzienny na Pawiaku*; Jan Ciechanowski: *Churchill z tyłu i z przodu*; Jan Ciechanowski: *Perfidny Albion*; Maria Januszkiewicz: *Repatriacja ludności polskiej z ZSSR w 1946 roku*; *Inicjatywy gen. Modelskiego*; *Gomulka a „Zeszyty Historyczne”*.

Zeszyt 89-ty — Józef Lewandowski: *Ludowe Wojsko Polskie*; Andrzej Suchcitz: *Archiwa wywiadu polskiego po 1945 r.*; Aleksander Akuliczew, Aleksander Pamiatnik: *Katyni, potwierdzić czy zaprzeczyć?*; Płk Van Vliet: *Relacja amerykańskiego oficera z Katynia*; Jacek Trznadel: *Czarodziejska góra komunizmu — Rozmowy z Jackiem Łukasiewiczem (13 lutego 1981)*; Janusz Tyszkiewicz-Łącki: *Byłem adiutantem gen. Sikorskiego*; Krys Dołęga: *Moja służba w armii sowieckiej*; (pk): *Korespondencje Kazimierza Wierzyńskiego z Białorusi (sierpień 1919)*; Jerzy Kostrowicki: *Dziennik VII batalionu 77 pp AK z operacji wileńskiej, lipiec 1944*; Agata Tuszyńska: *Raporty dyplomatów francuskich z Warszawy 1863 roku*; Jerzy Korczak: *Pisanie o Wrześniu*; Anna M. Cienciała: *Polityka Francji i Anglii w okresie międzywojennym*; Tadeusz Wyrwa: *Stosunki francusko-polskie w okresie „dziwnej wojny” (wrzesień 1939-czerwiec 1940)*; W.M. Drzewieniecki: *Jeszcze o planowaniu operacyjnym w roku 1939*; Gen. Stefan Rowecki: *Kto nami dowodził? List otwarty do Jana Nowaka w sprawie jego oskarżeń pod adresem Józefa Mackiewicza*; Jerzy Krzyżanowski: *Uwagi nt. wspomnień Adama Bienia o procesie szesnastu (Zeszyty Historyczne nr 87)*.

Zeszyt 90-ty — Piotr Eberhardt: *Jak kształtowała się wschodnia granica PRL*; Aleksander Suworow: *Obrona twierdzy brzeskiej we wrześniu 1939*; Kazimierz Leski: *„Muszkietierowie”*; Tadeusz Wyrwa: *Biskup Gawlina, generał Sikorski i Watykan*; Juozas Urbszys: *Litwa i Związek Sowiecki w latach*

1939-1940

; Stanisław Duzik: *Droga do Workuty*; Jan Łukaszów: *Walki polsko-ukraińskie 1943-1947*; Józef Darski: *Wspomnienia J.K. Valiunasa*; *Nieścistości p. Sosnkowskiej (Korespondencja gen. Kazimierza Sosnkowskiego z Jerzym Ciedroyciem)*; Jan Nowak: *Józef Mackiewicz (Odpowiedź na List Otwarty)*; Antoni Skarbek: *„Szaniec” i Dowództwo Wojskowe NSZ*; Bogdan Grzełowski (opr.): *Europa Wschodnia w koncepcjach Departamentu Stanu w 1941 r.*; Leon Schiller: *List do Min. Sztuki i Kultury*; Jan Pławski: *Do syta*; Larysa Zajączkowska-Mitznerowa: *Pertraktacje z Żuławskim*; Tomasz Mianowicz: *Kilka uwag w związku z Katyniem*; Władysław Bartoszewski: *W obronie Jana Nowaka w związku z Listem Otwartym do J. Nowaka (Zeszyty Historyczne nr 89)*.

Wznowienia

- Tom 91 — Gustaw Herling-Grudziński: *Inny świat*. Str. 256.
 Tom 327 — Czesław Miłosz: *Rodzina Europa*. Str. 248.
 Tom 325 — Czesław Miłosz: *Zniewolony umysł*. Str. 240.
 Tom 371 — Stanisław Swianiewicz: *W cieniu Katynia*. Str. 360.
 Tom 418 — Andrzej Szczypiorski: *Początek*. Str. 160.

Wydania miniaturowe

Kultura — numery od grudnia 1988 do kwietnia 1989, kiedy to zaprzestaliśmy wydawania miniaturowe.

Numery *Kultury* marcowy (3/498), wrześniowy (9/504) oraz grudniowy (12/507) miały po stron 176, natomiast majowy (5/500) stron 208.

NOWOŚCI «KULTURY»

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 448 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA 1981-87

Zawiera pełną bibliografię „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” oraz działalności wydawniczej Instytutu Literackiego w latach 1981-87.

Str. 352.

Cena F. 150,00.

TOM 449 — WITOLD BEREŚ, KRZYSZTOF BURNETKO
TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych” ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkiem.

Str. 128.

Cena F. 70,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1989.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 2184-1989

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata | |
|--|---------------|---------------|---------------|
| | | 1/2-roczna | roczna |
| Ceny na rok 1989 | | | |
| AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 | \$ A. 10,00 | \$ A. 60,00 | \$ A. 110,00 |
| AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176. | F. 20,00 | F. 95,00 | F. 175,00 |
| IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 | \$ can. 10,00 | \$ can. 50,00 | \$ can. 98,00 |
| NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60 | DM 14,00 | DM 85,00 | DM 160,00 |
| NORWEGIA: Zh. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431 | F.S. 13,00 | F.S. 70,00 | F.S. 135,00 |
| SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 4882346 | K.S. 47,00 | K.S. 260,00 | K.S. 500,00 |
| U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLO- NIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 | \$ US 7,50 | \$ US 40,00 | \$ US 78,00 |
| WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |
| WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 | F. 47,00 | F. 260,00 | F. 500,00 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 451 — KAZIMIERZ BRAUN

POMNIK

Powieść

Str. 112.

Cena F. 65,00.

TOM 453 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ 1984-1988

Str. 394.

Cena F. 170,00.

TOM 454 — PAWEŁ SMOLEŃSKI (T. JERZ)

POKOLENIE KRYZYSU

Obraz współczesnego pokolenia młodych Polaków.

Str. 136.

Cena F. 75,00.

TOM 455 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY

zawiera opracowania: P. Eberhardt: *Jak kształtowała się wschodnia granica PRL*; A. Suworow: *Obrona twierdzy brzeskiej we wrześniu 1939*; K. Leski: „*Muszkietierowie*”; T. Wyrwa: *Biskup Gawlina, generał Sikorski i Watykan*; J. Urbszys: *Litwa i Związek Sowiecki w latach 1939-1940*; St. Duzik: *Droga do Workuty*; J. Łukaszów: *Walki polsko-ukraińskie 1943-1947*; J. Darski: *Wspomnienia J.K. Valiunasa; Nieścistości p. Sosnkowskiej (korespondencja gen. K. Sosnkowskiego z Jerzym Giedroyciem)*; J. Nowak: *Józef Mackiewicz (odpowiedź na List Otwarty)*; A. Skarbek: „*Szaniec*” i *Dowództwo Wojskowe NSZ*; G. Grzełoński (opr.): *Europa Wschodnia w koncepcjach Departamentu Stanu w 1941 r.*; L. Schiller: *List do Min. Sztuki i Kultury*; J. Pławski: *Do syta*; L. Zajączkowska-Mitznerowa: *Pertraktacje z Żuławskim*; T. Mianowicz: *Kilka uwag w związku z Katyniem*; W. Bartoszewski: *Wobronie Jana Nowaka oraz BOGATE DZIAŁY POLEMIK I LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 80,00.